

MAREK HŁASKO

OPOWIADANIA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

Nr. 323

OPOWIADANIA

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom LXXXVII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

MAREK HŁASKO

OPOWIADANIA

Biblioteka Polska
Kolo Zurych SPK

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

Biblioteka Polska
Kolo Zurych SPK

ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA

I

— Nie — powiedziała Agnieszka. Odsunęła stanowczo jego rękę i obciągnęła sukienkę. — Nie teraz.

— Jak chcesz — mruknął mężczyzna. Położył się obok niej na trawie i patrzył na drugi brzeg Wisły. Środkiem rzeki śmieszny holownik z wysiłkiem ciągnął trzy ciężkie barki; jego silnik pracował tak samo ciężko jak serce starego człowieka. Nadchodził wieczór i chłód tężał jak mleko. Drzewa ciemniały. Mężczyzna leżał nieruchomo aż do chwili, kiedy poczuł na głowie dłoń Agnieszki.

— Pietrek — rzekła cicho. — Ja nie chcę, żeby to wszystko było ot tak na grandę. Gdybym cię nie kochała, może byłoby mi wszystko jedno. Tu mogą nadejść ludzie. Nie chcę, żeby w moją najlepszą sprawę inni wchodzili butami. Musisz mnie zrozumieć. Jeśli jest czego naprawdę bronić, to chyba właśnie tego.

Podniósł się na łokciach i uniósł twarz do góry. Musiała przymknąć oczy; jego młoda, dziecinnie jeszcze czysta twarz ścięta była bólem.

— Agnieszka — powiedział — czy ty wiesz, jak strasznie jest prosić o takie rzeczy? Czy ty wiesz, co to jest czekać?

— Ja też czekam.

Uchwycił jej rękę. Oczy jego były teraz blisko: ciemne i skupione.

— Jak długo będziemy jeszcze czekać? To udręka.

— Musimy czekać — powiedziała odwracając głowę; holownik już zapadł w mgły. — Może uda nam się dostać jakieś mieszkanie? W lecie możemy razem wyjechać... Chcesz się spotykać po jakichś pokoikach lub na ławkach w parku?

— Nie.

Umilkli. Nad ich głowami niebo stawało się złote; złota była również rzeka. Rosa kropliła się już na trawie i Agnieszka drżała z chłodu mimo skórzanej kurtki, na której siedzieli. Sąsiedni brzeg zgasł.

— Ja kłamię — powiedziała nagle Agnieszka i w głosie jej wyczuł mękę. — Ja już też nie mogę czekać. Wszystko mi jedno. Postaraj się tylko o jakiś pokój, o jakieś mury. Aby nie tutaj, aby z daleka od ludzi. Rozumiesz?

— Tak — szepnął. Dotknął jej dłoni: była bardzo chłodna i zamknięta jak muszla. Westchnął i rzekł: — Chodźmy już. Noc.

Podnieśli się; przez cały bieleński las szli w milczeniu i dopiero przy pętli tramwajowej powiedział do Agnieszki:

— Pogadam z Romanem, on ma pokój. Niech sobie znajdzie inny lokal na jedną noc.

„Pogadasz z Romanem — pomyślała. — Wiem, co mu powiesz. Nie powiesz mu przecież, że mnie kochasz i że ja ciebie kocham. Powiesz mu tak: „Ty, Roman, ja mam dziewczynę, którą muszę załatwić. Pożycz murów na jedną noc”. A on ciebie zapyta: „Ładna jest chociaż?”. Ty wtedy skrzywisz się, zmrużysz oko i powiesz: „Czy ja wiem? Teraz nie jest sezon, więc co zrobić”. Nie przyznasz mu się do niczego, bo przecież też bronić chcesz tej sprawy. A potem powiecie jeszcze kilka świństw o kobietach, których mieliście żałośnie mało i o których nic zupełnie nie wiecie...”.

W tramwaju było zaledwie kilka osób: dwie stare baby, żołnierz o smutnej twarzy, paru wyrostków z piłką. Oświetlone domy uciekały w ciemność. Agnieszka uśmiechnęła się i przytuliła do Pietrka.

— Dobrze, kochany — rzekła. — Porozmawiaj z Romanem.

— Co dzisiaj mamy? — rzekł w zamyśleniu. — Czwartek?

— Tak, czwartek.

— Poproszę go — rzekł aby wyjechał sobie gdzieś

z soboty na niedzielę. — Przytknął usta do jej ucha: — Trzymaj się, Agnieszka.

Tramwaj zahamował. Konduktor uniósł wzrok znad okularów i powiedział przez nos: — Trasa... — Pietrek uściśnął rękę Agnieszki i wyskoczył. Popatrzyła za nim: był szczupły i giętki jak leszczyna. Głowę nosił pochyloną. „Czemu on się tak garbi? — pomyślała. — Boże, gdyby on jednak z nim nie rozmawiał”. Po chwili zmieszał się z wieczornym tłumem i straciła go z oczu. Nad miastem przecierały się dopiero pierwsze gwiazdy; tylko na samym środku nieba, spokojnie i pewnie płonął Wielki Krzyż.

— Targowa — powiedział konduktor. — Podniosła kołnierz płaszcza: zaczął padać ciepły deszcz. Przed nią szło dwóch mężczyzn w roboczych ubraniach. Jeden z nich zaklął i powiedział do drugiego: — Znów leje. Już dawno nie pamiętam, żeby był taki paskudny maj. Nie można nawet podskoczyć w krzaki. — Z kim? — powiedział drugi. — Z teściową chyba. Masz forse? — Kiedy Agnieszka przechodziła obok nich, trącił ją ramieniem i powiedział: — Z nią byś podskoczył? — Obojętnie — powiedział pierwszy — ale ona takim jak my nie daje. — Może ją przegadamy? — zaproponował drugi. Krzyknął: — Proszę pani, pójde z tobą...

Wyminęła ich; skręciła w Brzeską. W mętnych kręgach latarni zataczali się pijani. Z baru „Schron u Marynarza” wyrzucono pijanego awanturnika; pojechał twarzą po bruku; za chwilę wyleciała za nim teczka i kapelusz. W bramach stały grupki milczących gapiów; jakiś głośnik ryczał donośnym basem: „Dzisiejszy etap zakończył się porażką drużyny polskiej. Zwycięzcą etapu był Rumun Dumitrescu...”. Śmierdziały gnijące odpadki jarzyn z Bazaru. Ktoś śpiewał piskliwym tenorem. Jakiś wyrostek zajął Agnieszce w twarz i gwizdnął. Ktoś drugi powiedział tęsknie: — Chryste, ta by się pruć jak koronka... — Koty wałęsały się pod nogami; zza mgieł nie było widać już gwiazd. Jakiś pijak szepnął jej gorąco do ucha: „Stara wyjechała, mam lokal. Dam ci nylonięta, chcesz?”. Na dworcu Wschodnim wyły lokomotywy; wilgotne powietrze z trudem parło do płuc; ludzie mieli spocone twarze i zmętniałe oczy.

„Porozmawiaj z nim — pomyślała Agnieszka. — Porozmawiaj z nim jak najprędzej”.

II

W domu ojciec zapytał:

— Gdzie byłaś, Agnieszka?

Stał przy oknie i odsunawszy firankę patrzył na ulicę; mógł tak stać godzinami i obserwować, co dzieje się w dole. Był niski, łysawy i przedwcześnie postarzały; cerę miał niezdrową a oczy wypłowiałe. Pracował w jakimś związku spółdzielców jako inspektor; ożywiał się jedynie wtedy, kiedy udało mu się wykryć jakieś nadużycie.

— Na spacerze — odpowiedziała Agnieszka. Zdjęła płaszcz i powiesiła go w przedpokoju. Potem wróciła. — Czy nie było nikogo do Grzegorza?

— Nie — rzekł ojciec; w dalszym ciągu bębnił palcami po szybie.

— Ty jej wierzysz, że ona była na spacerze? — szyderczo zapytała matka ze swojego łóżka. Leżała całymi dniami: brzydka, zgorzkniała kobieta o histerycznym usposobieniu, chora na serce. — Ty w to wierzysz? — powtórzyła. — Szwendala się pewnie z jakimś gachem. — Zwróciła w stronę Agnieszki swą wiecznie opuchniętą, bladą twarz. — Doczekasz się — powiedziała zbolalym głosem. — Ale ja tu bachora nie potrzebuję.

— Nie pytałaś mnie o zdanie, kiedy miałam przyjść na świat — rzekła Agnieszka. Usiadła na swoim łóżku w kącie i zapaliła nocną lampkę. Wyciągnęła książki i podkułwszy nogi ułożyła się, opierając podbródek na pięściach. — Chcę się uczyć — powiedziała.

— Uczyć, uczyć — powiedziała matka i jęknęła. Twarz jej miała wyraz męczeński. — Grzegorz też się uczył i co z tego wyszło? Skończysz tak samo jak i on, jeśli się nie opamiętasz.

— Jestem dorosła.

— Ale ja ci daję jeść — powiedziała matka. W głosie jej zabrzmiały nutki płaczu, ojciec odwrócił się. — Ja ci daję jeść, a nie kto inny — powtórzyła.

— Tak fatalnie gotujesz — rzekła Agnieszka — że nie powinnaś o tym wspominać. Dajcie mi się uczyć.

— Agnieszka, Agnieszka — powiedział ojciec; głos miał bezbarwny i teraz, kiedy usiłował nadać mu ton surowości, brzmiało to po prostu śmiesznie. Załamał ręce i

patrzył na nią z wyrzutem. — Jak ty możesz w ten sposób odpowiadać matce? Matce, która cię wydała na świat.

— Jesteś pewien, że świat jest aż tak piękny, aby to stanowiło powód do wdzięczności? — powiedziała Agnieszka. Wstała rzucając książki z hałasem. Podeszła do okna i stanęła obok ojca. — Żeby nie było pijaków, tych ulic i...

— I co? — zaczępnie spytała matka.

— To proste: żeby nie było takich jak wy. — Zwróciła się do ojca: — Czy Zawadzki już wrócił?

— Nie — rzekł ojciec. Zgarbił się, patrzył na Agnieszkę oczami psa. — On wraca później, przecież wiesz o tym.

— Pójdę się uczyć do kuchni — powiedziała Agnieszka. Pozbierała swoje książki i skierowała się ku wyjściu. W drzwiach przystanęła. — Przykro mi, mama — rzekła z trudem. — Czasem chlapnę coś jęzorem a potem samej mi przykro.

— Ty lepiej uważaj na siebie — powiedziała matka. Znów jęknęła. — Na pewno z jakimś łobuzem się szwendasz zamiast siedzieć w domu. Poczęła mówić bardzo szybko i z naciskiem: — Ale ja tu żłobka nie założę. Jezu, czy to było kiedyś do pomyślenia?...

Agnieszka popatrzyła na nią w milczeniu i wyszła. Zapaliła światło: kuchnia była mała i ciasna; mnóstwo miejsca zajmowały łóżka. Na jednym z nich spał jej brat — Grzegorz; na drugim monter Warszawskiej Gazowni, Zawadzki; mieszkał z nimi od czterdziestego piątego roku i wciąż oczekiwał na mieszkanie.

Usiadła przy stole i rozłożyła książki. Z trudem przeczytała pół strony i wtedy do kuchni wszedł ojciec. Stanął na środku i chrząkając przestępował z nogi na nogę. Spojrzała na niego wyczekująco.

— Agnieszka? — rzekł ojciec. — Co jest z tobą?

— Cóż to znaczy?

— O czym matka mówi?

— Jasne. Jestem dziwką. Powtórz to matce. Wystarczy?

— Agnieszka — powiedział błagalnie ojciec — Agnieszka... — Patrzył na nią bezradnie. — Boję się, że Grzegorz źle skończy — powiedział. Rozłożył ręce. — Dlaczego my się zupełnie nie rozumiemy?

— Rozumiemy się dobrze — powiedziała Agnieszka.

— Biedna, chora, ciasne mieszkanie, marnie zarabiasz. Musimy się jeszcze pomęczyć. W przyszłym roku skończę studia i będę wam pomagać. A teraz wracaj do pokoju, bo matka będzie cię posądzać, że masz ze mną jakieś straszliwe konszachty.

Siedział jednak nie ruszając się z miejsca. Ręce splótł na kolanach i patrzył na nie w zamyśleniu. Potem uniósł głowę.

— Starzeję się — powiedział. — Czasem czuję się tak okropnie zmęczony. Matka stale choruje, Grzegorz pije, ty jesteś jakaś dziwna... — Uśmiechnął się do niej nieśmiało. — Chciałbym wiedzieć, co ci jest — powiedział. — Czy mogę ci jakoś pomóc?

— W czym można człowiekowi naprawdę pomóc — rzekła. Odgarnęła swoje ciężkie, brązowawe włosy i milczała chwilę. Widziała, iż patrzy na nią aż do bólu oczu. — Każdy musi sobie sam dawać jakoś radę — rzekła. — Cóż więcej?

Westchnął.

— Pojadę w niedzielę na ryby — rzekł. — Chcę trochę wypocząć, a tutaj chyba się nie da. Przygotowałem sobie wędki; muszę jeszcze postarać się o żyłkę, a z żyłkami teraz ciężko. Może pojechać do Piaseczna? Albo tam, gdzie jeździłem zeszłego roku, aż pod Wołomin? Tam były takie glinianki. — Znów westchnął. — Do niedzieli jeszcze daleko.

— Trzy dni — rzekła. — Cóż to jest?

— Trzy dni — powtórzył. Uśmiechnął się. — Mój Boże, trzy dni. Wyobrażenia nie masz, ile się może pozmieniać przez trzy dni. To strasznie długo.

— Cóż to jest trzy dni wobec całego życia?

— Wiele. Czasem wszystko można stracić przez trzy dni.

— Nie wierzę, ale mniejsza z tym. Dobrze ci radzę, żebyś wrócił do matki.

Wstał.

— Więc gdzie mam jechać, Agnieszka? Do Piaseczna czy do Wołomina?

Patrzył w jej twarz z natężeniem.

— Koniecznie do Wołomina — rzekła.

— Chyba tak zrobię — mruknął. — Dziękuję ci.

Wyszedł. Było duszno: Agnieszka otworzyła okno. Po deszczu powietrze stało się czyste jak oddech dziecka. Ulica jeszcze nie spała. Prawie wszystkie okna były otwarte i prawie ze wszystkich naraz dobiegał nosowy głos spikera: „Ze słuszną dumą podkreślić należy, że przewyżczyliśmy szkodliwy w skutkach i przynoszący mnóstwo wypaczeń kult jednostki. Obecnie przystąpić musimy do podcinania jego korzeni. Wytyczne XX Zjazdu winny stać się...”

„Gdyby można było zapomnieć — pomyślała. Skryła twarz w dłoniach. — Gdyby dało się zapomnieć o tym wszystkim. Spokój. Trochę spokoju. Nic więcej. Bez Pietrka bez ojca, bez Grzegorza. Po prostu spokój i cisza. Niechby się działo, co tylko kto chce, ale tam, gdzie ja, żeby mógł być tylko spokój i cisza. To już wszystko; tak, to już zupełnie wszystko”.

Uniosła głowę i spojrzała znów na przeciwległą stronę ulicy. W oknie pierwszego piętra ktoś się golił składając usta w śmieszny ryjek; był to tęgi mężczyzna w gimnastycznej koszulce. Radio wrzeszczało: „Potem nadejdzie noc, która jest naszym przeznaczeniem”. Potwornie hałasując przejechał ciągnik. Ktoś wszedł do kuchni i Agnieszka odwróciła się. Był to Zawadzki, mężczyzna trzydziesto-kilkuletni o czarnej cerze i błękitnych oczach. Kolorową koszulę nosił rozpiętą na piersiach: szyję miał twardą i mocną.

— Dobry wieczór — powiedział. Zdjął marynarkę i powiesił ją starannie na krześle. Nalał w miednicę wody i począł zawijać rękawy: ramiona miał opalone.

— Wybierasz się gdzieś? — zapytała Agnieszka. Mieszkali z sobą od lat dwunastu i byli na ty.

— Tak trzeba — powiedział wesoło. — Siedzieć w domu, kiedy taki wieczór na dworze? A ty?

— Muszę się uczyć — powiedziała — i dlatego wtargnęłam do twojego królestwa. Starzy kłócą się bez przerwy.

— Cóż mają robić — powiedział i wyszczerzył zęby. — W tym wieku? Albo się kłócić, albo grać w szachy. — Wycierał się ręcznikiem tak szybko, że ciało jego przybrało kolor upieczonego przed chwilą chleba. — Kup im szachy — powiedział — a będziesz mieć spokój w domu.

— Gdzie idziesz? — zapytała; pragnęła, aby nareszcie poszedł.

— Do kolegi. Będziemy kończyć ten motor.

— Do diabła z tym twoim motocyklem — powiedziała Agnieszka. Uśmiechnęła się. — Ciągłe tylko słyszę o tym motocyklu. Chciałabym kiedy zobaczyć cię na nim.

— Muszę zmienić sprzęgło — powiedział z gniewem. Rzucił ręcznik, usiadł na łóżku i zaczął zmieniać buty. Szarpał się przez chwilę ze sznurowadłami, potem uniósł głowę. — Ty też nie byłabyś mądra, jakbyś przez dziesięć lat musiała jeździć z jednym jeźdźcem. Myślisz, że mój motor jest głupszy? Zakładam sprzęgło i jadę w niedzielę do narzeczonej.

— Nie wściekaj się. Słyszę to już trzeci tydzień. — Usiadła na parapecie i poczęła machać nogami. — Ciekawa jestem, co teraz z tego wyjdzie.

— Słuchaj, Agnieszka — powiedział Zawadzki. — Jeśli to prawda, co oni mi piszą, jeśli to prawda, że ona mnie zdradza — ja jej tak skuję mordę, że jej żaden szpital nie przyjmie do leczenia.

— Co dalej?

— Nie wiem.

— Czy ty ją kochasz?

— Więcej niż ci się zdaje.

— I dlatego musisz zrobić tak głupio?

— Dlatego.

— Jakbyś jej nie kochał, co byś zrobił wtedy?

— To proste: żyłbym z nią dalej.

— Więc cóż ci z tego przyjdzie?

— Wiele.

Machnęła ręką i wychyliła się. Na ulicy — przed wejściem do nocnego sklepu — toczyła się jakaś awantura. Ktoś ryczał obłąkanym basem: „Ja mu dam brata ubowca. Ja mu dam brata ubowca”. Niebo patrzyło w oczy Agnieszki dwiema twarzami — własną i z kałuż; i tu, i tu gwiazdy były małe, nierealne. Agnieszka drgnęła: Zawadzki położył jej rękę na ramieniu. Spojrzała na niego i pierwszy dopiero raz zauważyła, że stojący przed nią mężczyzna ma bardzo gorzkie usta i czoło pocięte twardymi bruzdami.

— Słuchaj — powiedział. — Wy wszystkie jesteście w gruncie rzeczy jednakowe i dlatego nie ma właściwie sensu z wami gadać. Ale powiem ci jedną rzecz; człowiek chce mieć coś tylko dla siebie i na to nie ma rady. Jeśli to nie kolega ani nie która z was, to dobrze mieć chociaż swoje pętackie poczucie honoru. Kiedy siedzieliśmy w ofla-

gu, do jednego chłopaka rodzina napisała, że jego dziwka łązi z Niemcami. W oflagu — nuda. Wszyscy jeździli po nim jak pomocnik blacharza po dozorczyńni. „To nic — mówili do niego — nie przejmuj się, Mietek. Jak wrócisz i weźmiecie ślub, to powieszysz sobie nad łóżkiem *Bitwę pod Grunwaldem*. Spojrzysz — i będzie ci lżej. Tam oni dostali od naszych”. Ten chłopczyzna wariował ze wściekłości, aż w końcu powiedział: „Nie szkodzi, ja jej pokazę”. „A jeśli to będzie wojna trzydziestoletnia?”. „Ja to załatwię w dwa tygodnie” — powiedział i następnego dnia już go nie było. Kryliśmy to przez miesiąc, a po miesiącu wrócił. „Załatwiłem” — powiada.

Agnieszka, on dwa razy przechodził przez trzy granice, bo szedł okrężną drogą, tylko po to, żeby tej dziwce wsadzić butelkę i rozgnieść ją pogrzebaczem. To był wariat, na pewno, ale ja wolę go od innych.

Odszedł. Wyjął z szafy inną marynarkę i począł ją wkładać.

— Co się z nim stało? — zapytała Agnieszka.

— Z tym chłopcem?

— Tak.

Mężczyzna uśmiechnął się nieprzyjemnie.

— Proste — rzekł. To, co zrobił, nie było dla niego przyjemne. Mógł się przecież postarać o broń i zabić ją. Jego to potem prześladowało w jakiś sposób. Łaził po oflagu i mówił: „Dogodziłem jej na całe życie”. Zwariował. Podciął sobie brzytwą gardło w latrynie. Dobranoc. Gdzie Grzegorz?

— Nie wiem — rzekła Agnieszka. — Pewnie gdzieś pije.

— Ciągłe na nią czeka?

— Ciągłe.

— Też ładnie — rzekł Zawadzki. — Dobranoc.

Wyszedł; na schodach zadudniły gwałtownie jego kroki — biegł po kilka stopni jak mały chłopiec. Uliczna awantura dobiegała końca. Pijani obejmowali się teraz ramionami. — I dlaczego pan tak do mnie, panie Witku? — bełkotał jeden; głos miał młody. — Życie jest życiem — odpowiedział drugi. — No, to wszystko w porządku — uzupełnił trzeci. Przyciągnął ich do siebie i dokonywał prezentacji: — Panowie się zapoznają: kolega z wojska — kolega ze szkoły. — Ach — powiedział pierwszy i za-

chichotał. — To ze swojej wiary... — Wszyscy trzej wzięli się pod ręce i przeszli przez gwiazdy nieba w wodzie.

„Koniec” — pomyślała Agnieszka. Zamknęła okno i usiadła przy stole.

Ojciec wszedł do kuchni. Ubrany był w starą, samodzielną jesionkę. Na głowie miał ciemny kapelusz, szyję okręconą bawełnianym szalikiem. Żadna z tych rzeczy nie pasowała do innych w najmniejszym nawet stopniu.

— Idę po Grzegorza — rzekł. — Matka histeryzuje.

— Gdzież go będziesz szukać? — zapytała Agnieszka. Podeszła do ojca: była wyższa od niego i wydawała się silniejsza. Wyglądał przy niej jak uschły krzak przy młodym drzewie. Patrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Nagle jasne jej oczy zgasły jak iskra osłonięta dłonią. — Chcesz go wyciągnąć z knajpy?

— Tak — powiedział. Przystąpił z nogi na nogę, ręce nie wiadomo dlaczego założył do tyłu. Usiłował nadać swej zwidłej twarzy wyraz stanowczości. — Wyciągnę go z knajpy — rzekł — i tak mu nagadam, że mu to wszystko w pięty pójdzie.

— Stefan — krzyknęła słabym głosem matka — idziesz już?

— Tak — powiedział — idę już, kochanie. — Poprawił kapelusz i skierował się ku wyjściu.

— Chwilę — rzekła Agnieszka.

Podeszła do drzwi i zamknęła je.

— Jeśli go w ogóle znajdziesz — powiedziała. Siłą posadziła ojca na krześle i wzięła z rąk jego kapelusz. — To nie będzie łatwe — powiedziała. — A twoje gadanie również nie zda się na nic. On jutro też będzie pił. Zostaw go.

— Dlaczego?

— On jest teraz zupełnie sam.

— Dlaczego?

— Kocha.

— Ma przecież rodziców, dom, siostrę.

— Nie ma nic prócz męki.

— Jakiej męki?

— Jego sprawa, nie nasza.

— Mam siedzieć i czekać spokojnie, kiedy mój syn tarza się po knajpach. — Ojciec wstał i sięgnął po kape-

lusz. Uderzył pięścią w stół. — Do cholery — powiedział. — Pójdę i siłą przyprowadzę go do domu.

— Do domu — powtórzyła Agnieszka. — Do domu, gdzie matka bez przerwy jęczy, a ty siedzisz z ołówkiem w rękę i obliczasz, że piętnaście lat temu mogłeś za swoją pensję kupić sześćdziesiąt litrów wódki, podczas gdy teraz zaledwie dwadzieścia. Do domu, gdzie nie ma dla siebie kawałka spokojnego kąta. Do rodziców, którzy do dziś dnia nie potrafią zrozumieć, w jaki sposób udało im się z sobą przenużyć dwadzieścia parę lat. Do domu, gdzie pomiędzy krzyżem a portretem Stalina nie ma w zasadzie żadnej różnicy, gdyż ani jednego, ani drugiego nie rozumie się zupełnie. Do takiego domu chcesz go przyprowadzić?

Milczał. Siedział nieruchomo opuściwszy głowę. Splótł ręce na kolanach i zacisnął je tak silnie, że stały się białe jak ręce umarłego.

— Cóż mam robić — powiedział po chwili. Sięgnął po kapelusz i znów go odłożył. — Cóż mam robić? — powtórzył. — Chciałbym dla was jak najlepiej.

— Nie garb się — powiedziała. — W niedzielę pojedziesz na ryby. Ja pójdę po Grzegorza.

Wzięła z jego rąk kapelusz i przeszła do przedpokoju. Włożyła płaszcz, do kieszeni wsunęła klucze. Ojciec powiedział błagalnie:

— Wracajcie szybko... Boże, gdyby już była niedziela...

— Gdyby ona przyszła do Grzegorza — powiedziała Agnieszka — to niech zostawi dla niego jakąś kartkę.

— Agnieszka — powiedział ojciec — czy ona przyjdzie kiedyś do niego?

Zatrzymała się w drzwiach.

— Nie.

Wyszła na ulicę. Niebo ściemniało już zupełnie. Miasto usypiało nieruchomo powalone w ostrym blasku gwiazd.

III

— Jest — powiedział portier i uśmiechnął się do Agnieszki. Na samym przodzie miał pokaźną szczerbę, co nadawało mu wyraz beztroskiej filuterności. — Przy barze.

Jak się pani przepcha? Dzisiaj taki tłok... — Odszedł, gdyż do drzwi wejściowych poczęło się dobijać gwałtownie jakieś hałaśliwe towarzystwo.

Agnieszka weszła na salę. Było ciemno i duszno: z niskiego sufitu świeciły lampki w kształcie gwiazd. Przy parkiecie musiała przystanąć: stłoczeni na kilku kwadratowych metrach tańczący ludzie deptali sobie po nogach i potracali nieustannie, przepraszając się co chwila i wymieniając ukłony. Kobiety — jednostajnie ubrane i pachnące tym samym tanim „Poematem” — kładły głowy na ramionach swoich partnerów, pod sufitem wisiał dym, kędzierzawy refrenista ckliwie bredził o rozstaniu. Któryś z kelnerów powiedział do Agnieszki: — Niech się pani odsunie, niech pani nie przeszkadza... — Z bliska zajrzał jej w twarz; był młody, ciemny i przystojny: błyszczał brylantyną i złotym zębem. — Tak — powiedział z żalem. — Tak to bywa... — Poczuła od niego alkohol, odszedł; jego brylantyna była tak silna, iż nawet w tego zadymionym powietrzu pozostawiała wyraźną smugę zapachu. Tęgi, o nalanej, charakterystycznie obrzękłej twarzy, jakie mają muzycy grający od wielu lat w nocnych lokalach, saksofonista nieudolnie naśladował amerykańskich solistów. Któraś z pijanych kobiet śmiała się histerycznie, zaciskając dłoń na ramieniu partnera; dłoń jej była szeroka jak płetwa, biała, o pulchnych palcach; Agnieszka uśmiechnęła się okrutnie. Taniec skończył się nagle i dziesiątki ludzi o spoconych twarzach powróciło na swoje miejsca przechodząc koło niej. Spóźniony pijak na parkiecie krzyknął: „Mało”. Dwie kobiety pociągnęły go do stolika. Zapłoneły światła: muzycy ocierali czoła i odstawiali instrumenty.

— Pani wygląda jak Mona Lisa — powiedział do Agnieszki ktoś z tyłu. — Czy pani dlatego ma taką smutną twarz, że jak i ona nie posiada pani małego, ślicznego zegarka marki „Tissot”? Na ten temat moglibyśmy ewentualnie porozmawiać...

Przeszła do baru. Panował tu tłok niesamowity: krzyczano, śpiewano, wymyślano sobie; pito bruderszafty, wymieniano pocałunki i uściski dłoni. Za ladą uwijało się dwóch barmanów w białych fartuchach. Jeden z nich był niski i szczupły, twarz miał ruchliwą i wesołą; drugi był wysoki, a twarz jego cechował nieprzenikniony spokój. Operował kieliszkami z kamienną powagą; do obsługiwania każ-

dego klienta zabierał się jak chirurg do operacji, przekonany jednakże, że wszystko przebiegnie pomyślnie, zgodnie z wolą jego rąk i mózgu. Nie reagował zupełnie na rozpaczliwe okrzyki pijących: pracował według własnego, nadzwyczaj precyzyjnego planu.

Dotarła wreszcie do Grzegorza. Siedział na samym końcu baru, tam gdzie nikiel kończył się łagodnym łukiem. Patrzył przed siebie rozwodnionym wzrokiem, milczał. Był uderzająco podobny do niej; jak i ona wysoki, o włosach, których nie można by nazwać ani zdecydowanie ciemnymi, ani jasnymi; tak jak i jej, oczy jego również zmieniały kolor zależnie od pogody: od błękitu aż do ciemnej zieleni. Twarz miał obrzękłą, nos krótki; bruzdy ściągały usta w dół. Głowę oparł na dłoni, Agnieszka dotknęła jej. Drgnął.

— Była? — zapytał.

Pokręciła głową.

— Nie — rzekła. — Jesteś zalany, Grzegorz.

Spojrzał na nią jak na martwy przedmiot.

— Nie wykluczone, że masz rację — powiedział. Przysunął sobie szklankę z wodą: — Ale cóż z tego za wniosek?

— Mam ochotę napić się z tobą ze dwa kieliszki — rzekła. — A nie chciałabym mieć do czynienia z nieboszczykiem, tak jak to było przedwczoraj. Możesz mi postawić?

— Nie wiem, czy mogę — rzekł. — Ale ci postawię. — Pochylił się do barmana. — Nalej pan — powiedział konfidencyjnym szeptem. Ujął swój kieliszek i trącił się z Agnieszką, wypili. Spojrzał na nią oczyma niewidomego. — Więc jednak nie było jej — powiedział. Głos miał trzeźwy i Agnieszka zrozumiała, że nadaremnie Grzegorz stara się upić.

— Nie — powiedziała. — Nie było jej.

Uśmiechnął się.

— Przecież ja to wiem i bez ciebie — rzekł. — Ty nie wiesz czasem, po jakiego diabła ja pytam?

— Wiem. Ale jej nie było.

Pokiwał głową. Wesoły barman zapytał: — Wymienić? — Nie czekając na odpowiedź nalał ruchem szybkim jak głos i zniknął wśród butelek. Orkiestra znów zagrała; siedzący poczęli schodzić z wysokich stołków i przepychać się w kierunku parkietu.

— Wiedziałem, że nie przyjdzie — powiedział Grzegorz. — Najgorsze są noce, Agnieszka. Zamykam oczy i wtedy ją widzę; wyciąga ręce i mówi do mnie coś, czego nie mogę usłyszeć i zrozumieć. Zdaje mi się, że ona u siebie w domu tak samo patrzy w ciemność i modli się do mnie jak ja do niej. A kiedy otwieram oczy, widzę tylko kawałek łóżka Zawadzkiego i kawałek sufitu. Słyszę, jak kapie z kranu. Czy nie możecie zreperować tego zlewu? I znowu leżę godzinami bez chwili snu. Kiedy zatrzymuje się przed domem jakaś taksówka, wstaję z łóżka i podchodzę do okna. Wydaje mi się, że ona z niej wysiadzie, przyjdzie po mnie i wtedy skończy się ta cała udręka. Liczę kroki na schodach, cienie i głosy. Zreperujecie jutro ten kran?

— Tak.

Umilkł. Podstawił barmanowi kieliszki.

— Niech pan naleje — powiedział. — I jakąś wodę...

— Może starczy? — rzekł barman. Spojrzał pytająco na Agnieszkę. Pokręciła głową.

— Proszę nalać — rzekła. Barman nalał i odszedł, Grzegorz milczał. Dwóch starszych panów przepijało do siebie. — Pijemy brudzia. Ja Wacek, a ty? — Józek. — Jaki Józek? Piłsudski? — Nie. — Ten drugi? — Też nie. Józio Kwiatkowski. — No to bęc. — Bęc. — Orkiestra grała tango; Agnieszka odchyliła firankę dzielącą bar od sali i popatrzyła na tańczących. Niski człowiek stojący obok niej powiedział: — Ja stąd wyjeżdżam. W tym kraju można być tylko pijakiem lub bohaterem. Normalni ludzie nie mają tu nic do roboty. Adieu. — Zapłacił i odszedł.

— Dzisiaj czwartek? — zapytał Grzegorz.

— Już piątek.

— Do niedzieli — powiedział. — Żeby tylko wytrzymać do niedzieli. Wtedy wszystko się wyjaśni: albo — albo. Tak powiedziała: potrzebny jej tydzień do namysłu. Zostały jeszcze dwa dni, trzy, jeśli nie przyjdzie do niedzieli wieczór, to znaczy, że koniec... A wtedy...

— Co wtedy? — zapytała ostro.

Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Milczał chwilę.

— Nic wtedy — rzekł. — Będę żyć dalej. To jest właśnie najgorsze.

— To nie jest jeszcze to najgorsze, kiedy ma się dwadzieścia pięć lat — powiedziała Agnieszka.

Zachnął się.

— O czym to świadczy? — powiedział. Twarz jego przybrała wyraz wzgardy. — A poza tym: kto ma dziś dwadzieścia pięć lat? I cóż z tego? W czym ma mi ta świadomość pomóc? Nie będziesz chyba tak głupia, aby mi powiedzieć, że mam przed sobą życie i wszystko jeszcze przyjdzie, i tak dalej. Nie ma ani jednego człowieka na świecie, który by w to naprawdę wierzył. Każde dobre uczucie ludzkie jest święte i nie ma żadnej gwarancji, że raz jeszcze w życiu człowiek będzie chciał się wygłupiać i dawać drugiemu człowiekowi tak samo wiele, a o to przecież w końcu chodzi. „Dawać wszystko z siebie”, tak przecież nazywacie te wszystkie irygatory, gumowe czapeczki i skrobaki. Tak?

— No więc?

— U Słowackiego zdaje się ktoś pyta: „Czy dusza jest niewypaloną nigdy lampą?”. Przed każdym dobrym uczuciem człowieka trzeba klękać jak przed świętością, jak przed gwiazdą. Ochraniać, nieść jak światło, a jeśli jest tego chociaż iskierka, to dmuchać aż do utraty tchu. To wiek dwudziesty, Agnieszka: Izolda mieszka w burdelu, a Tristan pije z sutenerami na rogu. Ludzie mają dziś mało czasu na wielkie uczucia; zrywają się rano, chlepczą swoje zupki w barach mlecznych, tłoczą się w tramwajach, kupują tandetne meble w domach towarowych na raty, kłócą się z konduktorami o pięć groszy i tak dalej. Klękać — powiedział — klękać. Życie nie daje żadnych gwarancji na przyszłość. Każdemu, który mówi: „Zostaw to, za parę lat przyjdzie co innego”, powinno się pluć w gębę. Co przyjdzie? Kiedy przyjdzie? Każde szczęście przychodzi złą drogą.

Umilkł, skinął na barmana. Patrzył w napełnione kieliszki, kiedy tamten już odszedł. Jakaś kobieta siedząca o parę stołków dalej śpiewała piskliwie: „Ja jestem taka mała...” — Ale pakowna — powiedział z przekonaniem męski głos. Kobieta umilkła; pochyliła się nad kieliszkiem i namrotała coś do siebie niezrozumiale. Saksofonista znów usiłował naśladować Amerykanów. Wesoły barman obrzucił Grzegorza baczny spojrzeniem.

— Kawuni?

Ocknął się.

— Jak pan chce — powiedział — ale to zbyt duża fatyga: dziś i tak się nie zaleję. — Zwrócił się do Agnieszki

ki: — Chcesz kawy? — Skinęła głową. — Niech pan da dwie kawy — powiedział Grzegorz. Barman powrócił i postawił przed nimi filiżanki. Grzegorz spróbował i ze smutkiem pokiwał głową. — Kawunia też podła — rzekł.

Wesoły barman rozłożył ręce.

— Takie c z a s z y — powiedział. Odszedł.

— Do diabła z czasami — powiedział Grzegorz. — Ten jakiś idiotyczny mit... — Zwrócił się do Agnieszki: — Przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Mów.

— Chciałbym kiedyś napisać coś.

— Książkę?

— Tak, książkę.

— O miłości?

Roześmiał się nagle i zmarszczki wokół jego oczu stały się białe.

— O, nie — powiedział. — Napisać cokolwiek o tym, to ośmieszyć się. Cała literatura o miłości to, jak dotąd, tylko wspaniałe gówno. Cóż to ma wspólnego z miłością. Boże mój drogi. Chciałbym cokolwiek przeczytać o sobie i o swoich uczuciach, kiedy leżę dwudziestą noc bez snu i patrzę w sufit. Wszystko, co na ten temat napisano, jest mdłe jak miedź przy słońcu. Może jeden Dostojewski był odrobinę prawdziwy, ale od jego miłości ucieka się z rękami jak od rozpalonego żelaza. To nie dla dzisiejszego człowieka. Nie te c z a s z y . — Pochylił się ku Agnieszce i ujął ją za rękę. — Posłuchaj — rzekł. — To coś zupełnie nowego: mianowicie historia dwojga ludzi. Nie będziemy nazywać ich po imieniu ani też wymyślać dla nich nazwisk... — Był jednak trochę pijany i język mu się nieco plątał; oddech jego był gorący. Mówił: — Tak, to coś zupełnie nowego. Historia dwojga, którzy spotkali się w złym miejscu życia. Nie wiem jeszcze tylko, kim oni są, muszę fiksować, ty rozumiesz? On musi być zwyczajny, bardzo zwyczajny; ona chyba także, nie wiem zresztą... Przypuśćmy, że on chlał za dużo i rozrabiał, może być tak? Co zresztą można było robić dobrego przez ten czas, jak nie chlać i nie rozrabiać? W Polsce pijak jest traktowany na prawach specjalnych, pijaństwo stało się czymś w rodzaju nowej, specjalnej moralności. Wiadomo, że jak pije, to go coś gryzie. Ale mniejsza z tym, wracam do rzeczy... A ona? Diabli ją wiedzą, jaka ma być. Musi dużo przeżyć; tak, tak,

musi dużo przeżyć, musi być w jakiś sposób zrezygnowana czy rozgoryczona. Kiedy się coś zaczyna, wprost trudno uwierzyć, że tym razem jest to coś naprawdę wartościowego. Ten gość zaczyna się zachlewać, gdyż chce to w sobie szybko zniszczyć, boi się cierpień i tak dalej, ona również ucieka od tego wszystkiego, bo prawdę mówiąc facet jest do niczego: zalewa się, robi awantury, ma za sobą kawałek złego życia. Ale to jednak coś jest, jednak coś tam jest; w całej tej historii, gdzieś na siódmym dniu musi być coś wartościowego, coś dobrego i oni chcą się jakoś do tego dogrzebać, za wszelką cenę dogrzebać. Ziemia jest paskudna, życie jest komicznym piekiełkiem, ale gdzieś w głębi tej skorupy płonie rozpalone żelazo. I oni tamtą historię montują na siłę; to rozpada się tysiąc razy w ciągu dnia i godziny, ale oni po tysiąc razy rozpoczynają od nowa. Może by nawet wszystko było dobrze, kto to w końcu wie, ale zaczynają im pomagać ludzie.

Wyprostował się nagle i odtrącił dłoń Agnieszki.

— Ludzie — powiedział. — Przekłęci, głupi ludzie, którzy zawsze mają zbyt mało własnego piekiełka i wtrącają się w cudze. Zaczynają to wszystko obmacywać swoimi spoconymi rękami, szeptać, ustawiać, pomagać, odciągać ich na boki i informować o sobie. „Czy wiesz — mówią do niego — że ona żyła z tym i z tym?”. „Czy wiesz — mówią do niej — że on w czterdziestym siódmym roku, w Myśliborzu, pobił zawiadowcę stacji, kasjera i pomocnika maszynisty?”. „Czy wiesz, że on to, a ona tamto?”. Ludzie wtrącają się, ludzie kłamią, ludzie wymyślają podłe idiotyzmy, a pewnego dnia już nie wiadomo, co jest prawdą, a co kłamstwem, co plotką, a co rzeczywistością, kto jest przyjacielem, a kto świnią, kto jest kolegą, a kto durniem; niesposób wprost połapać się w tym wszystkim. I oni postanawiają się rozstać...

Umilkł; mięśnie jego szczęk dygotały. Wyglądał teraz żałośnie. Wesoły barman spojrzał na niego i zapytał:

— Nalać?

Skinął głową; ujął swój kieliszek i wypił jednym haustem. Agnieszka zapytała:

— To już koniec?

— Nic podobnego — powiedział nie patrząc na nią.

— To byłoby zbyt proste, a ludzie pragną przecież zrozumieć się do końca. Ale ja nie wiem, co musi być dalej.

Koniec, jasne, że koniec, ale przedtem musi coś jeszcze nastąpić. Tak, tak, na pewno, ale jeszcze nie bardzo wiem co... Coś niesłychanie banalnego. To wcale nie musi być dobra książka, po jakiego diabła ma być dobra? Książki o prawdziwej miłości i tak nikt nie napisze, każdy by się bał odsłonić do końca, to za straszne i za śmieszne rzeczy... Więc co? Tu potrzeba czegoś banalnego, czegoś paskudnie banalnego. Może choroba? Jakiś księżyc, jakaś woda? Coś takiego musi przecież istnieć, pomyśl i ty nad tym. Wypadek kolejowy, katastrofa, śmierć? Śmierć, może śmierć? To w końcu najbanalniejsze ze wszystkiego, co może być. Więc jaka śmierć, Agnieszka? Ukąszenie przez jadovitą mrówkę, cegła z rusztowania?... Może samobójstwo? Tylko kto: on czy ona? Nie, on, rzecz jasna, że on, kobiety mimo wszystko bardziej kochają życie od mężczyzn. Tak. Więc już mam.

Odetchnął. Włosy przylepiły mu się do czoła, odgarnął je. Twarz miał spoconą, oczy zmniejszone obrzękiem.

— On się zabija — powiedziała Agnieszka. — I już koniec?

Pomyślał chwilę.

— Nie — rzekł. — Mimo wszystko, tym razem to także nie koniec. To zaledwie połowa, koniec jest jeszcze daleki. To samobójstwo nie może się udać, Agnieszka, w tej historii nic nie może się udać. Potem jest jeszcze gorzej, bo okazało się, że to, czym straszą i szantażują nas tutaj, na ziemi, to bardzo niewiele. Ale co dalej? Szczęśliwy koniec nigdy nie bywa zbyt mądry w literaturze. Rozchodzą się. Koniec. Kropka. Może spróbują mądrze żyć, może nie, diabli ich wiedzą. Ale w tym miejscu trzeba już kończyć, dosyć tej zabawy. Więc rozchodzą się. Pogoń za szczęściem się kończy. Zawsze bezcelowa, ale dla której warto poświęcić życie. To nie ja, to Stendhal. Warto czy nie warto? — zapytał barmana.

— Warto — powiedział barman.

— Nie warto — rzekł Grzegorz — ale mniejsza z tym. Proszę jeszcze nalać dwie wódki.

— Ona by ci tego nie darowała — rzekła Agnieszka.

— Czego?

— Co powiedziałeś przed chwilą.

— Ona nie przyjdzie i tak.

— Chcesz wszystko zgnoić?

— Tak — powiedział Grzegorz. — Nie chcę o niczym pamiętać. To zbyt okrutne: wymagać od człowieka, aby wspominał swoje święte chwile. Wspomnienia to śmieci.

— Jak się będzie nazywać ta książka? — zapytała Agnieszka.

— Trudno powiedzieć — odparł niezdecydowanie. — Ona i tak przecież będzie żyć tylko w mojej wyobraźni. Jestem przecież chemikiem, do cholery. A tytuł? Coś o milczeniu, coś o potrzebie milczenia wobec innych ludzi. Więc jak?

Bar opustoszał. Wesoły barman krzątał się z olbrzymią ścierką wycierając do sucha nikiel. Ekspres już nie syczał, orkiestra dawno zamilkła. Ktoś spał oparłszy głowę na rękach. Kolega szarpał go powtarzając bez przerwy:

— Bolek, wyprostuj się... Bolek, nie bądź pijany... Bolek, nie bądź tulipan...

— Koniec — powiedział wesoły barman. — Do jutra.

Grzegorz zapłacił i wyszli. Ulicami ciągnął chłodny powiew. Grzegorz nachylił się ku Agnieszce i ujął ją za rękę; jego dłoń była spocona i gorąca.

— Przyjdzie?

— Kochankowie spotkali się zbyt późno — powiedziała Agnieszka. Ziewnęła, chciało jej się spać.

Grzegorz roześmiał się.

— Agnieszka — powiedział uwalniając dłoń z uścisku — odłóż to między bajki. Jestem niewiele starszy od ciebie, ale mogę ci powiedzieć: nie widziałem jeszcze ludzi, którzy spotkaliby się w dobrym miejscu życia. Takiego miejsca w życiu nie ma i być nie może. Zawsze zdaje się, że jest zbyt późno czy zbyt wcześnie; że zbyt wiele doświadczenia albo że zbyt mało. Zawsze coś stoi na przeszkodzie. To nie może mieć znaczenia. — Po chwili zapytał: Podobało ci się to?

— Nie. Nienawidzę smutku. Milczenie i czarny kolor. To dobre dla nieboszczyków.

— Już więcej nie będę pić, Agnieszka — powiedział Grzegorz. — Zdaje mi się, że bardzo cię kocham. Chciałbym, żebyś była choć troszeczkę inna.

Przystanęli. Niebo zrzędoło: było brudne i pełne pustych chmur. Świt czepiał się wilgotnych dachów. Taksów-

karze ziewali, wlokły się pierwsze wozy z mlekiem, ktoś szedł daleko za nimi klnąc w niebogłosey.

— Ja także bardzo cię kocham — powiedziała Agnieszka. — Ty przecież wiesz, jak bardzo.

IV

Liście były gęste i przysłaniały niebo; leżąc na wznak nie widzieli ponad swymi głowami nic prócz spiętrzonej zieleni; nie było także widać śpiewających ptaków. Nagrzana trawa pachniała gorzko, a tuż pod nią niski wiatr niósł woń żywicy i pierwszego wrzosu. Od czasu do czasu z gęstego podszycia drzew wyskakiwały wiewiórki; patrzyły uważnie koralikowymi ślepkami a po chwili wdrapywały się na konary z szybkością niepojętą.

— Wszystko, co pamiętam z dzieciństwa — rzekł Pietrek.

— Wiewiórkę?

— Tak. Była u nas w domu kiedyś wiewiórka. Do stałem ją, jak miałem dziesięć lat.

— Jak się nazywała?

— Joasia. Nie bała się wcale. Spałem z nią, skakała za mną jak piesek, a kiedy jadłem, wtykała pyszczek w mój talerz.

— I co? — spytała Agnieszka.

— Joasia umarła. Wiewiórkom zarastają zęby, jeśli nie jadają orzechów. Pewnego dnia nie mogła otworzyć pyszczka i nic na to nie można było poradzić.

— Dlaczego nie dawałeś jej orzechów?

— To było podczas okupacji. Odżywiałem się głównie chlebem z marmoladą. O ile mi wiadomo, marmoladę wyrabiano wówczas z buraków.

— To naprawdę wszystko?

— Co — wszystko?

— Co pamiętasz? Wiewiórkę?

— Czyż to nie wystarczy? Po cóż pamiętać o wszystkim?

— Powiedz.

Wzruszył ramionami.

- O innych rzeczach wolałbym raczej nie pamiętać.
- Wiele ich jest?
- Starczy.
- Dziwne.
- Co?
- Tak mało wiemy o sobie.
- Mało?
- Strasznie. Codziennie jesteś inny.
- Nigdy nie chcesz moich wspomnień przecież. Ile razy zaczynam mówić, prosisz, abym przestał.
- Chcę innych.
- Ale te są najważniejsze.
- Ja chcę, żebyś o tym już zapomniał. To pierwsza rzecz, jaką chciałabym dla ciebie zrobić. Nie pamiętaj o tamtym, Pietrek.
- Cóż więc chcesz o mnie wiedzieć?
- Na przykład; o czym myślisz w tej chwili?
- A jeśli to głupie?
- Niech sobie będzie. Z Einsteinem nie jeździ się przecież na Bielany. Mów.

Objął kolana rękami. Podniósł swoją twarz ku górze; miał czysty, spokojny w swej młodzieńczej surowości profil.

— Myślę o tym, kiedy skończy się ta udreka, to spotkanie w kawiarniach, w parkach, kinach... — Zamknął oczy i wokół ust jego utworzył się bolesny grymas. — Mury — powiedział. — Kawałek murów, Agnieszka. Być z tobą przez tydzień; dzień i noc razem a potem mógłbym chyba umrzeć. To straszne; każdy dzień, kiedy jestem bez ciebie, jest ukradziony z mego życia. Ile było już tych dni? Ile będzie ich jeszcze? Najpierw tamte lata, teraz to błaganie się... Nikt tego nie zwróci, żaden dzień nie może powrócić. Ile moglibyśmy już mieć dobrych dni poza sobą? Czy długo jeszcze tak będzie?

— Nie mów o tym, Pietrek.

— Czasami wierzyć mi się nie chce w to wszystko — powiedział. — Jesteśmy sami, zupełnie sami, rozumiesz? I nikt nam nie pomoże, żebyśmy nie wiem jak błagali i nie wiem kogo prosili. Nikt chyba nie może dać nam kawałka muru. Musimy czekać — i to wszystko. Ciągłe, długo czekać, a jeśli się w końcu doczekamy, nie

będziemy mieli zapewne siły cieszyć się z tego. Wiele dni z życia ubędzie nam niepotrzebnie. To jest najgorsze.

— Wielu ludzi nie ma murów.

— Wielu ludzi niczego w ogóle nie ma. Ale to nie jest argument.

— To jest życie.

— Nie lubię tego słowa. Cóż ono w końcu oznacza?

— Wszystko.

— I nic.

— Może. Teraz jest lato. Powinieneś gdzieś wyjechać. Pietrek. Odpocząć.

— A kiedy wrócę, wszystko się zacznie od początku. Będziemy tęsknić do siebie i całować się wieczorami w bramie. A potem nie będziemy spali całymi nocami i będziemy myśleć o tym, w jaki sposób i kto nam może pomóc. I będziemy się ciągle rozstawać. Tęsknić, dręczyć, klócić, wymyślać sobie. Nie dlatego, że się nie kochamy. Nie dlatego, że nie możemy się zrozumieć. Nie. Dlatego, że nie mamy kawałka murów. Gdyby w Warszawie żyli w pięćdziesiątym szóstym roku Romeo i Julia, zapewne by się w ogóle nie spotkali. A co najgorsze, nikt nie jest temu winien.

Umilkł. Patrzył w górę na zielone kopuły drzew, a po chwili rzekł:

— Najgorsze jest to, że cię kocham. Z innymi byłoby to wszystko takie łatwe.

— Co?

— Wszystko i nic.

Umilkł. Położył się na wznak, ręce założył pod głowę. Poprzez gęstwinę liści patrzył na spadające już, czerwone słońce. To trwało krótko, potem las począł wygasać i liście straciły swój kolor. Niedaleko stąd była strzelnica i żołnierze ukończywszy swój pracowity dzień wracali śpiewając: „Noc taka długa...”. Ostatnią literę przeciągali kończąc ją nagle. „Trzy, cztery” — ryknął jakiś głos i wszyscy zaśpiewali razem: „Szkoda jej marnować...”. Od nagrzanego rzeki ciągnął senny podmuch.

— Piotr.

— Tak.

— Załatwiłeś ten pokój?

— Tak.

— Jutro?

— Tak.
— Jego nie będzie?
— Będziemy sami.
— Ty mu nie powiedziałeś, że przyjdiesz tam ze mną?

— Nie.
— Co mam powiedzieć w domu?
— Najlepiej nic nie mów.
— Muszę. Matka by się denerwowała.
— Powiedz, że wyjeżdżasz.
— Dokąd?
— Wszystko jedno.
— Po co?
— Wszystko jedno.
— Wymyśl coś.
— Do Podkowy Leśnej. Jedziesz do koleżanki. Będziecie się przygotowywać do egzaminu. Dlaczego tak mówisz? Ile ty masz lat, Agnieszka?

— Kiedy jestem z tobą, to tylko dwadzieścia dwa.
A ty?

— Sto.
— Dlaczego tak mówisz?
— Czy ważna jest data w metryce? Są takie miejsca na ziemi, gdzie każdy dzień jest wiekiem. Trzeba tam tylko trafić.

— W którym roku cię aresztowano?
— Pięćdziesiątym drugim.
— To wszystko się już nie powtórzy, prawda?
— Gdyby raz jeszcze miało się powtórzyć to wszystko, gdyby to wszystko miało być jeszcze raz, nikt z ludzi by nie ocalał... Myślałem tam o tobie, wiesz?

— Gdzie?
— Mokotów.
— Nie znałeś mnie jeszcze wtedy.
— To nie ma znaczenia. Myślałem o tym, że jeśli w końcu wyjdę, to spotkam ciebie. I nigdy się już nie rozstaniemy, i nigdy już tam nie powrócę. Codziennie o świcie umierałem i codziennie powracałem do życia. Komendantem był tam taki pułkownik. Mówił nam: „Tu jest Mokotów. Stąd się wychodzi kwiatki wachać od spodu”. Na przesłuchaniach krzychał: „My was po bolszewicku

zabijemy. Strzałem w tył głowy...". Wtedy myślałem o tobie.

— Co się z nim teraz dzieje?

— Z komendantem?

— Tak.

— Aresztowany. Czytałem o tym gdzieś.

— Cieszy cię to?

— Za późno na radość.

— Nie będziesz myślał o tym już nigdy, prawda?

— Gdybym nie miał ciebie, myślałbym o tym stale.

Teraz myślę, że ty jesteś tym człowiekiem, który jest nagrodą od losu za tamten zły, przeszły czas. Tylko ty. Ale ciężko zapomnieć, mówię ci, Agnieszka. Są takie historie, o których chyba nie da się zapomnieć. Pamiętam kiedyś...

— Teraz już będzie inaczej, prawda?

— Dlaczego to ciągle powtarzasz?

— Muszę.

— Więc musi być inaczej.

Kiedy będziemy mieli dom, przez rok nie będziemy wpuszczali nikogo. Wywiesimy kartkę na drzwiach: „Nie ma nikogo. Wyjechaliśmy na rok”.

— To zabawne.

— Dlaczego?

— Siedziałem kiedyś z takim jednym człowiekiem, który marzył o tym samym. „Kiedy wyjdę wreszcie z tej bombonierki — mówił — zamuruję się w domu i nosa nawet nie wystawię spoza drzwi. Do diabła z tą kochaną wolnością...”. Więc po tej i po tamtej stronie krat marzenia są jednakowe?

— Jakie meble będziemy mieli?

— Czasami nikt nie mógł usnąć — powiedział Piotr i wiedziała już, że teraz nie usłyszysz nic z tego, co chciałaby mu powiedzieć, i że będzie musiała tego wysłuchać, choć zna każde jego słowo i wspomnienie stamtąd. Piotr powiedział: — Rozmawialiśmy szeptem. Ludzie opowiadali sobie wszystko: brednie i fakty. Nie wiadomo po co, nie wiadomo na co, gdyż i tak nikt tego nie słuchał. Każdy miał w głowie własny film. Każdy myślał tylko o sobie i o swojej sprawie, której nie było...

— Nie mów już o tym — powiedziała. — Pomyśl o naszym domu. A twój syn? Ma się nazywać Teodor, tak jak Dostojewski...

— Przypomniałem sobie wszystko, całe życie: fakt po fakcie. Przypomniałem sobie wszystkich ludzi, z którymi w życiu rozmawiałem, wszystkie słowa, wszystkie dni, wszystkie noce; doszedłem wreszcie do tego, że starałem się przypomnieć sobie wszystkie swoje myśli. O czym myślałem rok temu, pięć lat temu, dziesięć lat. Co zrobiłem? W jakim miejscu życia popełniłem fatalny krok, o którym nic nie wiem, o którym nikt nic nie chce mi powiedzieć. Może ktoś z moich przyjaciół był szpiegiem? Może ktoś pracował dla wywiadu? Kim był ten człowiek, przez którego znalazłem się tutaj? Jak wyglądał? Stary był czy młody? Samotny czy żyjący z rodziną? Gdzie go poznałem? W knajpie, na studiach, na ulicy, na stadionie? Jak to się zaczęło? I o czym z nim wtedy rozmawiałem? Czasami przyczepiałem się myślą do jakiegoś człowieka; ktoś nagle wydawał mi się nim. I wtedy myślałem: to on, to nikt inny być nie może, tylko on. Co mu zrobiłem? Co on uczynił? W jaki sposób udało mu się doprowadzić do tego, abym znalazł się tutaj? Czy zrobił to specjalnie, czy też wpadłem razem z nim? Dławiłem się nienawiścią do niego, a potem przychodził mi na myśl kto inny. I znów usiłowałem przypomnieć sobie: gdzie go poznałem? jak wyglądał? o czym z nim wtedy rozmawiałem? co on takiego powiedział na mnie?

— Nie myśl o tym — powiedziała Agnieszka. — Nie mów już o tym. Pomyśl, jak to będzie jutro. Nie będzie nikogo prócz nas. Przytulisz się do mnie, obejmę cię i wtedy przestaniesz o tym myśleć. Nie będziesz już myślał ani o mieszkaniu, ani o więzieniu, ani o niczym, co cię dręczy. Wszystko, co będzie ważne, to tylko my i nasze kilka godzin do świtu. Tak?

— Tak, Agnieszka. Ale kim on był? Czy nie dowiem się nigdy?

— Myśl raczej, że nie. Po cóż ci on? Chcesz się mścić?

— Nie, nie... Chciałbym tylko spojrzeć na niego, chociaż przez sekundę. Przez sekundę patrzeć mu twarz. I nic więcej. Myślę, że jakbym mógł na niego popatrzeć, zrozumiałbym wiele rzeczy ze swego życia. Może nawet wszystko, tak mi się czasami zdaje. I oddałbym za to chyba wszystko.

— Nawet mnie?

— Nawet ciebie.

— To dobrze, że nie dowiesz się o nim nigdy. Teraz już musimy iść.

— Już?

— Chcę się jeszcze uczyć.

— Agnieszka.

— Co, kochanie?

— Gdybym nie miał ciebie, nie chciałoby mi się żyć. Ty jesteś teraz jedyną rzeczą, w którą wierzę naprawdę. Ty, nic więcej. Mam chyba prawo tak myśleć. Gdybym nie miał ciebie, zrobiłbym wszystko, aby się zgnoić do końca, tak, żeby już nigdy nie kochać, nigdy nie wierzyć i nigdy nie cierpieć. Bez ciebie ta strona krat nie ma dla mnie sensu, tak samo jak i tamta. Rozumiesz?

— Tak. Ale nie mów już o tym. Myśl o jutrze.

— Dobrze.

— Przyrzeknij mi. Przyrzeknij mi, że będziesz myślał tylko o jutrze, że nie wspomnisz nawet o tamtym wszystkim. Dobrze?

— Tak.

— Odprowadzisz mnie do domu?

— Po co pytasz?

Podnieśli się i poczęli iść w kierunku tramwaju. Las był teraz cichy, spęczniały od mroku. Kopuły drzew zrosły się w jeden masyw z ciemnym niebem.

V

Ulica Brzeska nie spała jeszcze. Był to piętnasty dzień miesiąca, dzień wypłaty i, jak zwykle wtedy, mężczyźni stali przed bramami. Mieli porozpinane koszule; ich piersi, ich włosy, ich twarze lśniące były od potu; dzień, który odszedł, przez wiele godzin dręczył domy, ciała, bruki i drzewa żelaznym niebem. Stojący i siedzący; ci, którzy chodzili z jednego końca ulicy w drugi, od jednej grupki do drugiej, od jednej latarni do drugiej; ci, którzy leżeli pod murami na strzępach wygniecionej trawy; ci, których rozkudłane głowy wychylały się z okien brudnych parterów — pili wprost z butelek piwo, wódkę i tanie wino; dławili się i płyn ściekał na ich pokancerowane ręce, na ich wil-

gotne koszule i rozprężone, miękkie ciała. Śmieli się głośno, krzyczeli i dogryzali sobie. Wiatr, który jak zmęczone zwierzę ciężko biegł nad brukami, przynosił zapach ich potu, ich tytoniu, ich oddechy — gorące i gorzkie od alkoholu. Wśród nich snuły się kobiety — niektóre w szlafrokach lub w paltach narzuconych wprost na koszulę, inne ubrane w jasnokolorowe sukienki, na których pot znaczył pod pachami ciemne półkola; jedne namawiały ich, aby powrócili do domu; inne ciągnęły ich do śródmieścia na dalszą zabawę. Kłóciły się z nimi, odciągały ich od towarzyszy, wyrywały im butelki, których bronili; wymyślały mężczyznom niegorzej od nich samych.

Znała dni wypłat; znała sobotnie, niedzielne i przedświąteczne wieczory na tej ulicy. Ilekroć wkraczała w gwar wypełniający obdrapane mury tej ulicy, ogarniał ją strach; dławiący, ciężki i obrzydliwie bliski, gdyż żyła nim od wielu lat. Starła się przechodzić szybko, broniąc się przed pijanymi i odpychając — o ile nie potrafiła ich wyminąć — zalotników. Dziś liczyła na to, że ujdzie spojrzeniom ich zmętniałych oczu.

Przytuliła się do niego i przymknęła oczy. Weszli w jej ulicę objęci ramionami. Do domu mieli zaledwie kilkaset metrów i już odezwała się w niej nadzieja, że przejdą w ciszy, nie zauważeni. Wtedy z bramy, gdzie stało ich kilkunastu — w ciemności, skąd nie było widać ich twarzy — ktoś powiedział do Piotra:

— Puść to ciało, bo cię obsra.

Piotr szarpnął się. Agnieszka zawisła całym ciężarem na jego ramieniu.

— Stój! Błagam cię, stój!

— Puść!

— Oni cię zabijają!

Wbiła w przegub jego dłoni paznokcie i wbijała je za każdym krokiem głębiej, tak, iż czuła pulsowanie jego żył. Szeptwała:

— Jeśli się ruszysz, nie chcę cię znać, nie chcę cię znać, nie chcę.

Szli dalej. Ktoś powiedział:

— Dlaczego oni ją zaczepili? Ja ją znam.

— To porządna dziewczyna?

— Na pewno.

— Odczep się od niej, łobuzie.

- Łobuz, to na wierzchu nosi.
- Byłeś kiedy cyckiem bity?
- Lala!
- But ci się rozchromała!
- Dzidzia: jeden raz, a dasz mi szczęście.
- Halo, mała.
- Nie bądź taka zarozumiała.
- Rysiek, zobacz, gejsza.
- Co z tego, kiedy nietutejsza.
- Próbowałaś?
- Ja, skąd? Ja nie do takich rzeczy. Człowiek skromny jestem.
- Z czego człowiek ma mieć siłę do tych rzeczy?
- Z tych kartofli?
- Bądź spokojny: jakby ci dobrze dała, to byś jeszcze zrobił te sześć numerów.
- Przez pół roku.
- Co byś zrobił, jak byś miał taką lalkę?
- Ja? Rznąłbym i bym płakał.
- Święta dziewczyna.
- Leży na krzyżu i czeka na gwóźdź.
- Stój — szeptała Agnieszka. — Błagam cię, stój...
- Czy pani mieszka sama?
- Co cię to obchodzi?
- Z kutasiną po prośbie pójdziesz?
- Ja bym poszedł, ale on jej na pewno cały czas palec trzyma.
- Na ustach.
- I w te nogi.
- I w tą buźkę.
- Zdrowa dziewczyna, panie Zbyszku. Zamordowałyby pana.
- Bogdan, ten szoferak z Metra, to by jej dogodził.
- On miał zaganiacza, Boże ty mój drogi. Nie to, co człowiek: dziękuje Bogu, że ma się czym odlać.
- Tylko by brwiami ruszała.
- A twoja stara czym rusza?
- Szczotką do zamiatania. Ona nie lubi tej roboty.
- Z tobą nie. Z sąsiadem — tak.
- Boże, żeby ona mi dała.
- Powąchać?
- Potrzyąć?

- Matki swojej poproś, niech ci da.
- Powiedz jej, może to dobra dziewczyna.
- Nikomu nie może odmówić.
- Ma dobre serce.
- Na takiej laleczce Michałowski w zeszłym roku całą orkiestrę złapał.
- Z syfuniem?
- Z szankrem syberyjskim.
- Stój — szeptała Agnieszka. — Stój, stój...
- Takie ciało to majątek.
- Takie nogi to wyjątek.
- Jak ci na imię, moje dziecko?
- Spermensita.
- Ładna.
- Tę buźkę ma taką, ach mój Boże. Raz sobie wrzucić i umrzeć.
- Całą noc bym chromolił.
- Ale głupstwa.
- Ja ją znam. Halo, proszę pani! Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem?
- To wtedy, kiedy ci zegarek zginął?
- Kobieta jak lato.
- Cóż z tego?
- Nie przejmuj się pan. Sposobem wróbel kobyłę dogodził.
- Nie opuszczaj pan głowy.
- Głowę, to ja mogę podnieść. Ale kto jego podniesie?
- Zmów pan nad nim trzy zdrowaśki a potem...
- Co potem?
- W szachy grać.
- To ten cwaniak ją pokrywa?
- Zwija się jak królik i chromoli jak cyrulik.
- Czy on jej dogodzi? Taki szczupły chłopaczek?
- Zapytaj się go.
- Panie młody: jak pan to robi?
- Pozwól pan tu, pożyczę panu swojego.
- Ktoś rozpiął rozporek.
- Nie rób pan tego nigdy. Pożyczyłem raz koledze na wesele i patrz pan, co oddał.
- Patrzę i nic nie widzę.
- O to właśnie chodzi.

- Zapytaj się jej, ile ona chce.
- A ile ty masz?
- Dwadzieścia złotych.
- Za dwadzieścia złotych to wiesz, co możesz zrobić?
- Umyć rękę pachnącym mydłem i łubudu.
- I potem strząśnij. Jak ma zostać dziwką albo złodziejem, niech lepiej zginie z ręki ojca.
- Panie Czepkowski, co ich łączy?
- Szesnaście i pół centymetra.

Weszli do bramy. Było ciemno i błogosławili ciemność. Ulica ścichła i słyszeli tylko własne gorączkowe oddechy. Nie mogli złapać tchu: Agnieszka oparła się ciężko o ścianę. Jej twarz białą plamą odznaczała się od muru; widział, jak straszliwie błyszczą w niej oczy. Pachniało moczem i — gdzieś z górnych pięter — praniem. Z turkotem przejechał ciężki samochód, wrzeszczały koty. Pietrek powiedział ochryple:

— Nie było nic, nic. Był tylko las, jest tylko jutrzejszy dzień... Słyszysz?

Chciał ująć ją za rękę, lecz wyszarpnęła się. Milczała i w dalszym ciągu słyszał tylko jej przyspieszony oddech. U stróża radio chrypiało: „Pójdę srebrną ścieżką wśród ogrodów...”. Ktoś przekreślił gwałtownie wyłącznik; i znów była tylko cisza i wrzask kotów.

— Nie było nic — powtórzył Piotr. — Jutro o tej porze będziemy razem, już jutro o tej porze.

Wyciągnął rękę w kierunku jej głowy. Wtedy z całej siły uderzyła go pięścią w twarz; zatoczył się, potknął o jakąś skrzynkę leżącą na ziemi i upadł. Głowa jego twardo zadzwoniła o beton.

— Odejdź — krzyknęła. — Odejdź, odejdź!

Nie oglądając się za siebie, szybko, po trzy schodki na raz, pobiegła na górę.

VI

Kiedy znalazła się już w domu, powiesiła płaszcz i weszła do pokoju, rozdygotana i prawie nieprzytomna. Ojciec chodził na rękach po podłodze. Koszula jego wysunęła się

ze spodni. Twarz napęczniała mu z wysiłku, oczy nabiegły krwią; dyszał ciężko, po łysinie ściekały mu krople potu; wszystko to razem wyglądało dość obrzydliwie i Agnieszka odwróciła wzrok. Ta mania ojca była jej szczególnie wstrętna, choć litowała się nad nim trochę. Kiedy weszła i zobaczyła ją, wykonał zręczne salto, potem stanął przed nią. Twarz jego jaśniała zadowoleniem.

— Mam jeszcze trochę siły, co? — zapytał.

— Chyba wiele.

— Wy, młodzi — powiedział — pojęcia nie macie, jak wspaniałą rzeczą jest siła fizyczna. Patrzę czasami na tych chuchraków i żal mnie ogarnia; dzisiejsi mężczyźni są słabi jak rozgotowane pająki. — Wyjął ze szklanki sztuczną szczękę i umiejscowił ją zręcznie. Potem przysiadł obok Agnieszki na tapczanie. Wciąż jeszcze napinał mięśnie; twarde i okrągłe, biegające jak myszki pod zwiotczałą skórą. Zapalił papierosa i osadziwszy go w drewnianej cygarnicze zapytał: — Nie powinni mnie chyba prędko zwolnić, co?

Wzruszyła ramionami.

— Co ci przychodzi do głowy?

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Ty się śmiesz — powiedział. — A to wcale nie jest takie śmieszne. Teraz bardzo chętnie zwalniam starych ludzi, a pracę wcale nie łatwo znaleźć. Niedawno miałem sprawę takiego starego człowieka, który już od kilku lat popełniał nadużycia, aby zabezpieczyć sobie starość. Jakoś tam się wykręcił i uznano go za niepczytalnego. Takich wypadków było już zresztą wiele... — Przestał mówić i oglądał uważnie swoje ręce. Zmienacka zajął jej w twarz. — Agnieszka — powiedział i w głosie jego wyczuła trwogę — czy ja wyglądam na swoje pięćdziesiąt pięć lat?

Przysunął bliżej swoją twarz, tak iż poczuła jego niezdrowy, kwaśny oddech. Wyglądał na o wiele więcej; był pomarszczony, łysy; cerę miał pełną wątrobianych plam, pod oczami duże worki. Był zniszczony, co się zowie zniszczony wojną, poniewierką i złym odżywianiem; jego umięśnione, zwierzęco silne ciało tworzyło kontrast z tą twarzą staruszka. Popatrzyła na niego przez chwilę — wyglądał jak biedny, stary pies; żadne inne porównanie nie przychodziło jej na myśl. Odwróciła wzrok i roześmiała się.

— Wyglądasz najwyżej na czterdzieści pięć — powiedziała. — Myślę, że w ogóle nie ma się nad czym

zastanawiać. Wielu mężczyzn mogłoby ci pozazdrościć siły. Odetchnął z ulgą.

— Powinnaś się gimnastykować — powiedział — to wiele daje. Grzegorz także... Zmienił nagle ton: — Gdzie jest Grzegorz?

— Nie wiem — powiedziała. — Wróciłam przecież przed chwilą. Czy do Grzegorza nikt nie przychodził?

— Nie. A ty nie wiesz, gdzie on może być?

Milcząca dotychczas matka odezwała się:

— Ty jej pytasz. Czy ją to obchodzi, co się w domu dzieje? Ona musi się szwendać ze swoim gachem i to jest dla niej najważniejsze. Ty możesz umrzeć, ja mogę umrzeć, ale ona musi się z nim puszczać.

— Chciałabyś, żebym się puszczała z tobą? — zapytała Agnieszka.

Podniosła się; patrzyły przez chwilę na siebie. Potem matka zamknęła oczy i twarz jej przybrała zwykły, męczeński wyraz. Agnieszka trzasnęła drzwiami i wyszła do kuchni. Nie zapalając światła postawiła herbatę na gazie. Dopiero teraz, kiedy podnosiła ciężki, napełniony wodą czajnik, zabolą ją ręka; podniosła dłoń do oczu, w świetle latarni z ulicy obejrzała ją — kostki miała stłuczone. Patrzyła w niebieski, syczący płomyk i myślała: „Ty już nie przyjdiesz jutro. Jutro klucz będzie leżał pod słomianką, tak jak umówiłeś się z Romanem, i nikt go nie podniesie. Widzisz. Gdyby istniała jakaś maszyna do odczytywania myśli, powinienś wiedzieć, co teraz dzieje się ze mną. Wątpię, czy ja sama potrafię ci kiedykolwiek o tym powiedzieć. Ludzie nie potrafią się porozumieć na ten temat. W jakich sprawach można porozumieć się z człowiekiem? Jeśli chodzi o pożyczenie dziesięciu złotych, butów czy wyżymaczki. I to już kres naszych możliwości. Ktoś kiedyś powiedział, że człowieka od człowieka dzieli ciemność; słyszeliśmy to kiedyś obydwójce. Widzisz. A tu jest gazowy płomyk. Daje trochę światła. Trochę ciepła. Można sobie ugotować herbaty. Albo płatków owsianych na śniadanie. Ale można zrobić więcej. Można wyrzucić ten czajnik do diabła, zamknąć drzwi na klucz, zdmuchnąć płomyk i spróbować nie myśleć już o niczym. Ani o tym, że ojciec pomału przekształca się w małpę; ani o tym, że za chwilę muszę wrócić tam do nich i położyć się spać; ani o tym, że na pewno nie spotkamy się jutro...”

Wszedł ojciec.

— Trzeba matce zaparzyć ziółek — powiedział. Zbliżyć się do kontaktu i wyciągnąć rękę.

— Nie zapalaj światła — powiedziała Agnieszka. Jej twarz wciąż jeszcze była mokra.

Zatrzymał się.

— Marzysz?

— Tak.

Usiadł; swoim zwyczajem splótł ręce na kolanach. Pochylił się cały w jej stronę.

— Chciałbym wiedzieć — o czym? — powiedział, starając się, aby wypadło to żartobliwie.

— Królewicz z bajki.

— Ma pałac?

— Chwilowo nie, ale przez kilka lat mieszkał w pałacu.

— Był zbudowany z kryształu?

— Tak. Z małą domieszką betonu i stali.

— Co widział ze swojego okna?

— To zależy. Przypuszczam, że niewiele. Tam zakładają na okna takie żelazne koszulki, żeby nie przychodziła ci ochota zwać. W tym na pewno jest jakiś humanizm, ale jeśli ktoś ci zaśpiewa piosenkę o więźniu, który przez kraty ogląda błękit nieba, masz prawo w to nie wierzyć. W rzeczy samej nie widać nic.

— O czym ty mówisz, Agnieszka?

— W porządku — powiedziała. — Wszystko jest w porządku. Wyglądasz na czterdzieści pięć lat, za rok będziemy produkować o piętnaście procent więcej opon do traktorów niż obecnie, Zawadzki w końcu wyprowadzi się do wszystkich diabłów a nasze niebo nie jest puste: kilka kilka tygodni temu wszystkie gazety zamieszczały fotografię polskich odrzutowców. Będziemy także eksportować polskie samochody do Pakistanu, a ilość górników, którzy są amatorami-pszczelarzami, wzrośnie czterokrotnie. Wszystko jest w porządku — krzyknęła — tylko nie każcie mi mówić tego, o czym myślę i jak myślę.

Wstał i zbliżył się ku niej.

— Matka cię rozdrażniła — powiedział cicho. Położył jej rękę na ramieniu. — Musisz być dla niej wyrozumiała. Zrozum, leży już od kilku miesięcy i nie chcą jej przyjąć

do żadnego szpitala. Wiesz przecież o tym, że nie ma miejsc. Musisz być wyrozumiała.

— Matka jest nieuleczalnie chora — powiedziała Agnieszka. — Lekarze o tym wiedzą jeszcze lepiej od ciebie. Nie przyjmą jej, bo trzeba ratować innych. Musi umrzeć tutaj.

Zwolnił uścisk i usiadł ciężko. Widziała, że uporczywie patrzy w jej twarz, i cofnęła się jeszcze bardziej w ciemność.

— Przyjmą ją wreszcie — powiedział po chwili.

— Nie — rzekła Agnieszka. — Nie ma się co łudzić. W tych warunkach, kiedy dla innych nie ma miejsc, nie powinni jej przyjmować. Musi zostać z nami.

— Ty nie kochasz matki?

Wzruszyła ramionami.

— Obchodzi mnie jej los — rzekła.

Przesunął ręką po czole. Zgarbił się nagle i był już tylko żalosnym, starym człowiekiem, któremu nie mogły pomóc silne mięśnie.

— Sam o tym często myślę — rzekł. — Tak by chyba było dla niej najlepiej. Po cóż ma się męczyć niepotrzebnie w tym domu, ze mną, z tobą, z tymi pijakami na ulicy? Koniec jest zawsze końcem. Powinniśmy rozumieć ten moment, kiedy wszystko jest już poza nami. Do mnie także zbliża się starość. Powinno się budować takie domy, gdzie bezboleśnie zgładzano by starych ludzi. Kiedy już będę do niczego, poproszę Grzegorza, żeby mi dał coś na sen. Może na to mi się przyda jego chemia.

— Więc o co ci chodzi? — powiedziała Agnieszka. — Spotkacie się z matką w niebie i tam będziecie kontynuować swój wspaniały żywot. A teraz dość tych bzdur. Zapal światło, będziemy parzyć ziółka.

Na ulicy śpiewano. Zamknęła z trzaskiem okno. Po-deszła do kuchni i patrząc w pokrywkę rondelka, myślała: „Dokąd teraz idziesz? Co czujesz, co myślisz? Gdzie cię znaleźć w tej gmatwaninie pijaństwa, betonu, bredni i wy-głupów? Żeby chociaż mogła wiedzieć, jak wyglądasz w tej chwili? Czy spotkamy się jutro? A jeśli tak, to co powiemy sobie w pierwszej chwili? „Przepraszam” — nie. „Uniosłam się” — nie. „Sama nie wiem, dlaczego tak zrobi-łam” — nie. Wiesz co? Zawrzyjmy taką umowę: nie po-

wiemy nic. Nie powiemy nigdy ani słowa na ten temat. Pójdziemy prosto po klucz; otworzymy drzwi i nareszcie znajdziemy się sami w czterech ścianach, gdzie nie będzie nikogo ani żadnych złych wspomnień, gdzie wszystko, wszystko, będzie można...”.

— Kipi — zawołała z pokoju matka. — Czy nie słyszycie, że kipi?

Agnieszka drgnęła, ojciec także. Uśmiechnęli się do siebie.

— Wyjdę jeszcze na chwilę — rzekła. — Głowa mnie boli.

— Idź do Zawadzkiego — powiedział ojciec. — Będzie mu przyjemnie.

— On ciągle reperuje ten swój motocykl?

— Tak.

Znów się uśmiechnęła.

— Nie martw się — rzekła. — Wszystko będzie dobrze. W niedzielę pojedziesz sobie na ryby. To już coś jest. Westchnął.

— Jeszcze dwa dni — powiedział. — Trzeba czekać.

— To fraszka. Potem ci będzie przyjemniej.

Narzuciła płaszcz i zbiegła po schodach. W kącie podwórza Zawadzki wybudował sobie z jakichś szczątków garaż, gdzie trzymał motocykl. Zastała go pochylonego nad silnikiem.

— Dobry wieczór — powiedziała. — Jeszcze tylko dwa konie i będziesz mógł jechać.

— Może byś tak poszła spać — zaproponował nie unosząc głowy. — Młode kobiety nie powinny się szwendać po nocy. Przychodzi ochota na głupstwa.

— Dlaczego? Mam ochotę z tobą porozmawiać. Jak narzeczona?

Przykucnęła obok niego. Zgrzytnął zębami.

— Jeśli ona myśli, że mnie obuja — rzekł — to spotka ją przykre rozczarowanie.

— Nie takich jak ty okłamują kobiety — powiedziała Agnieszka.

Wstał nagle. Podniósł przenośną lampę na długim kablu i oświecił nią swoją twarz.

— Agnieszka — powiedział głucho — przyjrzyj mi się dobrze i powiedz, czy ja wyglądam na takiego człowieka, z którego można zrobić kretyna?

Oświetlony od dołu, barczysty i wysoki, z ostrymi rysami twarzy, wyglądał groźnie. „Ja cię już gdzieś widziałam — pomyślała nagle Agnieszka. — Nie, nie ciebie. Kogoś, kto tak wyglądał, jak ty w tej chwili. Zupełnie tak samo. Nawet lewą rękę unosił do góry takim samym gestem. Gdzie to było i kto to był?”.

— Nie — powiedziała. — Nie wyglądasz.

— Jeśli to wszystko prawda — rzekł — to ją tak stłukę po mordzie, jak chłopcy w wojsku tłuką dziwkę, która zaraziła.

— Czym ona cię zaraziła?

— Boję się, że trudno by mi było potem wierzyć ludziom — rzekł. — Widziałem w życiu wiele, ale nie chcę, żeby byle dziwka wyprała mnie do końca. — Podniósł ku niej umazaną smarami twarz. — Chcę wierzyć ludziom — powiedział. — To jest w końcu najważniejsze. Do jasnej cholery, czy ty tego nie rozumiesz?

— Nie oszukała cię jeszcze żadna?

Roześmiał się nieprzyjemnie.

— I nie oszuka. Na Boga Ojca: byłem i w obozie, i na froncie; czasem wydawało mi się, że trafiłem w sam środek piekła — to w końcu człowieka czegoś uczy, jak myślisz?

— Oczywiście — rzekła. Znów spojrzała na jego twarz. „Gdzie ja widziałam taką twarz — pomyślała. — Co to było? Ten człowiek tak jakoś rozpaczliwie wyciągnięty ku górze. Z tą skupioną twarzą wyrażającą niesłychane napięcie. Gdzie to było? kiedy?”. — Niech cię lichy weźmie — powiedziała do Zawadzkiego. — Widziałam kiedyś kogoś strasznie podobnego do ciebie. Nie mogę sobie przypomnieć kiedy i gdzie. Teraz całą noc nie będę spała. Trzymaj się.

Wróciła do domu. W przedpokoju natknęła się na ojca; był już w płaszczu i zdejmował z wieszaka kapelusz.

— Czy Grzegorz na pewno nie powiedział ci, dokąd idzie? — zapytał.

— Nie — powiedziała. — Nie mówił mi nic prócz tego, że już nie będzie więcej pić.

— Matka nie chce zasnąć — rzekł. Denerwuje się o niego. Muszę go iść poszukać.

— Kładź się spać — powiedziała Agnieszka. — Po

co ci ma ktoś wymyślać, kiedy jutro zaśpisz i spóźnisz się do pracy. Sama go poszukam.

Znów poszła podwórzem i myślała: „A ty gdzie jesteś? Może też poszedłeś gdzieś i upiłeś się tak jak Grzegorz? I teraz bredzisz; i łapiesz ludzi za guziki i opowiadasz im naszą historię, która nikogo prócz ciebie i mnie nie obchodzi? Czy robisz tak? Może teraz leżysz z otwartymi oczyma i powtarzasz moje imię: „Agnieszka, Agnieszka”. Może boisz się jutra, tak jak i ja? Jeżeli w tej chwili potrafisz coś zrozumieć i domyślić się czegoś, to pamiętaj: jestem teraz z tobą. Jestem z tobą, nawet jeśli leżysz w rynsztoku. Nawet wtedy, jeśli zwariowałeś i poszedłeś do jakiejś dziwki. Jestem z tobą wszędzie, jeśli tylko myślisz o mnie”.

W bramie natknęła się na Zawadzkiego; wyprowadzał motocykl.

— Przejadę się kawałek, aby go wypróbować — oświadczył. — Ty dokąd?

— Szukać Grzegorza.

— Pije?

— Nie przypuszczam aby leżał krzyżem w kościele.

Byli już na ulicy. Zawadzki kopnął rozrusznik i silnik zaskoczył.

— Siadaj — rzekł. — Podrzucę cię do śródmieścia.

Ruszyli z hałasem. Przejechali około stu metrów i silnik zaczął się krtusić, po czym — po kilku gwałtownych szarpnięciach — motocykl przystanął. Agnieszka zeskoczyła z siodełka.

— Znów sprzęgło — powiedział Zawadzki.

Wyglądał na zupełnie zgnębitego. Stali w świetle latarni i blask z góry oświecał jego ostrą, nieruchomą w tej chwili twarz. Agnieszka drgnęła nagle.

— Już teraz wiem — powiedziała.

— Co?

— Gdzie widziałam taką twarz, jak twoja. Może nawet nie twarz, ale człowieka stojącego w tej pozie, z takim wyrazem.

— No?

— Był kiedyś taki film. Jakiś terrorysta zabija przypadkowo człowieka; musi uciekać, a sam jest ranny. Goni go całe miasto: policja, szpicle, jakieś małe hieny; wszyscy

chcą go złapać i wyzyskać do jakichś brudnych celów. I szuka go także jego dziewczyna.

— To szlachetne z jej strony. Co dalej?

— Znajduje go w końcu — powiedziała Agnieszka. Uśmiechnęła się. — Znajduje go wtedy, kiedy jest już umierający i nie ma siły uciekać. Zbliża się już policja; pamiętam z tego filmu zbliżające się latarki policji. I ta dziewczyna postanowiła zginąć z nim razem. Nawet pamiętam ostatnie słowa tego filmu. Ten umierający pyta: „Czy daleko jeszcze?”. Ona mu odpowiada: „To daleka droga, ale pójdziemy w nią razem”.

Urwała.

— I co? — zapytał.

— I giną razem, Zawadzki. Giną od salwy policyjnej. Ale nie to jest ważne. Oni wierzyli sobie do końca. Że widocznie tak trzeba, że tak właśnie warto, a nie inaczej. Życie grozi rozstaniem, ale śmierć łączy na zawsze.

— Głupia jesteś, rozumiesz?

— Rozumiem. Dobranoc.

Odeszła.

VII

Szukała go we wszystkich knajpach śródmieścia i nie znalazła nigdzie; zaglądała do tych, gdzie bawi się elita; i do tych, do których urzędnicy przynoszą wódkę w teczkach i odbijają pod stołem. W „Kameralnej” ulubiony portier Grzegorza — potężny pan Miecio — przymrużywszy oko, szepnął: „Był, ale odpłynął w miasto. On ostatnio sercowy, tak?”. „Tak” — powiedziała Agnieszka. Po obejrzeniu setek pijanych twarzy i targach z portierami była zupełnie wyczerpana; chwiała się na nogach i myślała bez przerwy: „Spać, spać...”. Pan Miecio wziął ją za rękę i zaprowadził do garderoby; wlał jej w gardło szklanekę wódki i powiedział: „Niech pani się pofatyguje na Zieleńnik. On tam poszedł dojrzewać”. Wsadził ją w taksówkę i zamknął drzwi.

— Chce pani tam jechać? — powiedział ze zdziwieniem kierowca taksówki, kiedy podała mu kurs. Gwizdnął:

— To nie jest miejsce dla młodych kobiet.

— Skąd pan wie, do jasnej cholery — powiedziała z wściekłością Agnieszka — gdzie jest miejsce dla młodych kobiet?

Uniósł rękę i nakierował lusterko na odbicie jej twarzy; zwalniał specjalnie pod mijanymi latarniami. Długo milczał; taksówka z brzękiem wlokła się przez ciszę miasta. Potem kierowca roześmiał się.

— Nie wyglądasz — powiedział. — Naprawdę nie wyglądasz. — Westchnął, potem dodał: — Człowiek do końca życia jest głupi... — Położył rękę na taksometrze: — Koniec. Baw się zdrowo, dziewczyno.

Zapłaciła i wysiadła. Szła wśród stojących furmanek; konie spały, zwiesiwszy łby w torby z obrokiem. Nie lśniła na niebie ani jedna gwiazda; tylko światło na iglicy Pałacu krwawiło mętnie. Olbrzymi plac Zieleniaka był mroczny i wymarły, lecz wiedziała, że o wschodzie słońca zaczyna się tu życie pełne gorączkowego zgiełku, mętnych interesów, szelestu pogniecionych pieniędzy i szeptów. „Małe świnstwa mówi się głośno — pomyślała przeskakując przez jakiegoś pijaka. — Wielkie szeptem. Prawdy natomiast nie mówi się w ogóle. Kto wie, czy każda prawda nie jest w gruncie rzeczy największym świnstwem?” Koń zarżał jej tuż nad głową; zakłęta i uskokczyła w bok.

Knajpa mieściła się w olbrzymim baraku; przychodzili tu furmani przywożący warzywa do miasta. Kiedy weszła na salę, zobaczyła go od razu. Siedział obok bufetu, przy stoliku zalanym piwem; rysował palcem jakieś zawiłe wzory. Przy tym samym stoliku spał pijany człowiek, oparłszy czoło na blacie. Kiedy Agnieszka usiadła, Grzegorz nie podniósł nawet głowy.

— Zbawiasz ludzkość? — zapytała.

— Zgadza się.

— No i co?

— Siła bomb wodorowych. To jedyne, co dziś może napełniać optymizmem.

— Bardzo ładnie powiedziane. Nie miałbyś ochoty wrócić do domu?

— Jej nie było?

— Nie.

— Matka jeszcze nie umarła?

— Nie.

— Nic się nie zmieniło?

— Nic.

Teraz dopiero podniósł na nią oczy.

— Więc po co przyszedłeś? — zapytał.

— Chcę, żebyś wrócił do domu.

— Dowcipu ci nie brak.

— Wiesz, że matka nie może spać, kiedy ciebie nie ma.

— Ja w ogóle nie mogę spać. I co z tego?

— Grzegorz.

— No?

— Szukałam cię pół nocy.

— Poszukiwania uwieńczył sukces, więc o co ci chodzi?

— Grzegorz, jestem strasznie zmęczona. Chciałabym spać. Nic więcej, tylko nareszcie spać. Którą to już noc łączę za tobą? Zrób to dla mnie i wróć. Upij się, zalej się, ale niech to nie trwa długo, i wróć.

Spojrzał na nią.

— Jesteś bardzo ładna — powiedział. — Masz naprawdę zielone oczy. Masz coś męczeńskiego w twarzy. Wzruszające kąciaki ust; jakaś dziecinna bezradność pomieszana z goryczą. O takich kobietach jak ty marzy się na wygnaniach, w katorgach i tak dalej. Ten twój bubek musi za tobą szaleć, co? Nasi rodzice go nie lubią, bo gnił w kryminale. To dziwne. Mnie, ilekroć miałem jakąś dziewczynę, rodzice zawsze lubili. Do pierwszej skrobanki

— Wrócimy już, Grzesiu.

— Posłuchaj mnie, Agnieszka. Lepiej będzie, jeśli wrócisz sama. Chcę swoje drogi przejść do końca. Chcę zobaczyć, do jakiego stopnia można się otepić. Ty nie musisz na to patrzeć. Odejdź i zostaw mnie.

— Chcesz się skończyć, Grzegorz?

— Możesz to nazwać, jak chcesz. Nazwa jest w tym wypadku obojętna. Żadna metafora nie zagra. Nie chcę już więcej kochać, cierpieć, czekać ani wierzyć w rzeczy, których nie potwierdza życie. Czy żądam od was wiele? Tylko tego, żebyście zapomnieli o mnie. Jakim prawem zaklinasz mnie na rodziców, których sama nie kochasz? Kto z nas może naprawdę kochać swoich rodziców? Ci głupi, obcy, zakłamaní ludzie, z którymi wiąże mnie tylko adres na karcie meldunkowej — za co ich kochać?

Spojrzała na niego. Starzał się; wyglądał na wiele więcej niż miał w istocie. Kąciki ust z każdym dniem coraz bardziej opadały mu w dół, zmarszczki wokół oczu stawały się białe. Byłby nawet i ładny, gdyby nie wiecznie opuchnięta twarz i przekrwione, mętniejące oczy — tak samo zielone jak i u niej. „Ty kretynie — pomyślała. — Żebyś wiedział, jak cię naprawdę kocham. Może nawet najwięcej ze wszystkich. Żebyś miała choć trochę pewności, że się wygłupiasz — nie siedziałabym w tej chwili z tobą. Wiem, że mówisz to, co czujesz naprawdę. A ja, kość z kości, krew z krwi, twoja siostra, siedzę tutaj, naprzeciw twojej skawcowanej gęby i nie mogę dla ciebie nic zrobić; nawet tego, aby cię zatańczyć do domu. Chciałabym, abyś mógł się w tej chwili domyślić, że naprawdę nic dla ciebie nie mogę zrobić”.

Przy bufecie powstał jakiś rumor. Dwóch kelnerów wyciągnęło za kołnierz jakiegoś jegomościa; jeden z nich w drzwiach pchnął go kolanem. Agnieszka pochyliła się do Grzegorza.

— Czy ja dla ciebie także nic nie znaczę?

— To demagogia — powiedział. — Metoda zupełnie już skompromitowana. Stalinowi się nie powiodło; jakim prawem sądzisz, że powiedzie się tobie?

— Nic nie sądzę. Jestem po prostu zmęczona.

— Wszyscy są zmęczeni. Dwie rzeczy, które w Polsce wiążą ludzi: wódka i zmęczenie.

— Grzegorz, ty przecież wiesz, że w końcu będzie lepiej.

— Na pewno. Ale powiedz mi, w jaki sposób zapomnieć o tym, co było, czym się żyło, jak postępowało się z ludźmi? Kapepowców zrehabilitowano po śmierci, kto mnie zrehabilituje za życia?

— Nie uczyniłeś przecież nic złego.

— Nie miałem władzy. Miałem tylko fanatyzm. Byłem świnia w własnym zakresie. Starłem się, jak mogłem. To też coś znaczy. Łatwiej oczyścić się z wielkich omyłek niż z drobnych świństw, przysięgam ci. Byłem sekretarzem na swojej uczelni. Wyrzucałem facetów ze studiów tylko dlatego, że mieli ciotkę w Pernambuko lub że pradziadek był carskim szpiclem. Starłem się, jak mogłem, wierz mi. A teraz chcę wiedzieć: w którym miejscu życia jestem?

Czy jestem świnia, czy bohaterem? To zresztą nieistotne: byle świnia może stać się bohaterem, kiedy zajdzie ku temu potrzeba. Chcę wiedzieć: z czym mam wrócić do życia? I chcę gwarancji, że będę miał czyste ręce w przyszłości.

— Tutaj, na Zieleniaku, nie dowiesz się tego. Poza tym jest jeszcze idea. Mądra i sprawiedliwa.

— To prawda. Ale słabością każdej mądrej idei jest to, że starają się realizować ją głupcy.

— To wszystko słowa — powiedziała Agnieszka. Oczy zamykały się jej ze zmęczenia. — Szukasz pretekstów do picia, Grzegorz. O to zawsze można się postarać.

— Sam fakt, że żyję — powiedział Grzegorz — jest wystarczającym pretekstem, aby czynić wszystko. Ale ja chcę wiedzieć: co dalej? Mówisz — pretekst. Dobrze. Opo- wiem ci coś. Kiedyś spotkalismy się z kolegą, którego nie widziałem parę lat. Poszliśmy do knajpy, wypiliśmy po parę kieliszków. Na takich facetów jak on mówiło się wtedy „czarna reakcja”. W sensie terminu oficjalnego. Porozmawialiśmy sobie tak po duszy. I mnie się wtedy już wiele rzeczy nie podobało, i jemu. Potem rozstaliśmy się. Facet — wróg. Najgorszy. Nie ma pistoletu, ale szepcze. Sieje zamęt. Przez takiego człowieka trudniej przejść jak przez zasieki. Krótko mówiąc: powinno mu się zamknąć w jakiś sposób mordę. I spotkalismy się z nim za trzy godziny — w bezpieczeństwie. Ponieważ i on, i ja wkraczaliśmy jednocześnie do gmachu, tym razem historia żadnemu z nas nie przyznała racji. Ja broniłem swojej wiary, swojej sprawy przed wrogiem; on swojej wolności. Na Boga, który z nas jest łotrem, a który człowiekiem? Do dziś tego nie wiem.

Pochylił się ku niej.

— Założmy nawet, że ona przyjdzie — powiedział. — Że ona w końcu przyjdzie. W ostatnią sekundę niedzieli. Odejdzie od męża, od dzieci i zostanie ze mną. Z jaką twarzą stanę przed nią? Z jakim sercem? Czym mam ją kochać, jeśli sam sobie przestałem wierzyć i sam sobą pogardzam? Czy świat, w którym żyjemy, jest miejscem, gdzie może rozwinąć się miłość? Dzisiaj nie śpi się z kobietami dla przyjemności, ale dlatego, żeby opowiadać o tym kolegom. Nie chcę stwarzać sobie iluzji życia. Nie chcę się chować ze swoją miłością przed innymi. I w pierwszym rzędzie chcę wiedzieć: co się stanie z Polską? Z tymi, których skrzywdzono? Z partią? Z wolnością? Chcę wie-

dzieć, co się stanie z tymi, którzy zawiedli moje zaufanie? Z tymi, którzy wmawiali mi, że walczę i zwyciężam, podczas gdy cofałem się do tyłu, przeciw ludziom, przegrywałem swoją wiarę i swoje sumienie. Własny głos słyszy się gardłem, lecz własne życie można usłyszeć tylko własnym sumieniem. Chcę znaleźć wodę, w której mógłbym umyć ręce. Czy jest sens w takich warunkach mówić o miłości? Wszyscy słyszeli, że coś takiego istnieje, ale — dalibóg — jak to wygląda? Jak to ma wyglądać? Jak godzić czyste uczucia z brudnymi rękami? To jest problem. Niejeden. Dzisiaj Hamlet ze swoim „być albo nie być” mógłby zostać chłopcem na posyłki u pierwszego lepszego sekretarza powiatu. Życie rozsadziło narzucone schematy jak gliniane skorupki: co stworzyć na to miejsce? Być albo nie być. Ludzie są zmęczeni, upadają na mordę, czym ich podnieść? Być albo nie być. Cynizm w szybkim tempie staje się jedyną moralnością. Być albo nie być. Czy w ogóle może powstać coś wartościowego na świecie, który swą równowagę utrzymuje szantażem? Być albo nie być. Stworzono już sztuczne księżycy, ale człowiek ze swoimi prawdziwymi uczuciami i pragnieniami cofa się do świątyni. Być albo... Szeffie, ćwiartkę proszę.

Kelner zabrał butelkę w przelocie i pobiegł dalej. Światło; okna wypełniły się brudnym światłem. Na salę z hałasem weszło jakieś pijane towarzystwo. Agnieszka obrzuciła ich wzrokiem: wszyscy byli świetnie ubrani i rozbawieni.

— Zamykają już nocne lokale — powiedział Grzegorz. Wskazał głową na tych, którzy weszli. — Architekci. Przychodzą tutaj, aby się dopić. Trzeba utrzymać więź z masami.

Kelner podszedł, postawił butelkę: — Kiedy pan płaci?

— Za parę dni — powiedział Grzegorz. Kelner odszedł. — Popatrz na nich — powiedział Grzegorz. — Może ci się zrobi lżej.

Agnieszka odwróciła głowę. Przy bufecie tłoczono się; panował nastrój radosnego poranka. Wysoki, szpakowaty pan o wzniosłej twarzy, ubrany w świetnie uszyty garnitur z angielskiej wełny, klepał po ramieniu jakiegoś chłopaka o wyglądzie początkującego rzezimieszka i mówił głośno:

— Ja jestem swój, zwyczajny chłopak. Z Woli. Przed

wojną latałem do kina „Roxy” — Lubilem kowbojskie filmy. Na Woli takie dawali. Staśka Malinowskiego z Woli znasz?

— Nie — odparł zagadnięty marszcząc niskie czołko. Szpakowaty pan rozpromienił się.

— Widzisz, widzisz. Boże, co to były za straszne czasy! Był głód, była nędza. O robocie — ani marzyć... — Wspomniał gestem uniósł dłoń do góry.

— Szefowa! — powiedział do bufetowej. — Królowo! Kolejka dla wszystkich. Na mój szczot! Napijemy się za robotniczą Wolę. — Zwrócił się do chłopaka. — Na imię mi Andrzej, a ty?

— Kazik.

Szpakowaty pan klasnął w dłonie.

— No, to buźka. — Wręczył chłopakowi kieliszek. — Twoje zdrowie, Kazik. I za Wolę.

Grzegorz wstał. Nalał całą zawartość ćwiartki do kufla i podszedł do bufetu. Skłonił się przed jakąś wydekoltowaną panią.

— Państwo pozwolą — zapytał — że przyłaczę się do toastu?

— Prosimy, prosimy — odezwały się głosy.

— Za robotniczą Wolę — powiedział Grzegorz. Chlusnął szpakowatemu panu wódką w twarz i odskoczył w tył. W ręku chłopaka o niskim czołku błysnął nóż. Grzegorz wyciągnął pistolet. Uniósł lewą dłoń do góry. — Spokojnie — powiedział. — Stać na miejscach. Nie będę się bił po chamsku. Strzelam.

Wyszli. Na dworze Agnieszka powiedziała:

— Ulżyło ci?

— Trochę — rzekł. Schował pistolet. Popatrzyła na niego z boku.

— Nie można powiedzieć, żeby ci brakowało polskich cech.

Wzruszył ramionami, potem uśmiechnął się skąpo.

— Sam powiedział, że lubi kowbojskie filmy — rzekł. — Trzeba wnikać w marzenia i pragnienia klasy pracującej, rozumieć jej dążenia... — Zamilkł, po jakimś czasie zapytał: — Czy ona przyjdzie w niedzielę?

— Na pewno — apatycznie powiedziała Agnieszka; nie wierzyła ani sobie, ani własnym słowom, ani błędnemu niebu.

Duża wskazówka zegara zbliżała się już do cyfry dwanaście. „Siódma — pomyślała Agnieszka. — Już nie przyjdzie. Na pewno nie przyjdzie”. Ogarnęła ją ulga i to na chwilę przytłumiło żal. Stała pod zegarem Dworca — Śródmieście. Była sobota; ludzie, ogarnięci szalem niedzieli, wbiegali w pośpiechu na peron; tłoczyli się i wymyślali sobie, objuczeni paczkami i walizkami. Chrypiał co chwila głośnik, oznajmiający odjazdy pociągów; w dole zapalały się czerwone i zielone światła. Znowś spojrzała na zegar: wskazówka przeskoczyła już dwunastą o trzy minuty. „Koniec — pomyślała. — Więc to tak wygląda: światła, wrzask i tłok. I nic z tych uczuć, które inni zwą cierpieniem. Po prostu otępienie”. Wskazówka znowś przeskoczyła o jedną podziałkę; kiedy opuściła wzrok, Piotr stał przed nią.

— Nie mogłem się dostać do tramwaju — powiedział. — Sobota, opętanie. Trzy razy milicja zdejmowała mnie z buforów.

Uśmiechnęła się.

— Mogli się przecież domyślić, że jedziesz do mnie.

— Oni nie są od myślenia — powiedział. — Oni są z milicji. Chodźmy już stąd. Nie lubię dworców kolejowych. To mi zawsze pachnie rozstaniem.

Wciąż jeszcze nie ruszali się z miejsca. Patrzyli na siebie; Piotr był blady, oczy miał zmęczone. Chrypiały głośniki: „Pociąg do Mińska Mazowieckiego odjeżdża.”. Galopem przebiegały tabuny ludzi. Agnieszka zapytała:

— Gniewasz się?

Pokręcił głową.

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić — powiedział. — Inni robili to jeszcze lepiej od ciebie. Zakładali gumowe, grube rękawiczki, takie, jakich używający hutnicy. Taką rękawiczką można człowieka walić przez czterdzieści osiem godzin po mordzie i nie ma śladu. Tylko dźwięk trochę puchną, tak jak niemowlakom przy pierwszych zębach. Pamiętam, któreś nocy...

— Chodźmy! — powiedziała Agnieszka. — O której ten klucz miał być?

— Od szóstej. Już tam czeka.

— Więc na cóż my czekamy?

Wstąpili po drodze do małej kawiarenki. Ludzie, pochyleni ku sobie przy okrągłych stolikach, brzęczeli jak muchy. Przy staroświeckim pianinie o kolorze jasnego orzecha kiwał się łysy jegomość; rąbał melodię grubymi palcami, oczy cały czas miał przymknięte. „Drzemie, łobuz” — pomyślała Agnieszka i ku swemu własnemu zdumieniu rozzłościło ją to. Tęga kelnerka po długiej chwili przyniosła im kawę i ciastka; kawa była prawie zupełnie zimna, a ciastka obrzydliwe. Piotr milczał; zwiesiwszy głowę, bezmyślnie poruszał w swej filiżance łyżeczką.

— Wyglądasz w tej chwili jak cymbał — powiedziała ze wściekłością Agnieszka. Narastał w niej niepokój.

— Cieszy mnie to — mruknął.

— Może byś tak coś powiedział?

— Boję się — powiedział. — Zawsze się bałem. Zawsze to nie wychodziło tak, jak pragnąłem. A teraz boję się jak jasna cholera.

Agnieszka kopnęła go pod stołem w kostkę. Podskoczył.

— A ja? — powiedziała histerycznie rozedrganym głosem. — Cóż ja mam powiedzieć?

— Spałeś już chyba z kimś, nie?

Popatrzyła na niego z nienawiścią.

— Teraz będę spać z tobą — warknęła. — I tylko chyba to jest ważne, nie?

Poderwała się nagle i chwyciła go za rękę.

— Idziemy.

— A rachunek, na miłość boską?

— Zostaw jej wszystko co masz, ale chodź już.

Wyszli z takim pośpiechem, że szatniarz obrzucił ich zdumionym spojrzeniem. Ulica biegła w ciemność. Rzadkie latarnie rozpraszały się w mroku. Szli szybko obok siebie, w milczeniu. Piotr chciał objąć Agnieszkę: odrzuciła go.

— Co ci jest? — krzyknął.

Przystanąła. Patrzyła z natężeniem w jego twarz. Musił przymknąć oczy.

— Pietrek — szepnęła.

— Tak.

— Co czułeś, kiedy pierwszy raz spałeś z kobietą?

— Pewnego rodzaju radość.

— Że jesteś już mężczyzną?

Zaśmiał się sucho.

— Nic podobnego — rzekł. — Że nigdy nie będę kobietą.

— Po co my tam idziemy?

— Możemy wrócić.

Widział na jej twarzy chwilę wahania.

— Nie — rzekła. — Chodźmy. Tylko to chciałam wiedzieć.

Znów szli w milczeniu. Kiedy mijali latarnie, cienie ich splatały się z sobą i odpływały w bok. Na dachach wrzeszczały koty. Agnieszka uśmiechnęła się nieprzyjemnie. Od Wisły ciągnął chłód, lecz zrobiło jej się tak duszno, że odpięła górne guziki bluzki.

— To pierwszy raz od czasów więzienia — powiedział nagle Piotr.

— Co?

— Z tobą.

— Naprawdę? — powiedziała bezmyślnie.

— Tak. Prawdziwa wolność nie następuje od razu.

— Daleko jeszcze? — spytała po pewnym czasie.

Blisko. Parę kroków. Sto metrów. Pięćdziesiąt metrów. Dwadzieścia. Już tutaj.

Weszli do bramy. Szli w górę ciemnymi schodami; gdzieś wysoko siedział niewidoczny kot i miauczał; Agnieszka odczuła nagle chęć, aby go zamordować. Schody pachniały praniem, kiszoną kapustą, smażonymi kartoflami i Agnieszka pomyślała nagle: „To było. To wszystko gdzieś już było. Te schody, kot...”. Jakiś pan schodził z góry i spojrział na nich z roztargnieniem; Agnieszka z trudem powstrzymała się, aby nie krzyknąć: „Czego tak patrzysz, półgłówku?”. Potem zatrzymali się przed jakimiś drzwiami: tu właśnie siedział mały kotek. Kiedy zobaczył ich, prychnął i uciekł. Piotr schylił się i sięgnął pod słomiankę. Szukał. Trwało to długo, potem wstał.

— Nie ma — wybełkotał. — Nie zostawił.

— Pukaj — rzekła krótko.

Zawahał się.

— Może on nie mógł... — zaczął.

Przerwała mu:

— Pukaj.

Zapukał cicho. Nikt nie odpowiedział. Agnieszka podeszła do drzwi i kopnęła je z całej siły; kotek przycajony na schodach miauknął rozpaczliwie. W korytarzu rozległo

się człapanie, potem zgrzyt klucza. W drzwiach stanął młody człowiek o dziewczęcej twarzy. Ubrany był w zieloną pidżamę; poczuł od niego alkohol.

— Ach stary — wybełkotał zobaczywszy Piotra. — Cholera, co za roztargnienie. Istotnie, zapomniałem. Strasznie mi przykro. No nic, pomieścimy się jakoś. Proszę.

Wyciągnął rękę w ciemność korytarza. Chwiał się trochę na nogach, lecz widać było, że usiłuje zachować trzeźwość. Piotr powiedział:

— Nie, dziękujemy ci.

— Wchodź — powiedziała Agnieszka. Pchnęła go z całej siły w plecy. Szli długim, staroświeckim korytarzem, objając się o szafy i kufry. Pachniało naftaliną i jakimś dziwnym zapachem pożółkłego papieru i lawendy. Młody człowiek w pidżamie szedł przodem balansując zręcznie.

— Tu — powiedział.

Weszli do pokoju. Palila się tylko mała lampka. Pierwszą rzeczą, którą Agnieszka zobaczyła, była zupełnie naga dziewczyna śpiąca na tapczanie. Kiedy weszli, nie otworzyła oczu i nie drgnęła nawet. „Pijana” — pomyślała Agnieszka. Młody człowiek wyjaśnił z zakłopotanym uśmiechem:

— Poznałem ją w pociągu, jechała tu do kogoś. Do męża czy do narzeczonego, diabli to w końcu wiedzą... Rozłożył ręce i zmrużył oko do Agnieszki. — No, cóż — powiedział. — Życie jest małe. Koniec końców wszyscy się spotykamy w łóżku. Ale jest drugi tapczan. Możecie to sobie załatwić, zdejmcie tylko narzutę. Nie będziemy sobie wzajemnie przeszkadzać.

— Dziękujemy panu uprzejmie — powiedziała Agnieszka. — Załatwimy to sobie przy okazji w prewecie. Czy to pana kotek miauczy na schodach?

— Kotek? — powtórzył właściciel mieszkania. — Kocina? Istotnie, moja.

Agnieszka zwróciła się do Piotra:

— Daj mu w mordę. Szybko!

Piotr podszedł do właściciela mieszkania i huknął go pięścią w skroń. Młody człowiek padł jak kłoda.

— To za karę, że głodzi pan zwierzęta — powiedziała Agnieszka.

— Idziemy — rzekł Piotr.

— Chwilkę.

Podeszła do kontaktu i przekreśliła go. W pokoju zrobiło się bardzo jasno. Agnieszka przykucnęła obok dziewczyny i poczęła ją oglądać.

— Zwariowałaś? — syknął Piotr. Szarpnął ją za rękę: — Chodźże!

— Muszę ją sobie obejrzyć — powiedziała cicho. — Chodź tutaj. Widzisz? Takie ma śliczne usta, nos... Szkoda, że jest zalana, bo obejrzelibyśmy sobie jej oczy. Piwne? Niebieskie? Czarne? Ciekawe: kto na nią czeka? Widzisz, jakie ma ładne piersi? Nie może mieć więcej jak dwadzieścia lat, mówię ci.

— Oszalałaś — powiedział.

— Nie — rzekła. Przykryła śpiącą dziewczynę i podsunęła jej poduszkę pod głowę. — Ale chciałabym oszaleć. Tak by było najlepiej.

Wyprostowała się. Podeszła do okna; zobaczył, że usiłuje opanować płacz. Nie podchodził do niej. Położyła dłoń na doniczce; widział bielejące jej palce.

Właściciel mieszkania ocknął się. Wstał, patrząc mętnie.

— Coś takiego... — wybełkotał.

Agnieszka odwróciła się.

— Daj mu w mordę Pietrek — powiedziała prędko.

Piotr zamachnął się. Młody człowiek znów upadł przewracając sobą krzesło.

— To dlatego, że nie podlewa pan kwiatów — powiedziała Agnieszka i uśmiechnęła się do niego. — Nie postępuje pan godnie ani z florą, ani z fauną. Dobranoc. Co złego, to nie my.

Na ulicy zaczęła się śmiać. Złapał ją za ramię.

— Czego? — warknął.

Przystanęli.

— O tej sytuacji nie możesz już nic powiedzieć — rzekła. — Coś takiego nie zdarzyło ci się chyba w więzieniu, prawda?

Cofnął się.

— Lepiej się rozstać — powiedział. — Mówię ci, Agnieszka, lepiej się rozstać. W każdej sprawie ludzkiej istnieje krąg, którego nie powinno się przekraczać. Lepiej odejść i ocalić chociażby wspomnienia. Szacunek. Godność. To mimo wszystko nie są takie głupie sprawy, jakby się zdawało.

Znów się uśmiechnęła.

— Tylko tego nauczyło cię życie? Odchodzić? Twoje więzienie, o którym ciągle mówisz?

— Tak — powiedział. — Lepiej odejść niż patrzeć, jak wszystko wali się w błoto. Nie mam ochoty umierać. Muszę z czymś żyć. Muszę o czymś pamiętać. O czymś, co nie było głównem.

— Kocham cię — powiedziała. — I zostanę z tobą. Chcę spać dzisiaj z tobą. Wszystko mi jedno w końcu gdzie i jak.

Minęła ich jakaś rozbawiona grupa: szli przez całą szerokość chodnika zataczając się z fantazją. Piotr i Agnieszka odsunęli się w bok. Piotr powiedział:

— Chodź do mnie.

— Do ciebie? Przecież mieszkasz z czterema kolegami.

— Może ich jeszcze nie ma — powiedział z rozpaczą. — Jest sobota, wcześniej, może gdzieś poszli. Zamkniemy się i nie wpuszczymy ich, choćby mnie mieli jutro wyrzucić na zbity łeb... — Krzyknął na całą ulicę: — Chodź na chwilę! Choćby na chwilę!

Zawrócili. Znów kroczyli obok siebie. Nic nie mówiąc wśluchiwali się w odgłos swoich kroków. Przechodzili obok barów, nocnych sklepów, mijali kina; Agnieszka patrzyła w oświetlone okna i myślała: „Ściany. Cztery ściany. Może trzy? Czy może być pokój zbudowany z trzech ścian? Czy można by było żyć w takim pokoju? Czy jest gdzieś taki pokój?”. Starła się myśleć o wielu różnych rzeczach, lecz w rzeczywistości przez wszystkie jej myśli przebiegała się jedna: usnąć, nareszcie usnąć. Nie poznawała ulic, przez które prowadził ją Piotr. Ocknęła się dopiero wtedy, kiedy przeprowadził ją przez jakąś bramę i znaleźli się w ciemnym zupełnie podwórku. Rozejrzała się ze zdziwieniem: ani w jednym oknie nie płonęło światło.

— Dlaczego tu tak ciemno? — zapytała

— Nie widzisz? — Roześmiał się. — Przecież to ruiny.

Teraz dopiero zobaczyła, że wszystkie okna były puste. Nie mogła tego dojrzeć od razu; ledwo się odcinały na tle ciemnego nieba.

— Tu mieszkasz?

— Jesteśmy jedynymi lokatorami — powiedział. — Sami żeśmy tę klinkę wyremontowali. Wchodzi się do

nas po drabinie. Lepsze od cyrku. Ale to nieważne, rozumiesz? Nie ma ich. Jesteśmy sami, Agnieszka.

— Sami — powtórzyła. Objęła go nagle i przyciągnęła do siebie; zaczęła nieprzytomnie całować jego oczy i usta. — Sami, sami — bełkotała. — Ty rozumiesz, rozumiesz? — Przytuliła się do niego z całej siły. Wtedy właśnie padł na nich z góry prostokąt światła. Zamknęła oczy. Piotr odsunął ją delikatnie.

— Wrócili — powiedział. — Tu tylko jedno okno świeci. Moje.

Unieśli głowy i patrzyli w górę. Wysoko nad nimi, nad oknem, podwórkiem i ruinami, świeciły zamglone gwiazdy. Jakieś stworzenie przebiegło koło nich, waląc miękkimi łapami o bruk.

— Jutro niedziela — powiedziała ochryple Agnieszka. — Pojedziemy za miasto, słyszysz? Weźmiemy koc i pojedziemy za miasto. Do lasu, gdzie chcesz. Przyjdź do mnie jutro przed południem.

Wyrwała mu się i uciekła; nie chciała, aby widział ściekające po jej twarzy łzy. Biegła jak szalona, roztrącając przechodniów. Potem dopiero, kiedy zobaczyła, że ludzie oglądają się za nią, zwolniła kroku. I szła już bardzo wolno.

Przystanęła przed swoim domem; nie miała odwagi wejść. „Aby jeszcze nie tam — myślała. — Aby jeszcze nie tam”. Kiedy wreszcie zdecydowała się wrócić, napotkała w bramie Zawadzkiego: wyprowadzał swój motocykl.

— Założyłem na łóżysko nową tuleję — oświadczył z dumą. — Teraz powinno być dobrze. Chcesz się ze mną przejechać?

— Dziękuję ci bardzo — powiedziała. — Nie jestem ubezpieczona na życie.

— Jesteś za to antypatyczna — powiedział. — Jeżeli cię to interesuje, to twój braciszek pije w knajpie o trzy domy dalej. Widziałem go tam przed chwilą. Idź po niego, póki ci nie pofrunie w miasto.

Zapalił motor i odjechał. „Iść po niego? — pomyślała z rozpaczą. — Czy zostawić go, niech robi, co chce?...”. Usłyszała nagle potworny hałas i brzęk, odwróciła się. Na rogu Zawadzki wpadł na jakiegoś człowieka, który wyprowadzał swą wózek z bazaru; cała ulica zasypana była jabłkami. Zawadzki i handlarze wymyślali sobie, aż się wszystko trzęsło dookoła.

— Też dobrze — pomyślała.

Weszła do restauracji. Kiedyś miał tu knajpę potężny marynarz, który ważył ponad dwieście kilo; z tamtych czasów zostały tu tylko jego karykatury — olbrzymi mężczyzna trzymający w ręku krążownik. Stali bywalcy tego baru rozleźli się po świecie; zachodził tu jeszcze od czasu do czasu Antoni Kolczyński, ulubieniec Pragi; pił wódkę i opowiadał o swoich walkach.

Agnieszka podeszła do Grzegorza.

— Grzegorz — powiedziała. — Tym razem nie szukałam cię. Możesz mi wierzyć, że to przypadek.

— Wierzę ci — powiedział. — Siadaj.

— Grzegorz — powiedziała. Pierwszy raz w życiu proszę cię o litość: wróć do domu. Nie spałam już tyle nocy, ledwo się trzymam na nogach. Matka nie uśnie, znów będzie histeryzować, znów będę musiała cię szukać.

— Ona nie przyszła — rzekł.

— Nie — powiedziała Agnieszka. Milczała chwilę, potem rzekła: — Grzegorz, masz przecież pistolet. Zabij mnie, zabij matkę, zabij kogo chcesz, ale wróć do domu.

— Jeszcze jeden dzień — powiedział. — Jeśli jutro nie przyjdzie, to znaczy, że nie ma sensu czekać na nią dłużej.

Umilkli. Widziała, że mówi coś do niej: patrzyła na poruszające się jego usta, lecz nie rozumiała już nic. Opaadała jej głowa, wszystkie myśli splatały się w jedną: spać. Szarpnęła się nagle.

— Grzegorz — powiedziała. — Napij się za moje zdrowie. Za moją miłość. Za niedzielę.

Nalała mu pełną szklankę. I kiedy chciał podnieść ją do ust, chwyciła jego rękę dwiema dłońmi i zacisnęła je z całej siły. Szkło chrupnęło; Agnieszka zaciskała swoje palce coraz silniej i czuła, jak odłamki wbijają się w jego ciało. Nie krzyknął; zbladł tylko i na czoło momentalnie wystąpił mu gruby pot. Oboje patrzyli, jak krew jego ścieka na poplamiony obrus. Ścisnęła ręce tak mocno, że aż chrupało jej w obojczykach.

— Wychodź — powiedziała.

Podniósł się; trzymając go za rękę i nie zwalniając ani na chwilę siły uścisku, wyprowadziła go przez salę na ulicę. Tam dopiero puściła jego dłoń. Zatoczyła się ciężko i oparła o mur.

— Bij — szepnęła.

Uśmiechnął się.

— To było ładnie zrobione — powiedział. — Myślałem, że ludzi już całkowicie wykastrowano z fantazji. Siła człowieka zawsze wypływa z okrucieństwa. To jest podstawa. Szkoda, że objawiłaś mi się tak późno; mógłbym ci się przedtem wystarać o odpowiednią pracę... — Podszedł do niej i uniósł jej twarz do góry. — Chodź, mała — powiedział. — Wrócimy rzeczywiście do domu. Zaczynamy mi się podobać od początku.

IX

Obudziła się wtedy, gdy ojciec chodził już po pokoju szurając pantoflami. Była jeszcze pełna snu, przychodziła z bardzo daleka, kiedy już usłyszała szum, i szum ten — monotonny i jednostajny — spędził jej resztki snu z powiek. Leżała bez ruchu, zamknięta jakby w sobie, nie mając odwagi otworzyć oczu i przekonać się. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy usłyszała, że ojciec podchodzi do okna.

Odsunął firankę i stał bezsilnie zgarbiony. Oparty ręką o framugę, wyglądał w ulicę.

— Deszcz pada — powiedział po chwili. Zabębnił palcami po szybie. — Niskie chmury — rzekł. — Będzie padać przez cały dzień.

Agnieszka narzuciła szlafrok i podeszła do okna. Stała obok ojca. Dachy lśniły wilgocią, woda bulgotała w rynsztokach; ludzie przebiegali śpiesznie, podciągając ubrania.

— Śnieg — powiedziała Agnieszka. Dotknęła ręką szyby. — Deszcz ze śniegiem. Takie rzeczy zdarzają się nawet w maju. Tydzień był parny...

— Ale dlaczego akurat w niedzielę? — z rozpaczą zapytał ojciec. — Dlaczego musi padać w niedzielę?

— Podstęp komunistów. Żeby ludziom utrudnić pójście do kościoła.

Ubrała się śpiesznie i przeszła do kuchni. Zawadzki golił się gwizdząc fałszywie jakąś melodię.

— Dzień dobry — powiedziała. — Gdzie Grzegorz?
— Wyniósł się gdzieś.
— Jedziesz?
— Gdzie?
— Do Julii?
— Ona się nie nazywa Julia, tylko Maria — powiedział ze złością. — Skąd ci to przyszło do głowy?
— Wszystko jedno. Jedziesz?
— W taką pogodę? Oszalałaś chyba.
— Cóż to jest dla ciebie? Założyłeś nową tuleję do sprężyny...

— Pojadę w następną niedzielę — powiedział. — Możesz być spokojna, że zrobię porządek z tą sprawą. Jeszcze się nie znalazła taka, która ze mnie zrobiła półgłówka... — Zwrócił się nagle ku niej: — Dlaczego ci, u diabła, tak na tym wszystkim zależy?

— Zaciąłeś się — powiedziała Agnieszka. — Przy goleniu trzeba uważać. A nie zależy mi na tym zupełnie. Po prostu towarzyska rozmowa.

Do kuchni wszedł Grzegorz. Zrzucił z siebie przemochny płaszcz. Usiadł na łóżku i począł zdejmować buty.

— Chory jesteś? — zapytała Agnieszka.

— Dlaczego?

— Kładziesz się.

Podniósł na nią przekrwione oczy. Potem wskazał ręką na okno.

— Znajdź mi lepsze zajęcie.

— Mógłbyś pójść na wódkę teraz — powiedziała. — Do wieczora byłbyś już pijany i szedłbyś spać bez komplikacji.

Zawadzki wyszedł, mówiąc: — Bawcie się sami. — Agnieszka usiadła na łóżku obok Grzegorza.

— Idź teraz — powiedziała. — Czy ci nie wszystko jedno? Jeśli się zachłasz teraz, to jest szansa, że wpadniesz gdzieś pod tramwaj albo pod samochód i będzie trochę spokoju. Wieczorem miasto jest puste.

— Nie zaczynam nigdy pić przed szóstą po południu — powiedział. — Świat bankrutuje. Trzeba zachować swoje morale.

— Grzegorz — powiedziała Agnieszka — chcę skorzystać z wyjątkowej chwili trzeźwości. Jeśli od dzisiaj nie przestaniesz chlać, pójde do twojego sekretarza i powiem

mu, co wyrabiasz. Nie powinienes być w partii. Tacy jak ty są tam chyba niepotrzebni.

Spojrzał na nią uważnie.

— Spóźniłaś się, siostrzyczko — powiedział. Poklepał ją po policzku. — Wczoraj właśnie odebrano mi legitymację... — Uśmiechnął się. — Nieszczęsny naród. Nieszczęśliwi ludzie. Koniecznie chcieliby coś zrobić, a wszystko już, niestety, było. Z moim sekretarzem możesz najwyżej iść do łóżka. Między zebraniem a zebraniem. Co masz mi jeszcze do zakomunikowania?

Agnieszka milczała. Patrzyła w szybę obmywaną deszczem. Drugiej strony ulicy nie było w ogóle widać.

— Grzegorz — powiedziała po chwili — do jakiego stopnia można być świnią?

— Mnie to też interesuje — odrzekł. — Poświęciłem się temu bez reszty. Kiedy dojdę do wniosków ostatecznych, zakomunikuję ci.

— Czy ona o tym wie?

— Kto — ona?

— Twoja kobieta.

— O ile mi wiadomo, nie mam żadnej kobiety.

— Czekasz na nią.

— Czekałem i na inne rzeczy. Nic z tego nie wyszło. — Podniósł się nagle: — Czego ty chcesz ode mnie? Jeśli żądasz odpowiedzi na aktualne zagadnienia, to poczytaj sobie „Sztandar Młodych”. Tam prowadzono kiedyś dyskusję, jak powinna wyglądać miłość zetempowca. Bardzo pouczająca rzecz. Gówniarze mieli do powiedzenia na temat kobiety więcej od Balzaka. A teraz daj mi spać.

Wszedł ojciec.

— Matka się fatalnie czuje — powiedział. — Narzeka, że ją serce boli. Zupełnie nie wiem co zrobić.

— Najlepiej nic nie robić — powiedział Grzegorz. — Przynajmniej będzie się miało czyste sumienie, że się w niczym nie uczestniczyło. Czy możecie z waszymi wielkimi sprawami krasnoludków wyjść do przedpokoju?

Agnieszka wypila herbatę i zeszła na dół. Piotr czekał na nią w bramie.

— Chodźmy na kawę — powiedziała. Podniosła kapтур płaszcz. — Najlepiej dziś nie mówmy w ogóle na tamten temat.

Skinął głową.

W kawiarni panował ścisk: nie dostali stolika. Wsiedli do tramwaju; chcieli dostać się do śródmieścia. Na przedniej platformie wygłupiało się paru pijaków; musieli już wypić dzisiejszego ranka, gdyż wszyscy ubrani byli w świąteczne garnitury.

— Wiesz co? — powiedział Piotr. — Czy zastanawiał się kiedy, jak wygląda Polska?

Cóż to znaczy?

— Marianna jest wyobrażeniem Francji — powiedział Piotr. — Amerykanie chcieliby, by statua wolności była symbolem ich demokracji. Rosję wyobrażano sobie kiedyś jako niedźwiedzia. A Polska?

— Nie wiem.

— Myślę często na ten temat — powiedział. — Wiesz co? — Wskazał ręką na pijanych. — Taki właśnie facet w tenisowym garniturze za sześćset złotych. Z lekka pijany. I w jakiejś ogromnej poczekalni. Bez rozkładu jazdy. Żeby już obraz był pełny, w lewym ręku mógłby trzymać *Króla Ducha*. W prawym butelkę, więc dla równowagi. Bardzo głupie?

— Nie wiem. Może głupie, może mądre. Deszcz pada, to jest ważne.

W kawiarniach śródmieścia również panował tłok. Chodzili od jednej do drugiej, przemoknięci i zziębnięci. Spróbowali iść do kina, lecz mimo deszczu ludzie ustawili się już w długie kolejki, głowy nakrywano gazetami i teczkami. W teatrze, na kasie, przeczytali wywieszkę o braku biletów.

— Możemy iść na obiad — powiedziała Agnieszka.

— Przykro mi, ale nie mam pieniędzy. Ty?

— Też nie mam. Całe stypendium wydałam na poszukiwania Grzegorza.

— Możemy jeszcze iść do kościoła — powiedział Piotr. — Nic nie kosztuje i dość luźno. Ludzie wciąż się jeszcze modlą z entuzjazmem. Myślę, że te sprawy mają z sobą jakiś związek. Poważniejszy, niżby sam Pan Bóg tego pragnął.

— Gdzie mamy iść, Pietrek? — zapytała tępo.

— Nie wiem. Nie ma ziemi dla zakochanych.

Stali naprzeciw siebie w jakimś punkcie mokrego miasta. Ociekali wodą. Gnane wiatrem fale deszczu napływały ciągle. Opryskiwały ich przejeżdżające samochody, potraćali

przechodnie. Z wielkich głośników wydierał się kobiecy głos.

— Nie mów tak — powiedziała z rozpaczą.

— Przeczytałem gdzieś, że największym, podświadomym pragnieniem człowieka jest, aby zostać niewolnikiem — powiedział Piotr. — Zaczynam w to wierzyć. Łapię się na tym, że chciałbym tam wrócić. Nie myśleć, nie troszczyć się o nic. Nie warto żyć, kiedy przed każdym miejscem na ziemi jest postawiona tablica „Wzbronione”. Jedynej rzeczy, której bym pragnął, to wyroku. Paragraf i lata są mi obojętne.

Złapał ją za rękę.

— Ja tam wrócę, słyszysz? Zrobię coś takiego, że wsadzą mnie na lata. Wrócę tam i będzie koniec. Nie będziemy się pętać, nikt nas nie przegna...

— Chodź — powiedziała.

Wzięła go za rękę i prawie siłą ciągnęła za sobą. Wpadli w jakieś ruiny; poczęła biec nie wypuszczając jego dłoni; potykali się o cegły i dziury, wstawali, aby biec dalej. W końcu upadła na ziemię, wśród puszek, skorup po butelkach i rozmięklej gliny. Pociągnęła go za sobą: upadł na nią. Z całej siły złapała za włosy jego głowy i przycisnęła do piersi. Prawą ręką poczęła zdzierać mu spodnie.

— Niech to się wszystko skończy, słyszysz? — krzyczała mu do ucha. — Proszę cię, nie rozmyśl się tylko. To wszystko jedno, mówię ci. Ludzie nie są lepsi od zwierząt. Nie trzeba myśleć, że można inaczej. Niczego nie można. Jedyne, co można, to skończyć z tą udręką. Nie myśl, co będzie dalej. Chodź już, proszę cię! Chodź, nie uciekaj!

— Odejdź! — krzyknął. — Odejdź, bo cię zabiję!

— Zabij mnie — powiedziała. — Zabij mnie, ale po tym. Po tym, co się stanie, nie będziemy mogli patrzeć na siebie. I będzie spokój. Nareszcie spokój. Bez tęsknoty. Bez miłości. Bez niedzieli. Bez twojego gadania o więzieniu. Będziemy płuć w swoją stronę. Czy to wszystko ważne? Nie uciekaj, nie puszczaj cię. Chodź. Potem zapomnijmy o sobie. I nie będzie nic. A teraz już chodź...

Wyszarpnął się i odskoczył w tył. Osunęły się jakieś cegły i z hukiem poleciały w dół. Chwilę stał nad nią, z ciemną twarzą i ręką wzniesioną do uderzenia.

— Agnieszka... — wybełkotał ochryple. — Agnieszka...

Potem zbiegł na dół; waliły się za nim cegły i gruz. Leżała bez ruchu i woda spływała po jej włosach, twarzy i obnażonych udach. Kiedy po chwili znalazła się na ulicy, nie było już Piotra. W bramie grupka ludzi chroniła się przed deszczem; wychylali co chwila głowy i patrzyli w ołowiane niebo. Jakiś chłopak powtarzał co chwila: „Cholera, cholera”... „To wszystko z tych bomb — mówił ktoś. — Wszystko z tych bomb. Gdyby ich nie puszczała, pogoda byłaby inna...”. Cały świat pełen był wody; odnosiło się wrażenie, że wszystko rozmięka.

W domu, tak jak i rano, ojciec stał przy oknie. Grzegorz spał w kuchni. Agnieszka zdjęła płaszcz i usiadła na tapczanie. Matka leżała z przymkniętymi oczami.

— Nic z moich ryb — powiedział ojciec. — Jechać na taki deszcz? Mój Boże... Pożyczyłem od Lipińskiego pięćdziesiąt złotych na żyłki i wszystko na nic...

I nagle zobaczyła blisko swojej jego wykrzywioną wściekłością twarz. Szarpnęła się do tyłu, gdyż wykonał taki gest, jakby chciał ją złapać za gardło.

— Gdyby nie ty — powiedział łamiącym się głosem — gdyby nie ten pijak w kuchni, mógłbym żyć jak człowiek. Mógłbym dzisiaj, w niedzielę, pójść na dziwki albo się upić. Byle deszcz człowiekowi krzyżuje życie. Muszę siedzieć w domu i pilnować matki. Nie pojechałem na ryby, a jutro będę tłoczyć się w tramwaju...

Skoczył nagle do tapczanu, gdzie leżała matka.

— Wstawaj, ścierwo! — zawył piskliwie. — Wstawaj, zdechnij, rób co chcesz, ale niech się nareszcie coś zmieni, niech się nareszcie zmieni...

Agnieszka znów znalazła się na ulicy. Jakiś wyrostek zapytał: „Czy mogę pani służyć parasolem?”. Ciemne chmury leżały nisko: tuż nad dachami.

X

— Skąd pani zna Elżbietę? — zapytał mężczyzna.

— Studiowałyśmy razem — powiedziała Agnieszka. — Nawet razem robiłyśmy maturę. Po drugim roku ona rzuciła studia. Od tego czasu jej nie widziałam.

— I spotkałyście się dopiero dzisiaj? — zapytał. Podsunął Agnieszce papierośnicę; była już nieco wstawiona i nie mogła wyłuskać papierosa spośród innych. Mężczyzna uśmiechnął się. Wyjął papierosa i podał jej wprost do ust. Ręce miał mocne, ogorzałe, przeguby pokryte ciemnym zarostem.

— Dzisiaj — powiedziała Agnieszka. — Stałam w bramie, czekałam, aż minie ulewa. Ona też tam jakoś trafiła. Wzruszające, prawda? Był kiedyś taki przebój *Burzliwa pogoda*. Pamięta pan?

Pochylił głowę. Włosy miał ciemne, krótko przystryżone, bez połysku. Kosmyk opadał mu na czoło.

— Nie — powiedział po chwili. — Proszę zaśpiewać. Może sobie przypomnę.

— Tutaj? W tej knajpie?

Przysunął się do niej. Poczuli na szyi jego oddech; gorący, przesycony nikotyną i alkoholem.

— Możemy zmienić lokal — powiedział.

— To znaczy: knajpę na knajpę.

— Tego nie mówiłem.

— Szkoda. Zresztą deszcz pada.

— Spróbujemy zacczarować niebo.

— Szkoda, że nie poznałam pana wcześniej.

— Dlaczego?

— Poprosiłabym pana o to dzisiaj rano.

— A teraz?

— Teraz? Wszystko jedno.

— Jak komu.

— Czy nie uważa pan, że prowadzimy piekielnie głupią rozmowę?

Uśmiechnął się szeroko, lecz oczy jego nie zmieniły wyrazu. Patrzył spokojnie i chłodno; Agnieszka z trudem wytrzymywała jego wzrok.

— Niech się pani nie przejmuje — powiedział. Większość ludzi rozmawia z sobą w ten sposób.

— A pozostali?

— Nie wiem. Prawdopodobnie jeszcze głupiej.

— Tak — powiedziała Agnieszka. — Szkoda, że nie doszłam do tego wcześniej. Z kim tańczy Elżbieta?

— Z jakimś bubkiem.

— To zdaje się pański znajomy.

— Nawet bliski — rodzony brat.

Skinął na barmana. Ten podszedł jak zaczarowany. Agnieszka patrzyła w kieliszki napełniające się ciemnym płynem. Pochyliła się nieco i zobaczyła w nich zdeformowane odbicie własnej twarzy. Szarpnęła głową w tył.

— Napijmy się — powiedział mężczyzna.

Ujęła kieliszek, był bardzo zimny, pokryty rosą.

— Za czyją pomyślność?

— Za zdrowie deszczu — powiedział mężczyzna. — Gdyby nie deszcz, nie spotkałaby pani Elżbiety. Gdyby nie deszcz, Elżbieta nie przyprowadziłaby pani tutaj. W końcu, gdyby nie deszcz, nie poznałbym pani. Dlaczego pani nie chce pić?

— Już piję — rzekła. Uniosła jeszcze wyżej kieliszek. — Zdrowie deszczu.

Wypili. Znowu mignął barman z butelką. Coraz więcej ludzi tłoczyło się wokół nich.

— Gdzie pani wyjeżdża latem? — zapytał.

— Nie wiem, czy w ogóle będę mogła wyjechać. Muszę napisać pracę magisterską. W tym roku kończę studia.

— Magister?

— Filozofii. Zawód polegający na bezbłędnym wyjaśnianiu zjawisk życia. Komiczne, co? Kim pan jest?

— Dziennikarz. Zawód polegający na pisaniu całkowitej i rzetelnej prawdy. Komiczne, co? Z nas trojga, o ile się orientuję, najlepiej ustawiona jest Elżbieta. Po prostu dziwka. Zawód bez cudów i złudzeń.

— To nie zawód — powiedziała Agnieszka. Uśmiechnęła się: — To moralność. — Nie zakamufLOWANA dziwka to najwyższa moralność, jaką może dziś osiągnąć kobieta.

Spojrzał na nią z boku.

— To świeże, co pani mówi — powiedział. — Na ogół słyszy się co innego. „Kiedy byłam młoda, spotkałam człowieka, którego pokochałam i który...” i tak dalej.

— Ba — powiedziała Agnieszka. — Można mówić, ale po co? Ideał, to życie bez złudzeń, bez mitów.

— Nie pragnie pani złudzeń?

— Nie.

— Więc?

— Zapomnieć — powiedziała. — Boże, gdyby dało się zapomnieć. O ojcu, o knajpach, o naszym przedmieściu...

Położył jej rękę na ramieniu i przyciągnął do siebie. Zamknęła oczy i poddała się temu biernie.

— Zapomnij — powiedział cicho. — Zapomnij... na jeden dzień.

XI

— Idiotka — powiedział mężczyzna; był purpurowy z pasji. Uniósł jej głowę za włosy i dwa razy uderzył ją w twarz; momentalnie uczuła smak soli. — Nie mogłaś sobie znaleźć kogoś innego, kto by cię rozprawiczył? Za te pieniądze, które z tobą przepiłem, miałbym przyzwoitą dziwkę. Bydłęta. Nawet w tych sprawach nie można wam zaufać.

Wciągnął pidżamę i wyskoczył z łóżka. Zerwał z niej kołdrę.

— Ładnie to wszystko wygląda — powiedział. — Zupełnie, jakbym zamordował człowieka. Ja też będę ładnie wyglądał. Żona wraca za trzy godziny ze Stalinogrodu. Nie ma, psiakrew, zapasowej bielizny. Co ja jej powiem? — Odetchnął głęboko: — Co ci w ogóle strzeliło do głowy? Sądząc z urody, powinnaś być doświadczoną dziwką. Na co ty czekałaś?

— Na deszcz i na ciebie.

— Przykro mi, że się uniosłem — powiedział. — Trudno, przepraszam. Musisz mi jakoś pomóc. W łazience jest gorąca woda... Jak myślisz, da się to sprać?

— Bez trudu — rzekła. — Nie takie rzeczy można sprać. Zgaś światło, ubiorę się.

— Nie chcę wcale na to patrzeć — powiedział z wściekłością. Zapalił papierosa i odwrócił się. — Żeby tylko zdążyło wyschnąć. To bydłę przyjedzie i będzie mi robić awantury do rana. Chciałbym się jeszcze wyspać, mam tyle roboty jutro... — Odwrócił się ku niej gwałtownie: — I na co ty czekałaś, u diabła? Czy nie miałaś jakiego chłopaka? Wprost w głowie nie chce się pomieścić...

— Powiedziała ci już: czekałam na ciebie.

— Teraz zrobisz mi scenę, że cię uwiodłem, prawda? Jak ty się w ogóle do cholery, nazywasz?

Roześmiała się.

— Żadnych scen — rzekła. Podeszła do niego i pocałowała go. — Jestem ci bardzo wdzięczna.

— Jak ty się nazywasz? Jak mam do ciebie mówić?

— Jak chcesz. Najlepiej: Kochanie. Nie ma żadnej treści i można podłożyć pod każdą twarz. Możesz mówić kotku. Skarbie. Serce. Kurwo. Kurwiątko. Słoneczko. To też dobre, co? Najlepiej słoneczko. Poznaliśmy się w deszcz, więc na zasadzie tęsknoty. Wszystko, co czyni człowiek, czyni z tęsknoty za lepszym życiem. Albo z protestu moralnego. Tak. Najlepiej: słoneczko. Pomóż mi ściągnąć tę poszwę, będzie prędzej.

— Słuchaj — powiedział. — Teraz mi naprawdę przykro. Mam otępiałe nerwy, wybac mi. Musimy się jakoś zobaczyć. To wprost w głowie się nie mieści.

— Drobnostka. Nie przejmuj się.

— Jak się zobaczymy?

— W ogóle się nie zobaczymy. Będziemy myśleć o sobie. Wystarczy.

Kiedy uprała już pościel, wyciągnęła do niego rękę.

— Serwus — powiedziała. — Nazywam się Agnieszka. Agnieszka Walicka. Możesz o mnie opowiadać swoim kolegom. A teraz daj mi dwadzieścia złotych.

— Co?

— Dwadzieścia złotych. Na taksówkę. No, tak, tak. Powinno się każdą sprawę rozegrać do końca.

Wyciągnął portfel.

— Może ci więcej potrzeba.

Pokręciła głową.

— Wystarczy, jak na początek. Dobranoc. Pozdrowienia dla żony.

Deszcz padał ciągle. Nie mogła nigdzie znaleźć taksówki; szła pustym miastem. Rzadko świeciły okna. „Która to może być godzina? — pomyślała. — Dwunasta? Pierwsza, druga?”. Bolała ją głowa; szła z rękami w kieszeniach płaszczu, mokre włosy opadały jej na czoło. Przyklękła nad kałużą i obmyła w niej dłonie. Potem podniosła się; chwilę trwało, nim setki latarni zbiegły się z powrotem w jeden sznur. Uśmiechnęła się. „Już — pomyślała. — Już po wszystkim. Nawet bolało mniej, niż mówią. Nie rozumiem tylko, skąd ta krew nosem... Witaj, życie. Jutro pewno będzie jeszcze padać, ale za parę dni się wy-

pogodzi. Mężczyźni będą chodzić bez marynarek. Będzie można włożyć lekką sukienkę. Pójść na lody. Albo nad Wisłę. Można będzie pojechać za miasto. Teraz jest obrzydliwie. Nawet cienie są lepkie”...

Po długim czasie doszła do domu. Z bramy wyszedł jakiś mężczyzna i stanął przed nią. Był to Piotr. Wyciągnął ku niej rękę. W mętym świetle ulicznej latarni, błysnął metalowy przedmiot.

— Klucz — powiedział cicho. — Mamy jeszcze cztery godziny do świtu.

Oparła się o mur.

— Dawno na mnie czekasz?

— Całą noc — powiedział. — Ale wiedziałem, że wrócisz.

— Która jest teraz?

Spojrzał na zegarek.

— Trzecia.

— Co to za klucz?

— Zdobyłem mieszkanie — powiedział. Nie pytaj jak. — Cudem. Facet wyjeżdża za granicę, możemy mieszkać przez jakiś czas.

— Dlaczego nie śpisz?

— Nie — powiedział. — Za długo czekałem. Powiedziałem sobie, że pierwszą noc muszę tam spędzić z tobą. Chodź już.

— O siódmej będzie już jasno — powiedziała. — Może nawet wcześniej. — Może już o szóstej... — Chwyła go za ramię. — Słuchaj, powiem ci coś. To może być przykre, ale to lepsze od kłamstwa. Jestem z kimś innym, już od dawna. Kocham go. Kłóciliśmy się kiedyś; wtedy akurat poznałam ciebie... Musisz mi wybaczyć. Jeśli ci to sprawi ulgę, możesz mi dać w twarz. Chcę wrócić do tamtego... — Odrzuciła nagle jego rękę: — Weź ten klucz i odejdź.

Patrzyła za nim, jak odchodzi; mgła i deszcz tłumiły jego kroki; zdawało jej się, że pragnie je słyszeć sercem, lecz nie słyszała nic. Szedł sam pustą ulicą — wysoki i szczupły, z pochyloną głową; latarnie wydłużały jego cień i zdawało jej się, że to tylko sam cień sunie przez wilgotną pustkę. Trzymał ciągle — ruchem ślepca — wyciągniętą rękę; kiedy mijał latarnię, zapalał się w niej błysk. Wsadziła sobie palce aż do gardła i gryzła je, aby nie krzyknąć; w

ustach miała pełno krwi. Trzymała się bramy, gdyż świat naraz począł huśtać się pod nią. Zniknął za rogiem, lecz za chwilę wychylił się z powrotem i szedł ku niej. Patrzyła rozszerzonymi oczyma, lecz kiedy był już blisko, zobaczyła, że idzie ku niej Grzegorz.

— Co tu robisz? — wybełkotał. Łamały się pod nim nogi; musiał chwycić się bramy.

— Przyszła? — zapytała Agnieszka.

— I poszła.

— Dlaczego?

— Ludzie jej powiedzieli, że piłem, że piję. Ja od siebie dodałem, że pić będę. Wróciła na łono męża, aby obdarzać go czystymi pieszczotami. Z cnotą lekko przechodziła. Teraz już nie ma na co czekać. Można pić bez złudzeń.

Umilkł.

— Płaczesz jednak.

— Przecież kocham ją — powiedział. — Będę ją kochał zawsze.

Znów umilkł.

— Grzegorz — powiedziała nagle Agnieszka. — Masz przy sobie broń?

— Bo?

— Masz?

— Mam.

— Chodź ze mną — powiedziała.

— Dokąd?

— Blisko, Grzegorz. Tym razem, naprawdę już blisko. Chodź. Ale najpierw daj mi pistolet.

Podał jej. Schowała ciężkie żelazo do kieszeni.

— Idziemy — rzekła.

Poszedł za nią. Przeszli kilkadziesiąt metrów; skręcili w lewo i znaleźli się na pustym Bazarze. Szli wśród skrzynek i stert gnijących warzyw. Gdzieś czekał pies.

— Siadaj — powiedziała Agnieszka. Podsunęła mu skrzynkę, usiadła. Przysiadła obok niego i objęła go. — Grzegorz — powiedziała cicho, tak jak mówi się do małego dziecka — mówiłeś tyle nocy, posłuchaj teraz mnie. W tym kraju nieprędka będzie dobrze. Wszyscy czekaliśmy na dzień, który jeszcze nie nadszedł. I nie nadejdzie prędko. Jest poza tygodniem, poza miesiącem i rokiem. Trzeba czekać. Trzeba mieć siłę. A najważniejsze: trzeba żyć ma-

drze, o wiele mądrzej, niż żyło się dotychczas. Nie dać się oszukać, walczyć, bronić się przed świństwem. Może potem będzie dobrze. Czy masz siłę czekać, Grzegorzu?

Milczał.

— Może ona wróci — rzekł.

Uśmiechnęła się.

— Cóż z tego — powiedziała. Twoja powieść, o której mi kiedyś opowiadałeś, to głupia bajka dla przedszkolaków. A ta kobieta? — Wróci albo nie. A jeśli nawet? Ludzie zaplują drogę między wami. Nigdy nie powiecie sobie tego, co was łączy, a co dzieli. Będiesz myśleć ciągle o niej, o jej mężu, co dzieje się między nimi w tej chwili...

— Dość — przerwał.

Nie mówili nic.

— Widzisz — powiedziała po chwili Agnieszka. Wyciągnęła pistolet; chwilę mocowała się z zamkiem, potem nabój z chrzęstem wskoczył do komory. — Ale ty już tego nie doczekasz — rzekła. — I kiedy wszyscy już będziemy żyć lepiej, ty — będziesz już niczym. Zebrzącą, zapijaczoną szmatą, która w nic nie wierzy i której nikt nie wierzy. Twój czas już się zamknął. Będiesz umarłym wśród nas...

— Kończ — powiedział. — Polska skończyła od przemówień.

— Kończę — rzekła. — I chcę już spać od jutra.. Chcę, żeby matka umarła w spokoju. Weź ten pistolet — jest odbezpieczony. Teraz ja odejdę, a ty to zrobisz. Nie będziesz już więcej czekał na nią ani dręczył się klęskami. Nie zapiszesz się już nigdzie, nikomu nie będziesz potrzebował wierzyć. Nikt cię nie oszuka. Ani władza, ani kobieta. Wszystko zgaśnie. Trzymaj.

Podawała mu broń. Wziął bezwolnie.

— Jeszcze jedno — powiedziała. — Wiesz, że cię kocham. Pocałuj mnie.

Pochylił się ku niej i pocałował ją w policzek; usta jego były zimne i twarde.

Potrząsnęła głową.

— Nie tak — powiedziała cicho. — Pocałuj mnie tak, jakbym nie była twoją siostrą... Czekaj, pocałuję cię sama.

Pocałowała go.

— Grzesiu — rzekła. — Nie myśl o tym, że wszystko

się kończy. Myśl, że wszystko się dopiero zaczyna. To, co powinno być życiem: spokój, wolność i cisza.

Odeszła i biegła przez plac. Potem, na ulicy, zatrzymała się. Przyszedł po paru minutach.

— Wiedziałaś przecież, że tego nie zrobię — rzekł. Wzruszyła ramionami.

— Oczywiście — rzekła. — Chciałam ci tylko pokazać, że wszyscy jesteście komiczni z naszymi historyjkami. Po prostu komiczni... — Zaczęła się śmiać. — Teraz już nie ma ciebie — powiedziała — ani Pietrka. Jest tylko tamten, ze swoją żoną ze Stalinogrodu. Jak ona wygląda? Jak wygląda człowiek oszukiwany? Jak my wszyscy wyglądamy? Nie było nic. Ani ciebie, ani niedzieli, ani nikogo. Po prostu nie było nic. Tak najlepiej myśleć. A teraz jest już wolność. Zastrana, przekłeta wolność.

Zaczęła się śmiać i śmiała się ciągle: jeszcze wtedy, kiedy leżała już w łóżku nasłuchując oddechu ojca i matki. I zdawało jej się, że ten pokój, to miasto, ten świat, wszystko wypełnione jest jej śmiechem, którego nikt poza nią nie słyszy. Potem przyszedł świt.

XII

Ubierała się śpiesznie: o ósmej zaczynała wykłady. Chciała wejść do kuchni, lecz wyszedł naprzeciw niej Zawadzki. Twarz miał uroczystą; położył palec na ustach.

— Cicho — rzekł. Ona jeszcze śpi.

— Co za ona?

— Maria, moja narzeczona, no...

— Przyjechała?

— Rodzice ci nie powiedzieli?

— Nie — powiedziała. — Wróciłam wczoraj bardzo późno.

Spojrzał w jej zmęczone oczy i uśmiechnął się szyderczo.

— Wczoraj — powiedział. — Wczoraj wieczorem...

— Uśmiechnął się szczęśliwie. — To wszystko, co ludzie opowiadali, to bujda. O ile życie byłoby znośniejsze, gdyby

nie życzliwi. Cicho, zdaje się, że już wstała. Myśmy z Grzegorzem spali tu, na korytarzu.

Weszli do kuchni; dziewczyna siedziała tyłem do nich i rozczesywała włosy.

— Marysiu — powiedział Zawadzki — to jest właśnie Agnieszka.

Dziewczyna odwróciła się i Agnieszka drgnęła. Była to ta sama dziewczyna, którą zastała z Piotrem u młodego człowieka w pidżamie. „Wtedy wyglądałaś jeszcze niewinniej — pomyślała Agnieszka. — A czy masz brązowe, tak jak się tego domyślałam”.

— Dzień dobry, koleżanko — rzekła.

Maria uniosła brwi.

— Nie znamy się przecież — powiedziała.

— Nie szkodzi — — rzekła Agnieszka. — Poznamy się bliżej, będziemy sobie jakoś pomagać.

— W tym tygodniu bierzemy ślub — powiedział Zawadzki; twarz jego jaśniała szczęściem. — Idę teraz załatwiać te wszystkie historie. Mam dosyć rozłąki. Powinszuj nam.

— Winszuję wam — powiedziała. — Zwłaszcza tobie. Tyle się niepokoiłeś, widzisz? Dobrze uczucia zawsze zostają wynagradzane. Na tym przecież polega rytm świata. Do widzenia, muszę iść na wykłady.

Zawadzki i Maria uśmiechnęli się do niej. Skinęła głową. Wróciła jeszcze po torebkę do pokoju. Ojciec stał przy oknie i wyglądał na ulicę.

— Niskie chmury — powiedział. — Teraz będzie padać przez cały tydzień... — Odwrócił się do niej. — Boże — powiedział — Boże, żeby już była następna niedziela.

1956

AMOR NIE PRZYSZEDŁ DZIŚ WIECZOREM

Januszowi Minkiewiczowi

Sierżant uniósł znad olbrzymiej książki swój wzrok. Patrzył na nas przez chwilę wydymając grube wargi. Wyprężyliśmy się jak struny, ręce przycisnęliśmy do boków, tak, iż przylegały one niby przyspawane, a obcasy naszych podkutych, wspaniale wyczyszczonych butów zrównaliśmy do granic dziesiątków milimetra. Każdy z nas wyglądał w tej chwili, jak rysunek postawy zasadniczej w „Regulaminie żołnierza”.

Milczenie trwało chwilę; cisza była absolutna, słyszeliśmy tylko sapanie sierżanta i brzęk muchy, która obijała się nieustannie o lampę zawieszoną nad stołem. Potem sierżant poślinił swój ogromny palec i bez wyraźnej przyczyny przerzucił kilkanaście stron. Następnie zamknął książkę z trzaskiem, otworzył ją z powrotem i dopiero wtedy zapytał pierwszego w kolejce:

— Nazwisko?

— Janik — odparł zagadnięty; niski, barczysty blondyn o szerokiej szczęce i malutkich oczach myszy. Trzasnął przy tym obcasami z siłą, o którą można podejrzewać słonia.

— Hę?

— Janik, melduje posłusznie.

— Kompania?

— Czwarta.

— Hę?

— Czwarta, melduje posłusznie.

- Pierwszy raz na przepustkę?
- Tak jest, melduje posłuszenie.
- Idziecie wszyscy trzej razem?
- Tak jest, melduje posłuszenie.

Sierżant wręczył Janikowi przepustkę. Potem uniósł gruby palec do góry.

— Przepustka, to kochana rzecz — powiedział. — Ale trzeba uważać. Nie pchać się z tym co wiecie, tam, gdzie nie potrzeba. Potem można nosić wałek przez sześć tygodni na temblaku. Zrozumiano?

— Tak jest — wrzasnęliśmy chórem.

— No — powiedział sierżant. — A potem bardzo przykro jak nie ma czym siusiuniu zrobić. Wybraćcie sobie. Janik! Stajecie jak co miesiąc na szwanc-paradę: jesteś wymyty, łeb masz przystrzyżony, pazury u nóg obcięte, gacie oddałeś do prania i przychodzi twoja kolejka. Lekarz w randze majora mówi do was: „Pokażcie”. A wy, szeregowy Janik, mówicie: „Kiedy nie ma co, melduje posłuszenie”. Lekarz w randze majora patrzy na was i znów mówi: „Pokazać”. To wy znów postawa zasadnicza i mówicie: „Melduje posłuszenie, że nie mam”. To lekarz w randze majora znów patrzy na was, ale teraz mówi: „Niewykonanie rozkazu”. A wy, strzelec Janik — znów postawa zasadnicza — i mówicie: „Tak jest, melduje posłuszenie”. A wy wiecie, strzelec Janik, co to jest niewykonanie rozkazu?

— Tak jest, melduje posłuszenie.

Sierżant zdjął czapkę i otarł głowę chustką: dzień był upalny.

— Zrozumiano?

— Tak jest.

— Odmaszerować.

Wyszliśmy za bramę; wartownik obrzucił nas pełnym zawiści spojrzeniem i szepnął: „Sukinsyny...”. Mineliśmy go zachowując pełne pogardy milczenie: od tej chwili przestał już być figurą, władzę nad nami miała jedynie Komenda Miasta i czas wypisany na przepustce. Idąc gwizdaliśmy; mnie samemu, wielką ulgę przynosiła myśl, że nie musimy iść w nogę — wlokłem się więc jak łachudra a swoją śmiałość posunąłem aż do tego stopnia, że jednym prztyknięciem palca w daszek zrzuciłem czapkę na bok ogolonej głowy, przez co uzyskałem wygląd beztroskiego zawadiaki i przypominałem sobie pełną czarę przeszłość, kiedy to chodziłem w

samodziałowym kaszkiecie, trzymając ręce w kieszeniach i opluwając łupinami od pestek całą szerokość ulicy.

— Gdzie idziemy? — zapytał mnie Janik.

— Nie wiem — odparłem. — Tam, gdzie coś trafimy.

— Może nad rzekę?

Wzruszyłem ramionami.

— Do diabła z rzeką — powiedziałem. — Jeśli nawet są, to wszystkie obstawione. Która dziwka chodzi nad rzekę sama?

— Dlaczego? — z namysłem powiedział Janik. — Czasem chodzą.

— Ale nie w niedzielę — rzekłem. — W niedzielę jest suma; to długo trwa, potem nie warto już chodzić nad rzekę.

Trzeci nasz kolezka był milczącym typkiem o ptasim nosie i wysuniętej dolnej wardze, co w połączeniu z małymi oczkami, nadawało mu wygląd chytrusa. Ani ja, ani Janik nie lubiliśmy go, a poszedł on z nami tylko dlatego, że był już kiedyś w tym przekłętym mieście i mógł się przydać.

— Tu będzie ciężko — powiedział teraz. — W tych małych miasteczkach jest bardzo ciężko o takie rzeczy.

— Musimy coś znaleźć — powiedział Janik i ze złością splunął niedopałkiem. — Musimy coś znaleźć, żeby nas nawet szlag miał trafić.

Potem zaczęliśmy kłać wszyscy naraz i w ten sposób zesłała nam droga do rynku. Odbывała się tam akurat zabawa ludowa; orkiestra grała przeboje sprzed kilku lat, chodniki były zaśmiecone, milicjanci odciągali na bok pijaków; inni pijacy usiłowali wdrzeć się na estradę i odebrać instrumenty muzykantom, kilku wyrostków tratowało obcasami jakiegoś człowieka; kobietom perkalowe, tandetne sukienki lepiły się do ciała, a nad tym wszystkim — w podmuchach gorącego, martwego wiatru — chwiały się transparenty. Przepychając się przez tłum łokciami dobiliśmy do bariery i tam przystanęliśmy obserwując tańczących. Wszyscy tańczyli bez pojęcia i ten spocony, podrygujący kłęb złożony z setek brzydkich ciał napełnił mnie w pierwszej chwili takim wstrętem, że najchętniej wyniosłbym się stąd do wszystkich diabłów. Przymknąłem oczy i zobaczyłem siebie leżącego gdzieś w cieniu drzewa; nade mną byłoby tylko czyste niebo i może udałoby mi się nie myśleć o tym, że będę

musiał przebywać w tym mieście jeszcze przez wiele długich miesięcy, zanim wrócę do domu i znów zacznę żyć tak, jak mi się podoba.

— Tu dzisiaj za spokojnie — powiedział nasz trzeci koleżka i wydał swoją wielką wargę. — Mówię wam, że nic z tego nie będzie.

— Tak — rzekł Janik — idziemy stąd. Tu nic nie złapiemy. Może one jednak będą nad rzeką?

— Chodźmy nad rzekę — powiedziałem. I zawróciliśmy.

Po drodze spotkaliśmy innych chłopaków; służyli o rok dłużej i wiedzieli jak się brać do takich rzeczy. A jeden z nich powiedział do nas:

— Musicie się rozdzielić — we trzech niczego nie poderwiecie. One w tym mieście nie są tak głupie jak wam się zdaje i wiedzą, że ostatnia parada była już trzy tygodnie temu. Trochę się zawsze boją i dziś wam będzie ciężko.

Mieli z sobą dziewczyny — trzy tęgie kretynki o słoniowatych nogach i włosach jasnych jak sierpniowa słoma. Patrzyli na nas trochę z góry, ale ten, który nam radził, był fajnym facetem i kiedy rozchodziliśmy się, dodał jeszcze:

— Jeżeli już coś dorwiecie, to bądźcie mądrzy, chłopcy! Tu w zeszłym roku służył z nami jeden koleżka i w ciągu tego jednego roku złapał osiem razy trypra, tak, że nazywaliśmy go w końcu „Kawalerem złotej gwiazdy”. Powodzenia.

Poszli dalej, a my trzej patrzyliśmy przez chwilę na nogi tych kretynek; nasi chłopcy prowadzili je trzymając lewą ręką wprost za tyłek, po wojskowemu — prawą musieli mieć wolną do salutowania, a czas uciekał.

— Kiedy byłem w cywilu — powiedział Janik — lepsze od tych niedbałym ruchem nogi wyrzucałem z łóżka.

— Oni mają rację — powiedział nasz trzeci koleżka. — Pójdziemy w pojedynkę i spotkamy się w koszarach. Cóż zrobić.

— Tak jest — rzekłem. — Cóż zrobić.

Ruszyłem przed siebie i szedłem rozparzoną, gorącą ulicą. Gapiłem się w okna i oglądałem tandetne meble na wystawach; przez chwilę obserwowałem obywatela w granatowym garniturze, który bezskutecznie usiłował podnieść się z

ziemi; gdzie indziej, przez długie kilka chwil stałem obok kierowcy który chciał zapalić motor swego samochodu, ocierając pot z czoła i powtarzając bez przerwy: „Ty w mordę, ty w serce!”; potem, znudziło mi się łożenie i usiadłem na cieplej ławce w parku. Siedziałem przez dłuższy czas samotnie, lecz potem na tę samą ławkę diabli przynieśli kilku szczeniaków z dziewczynami i zaczęła się między nimi tak głupia rozmowa, że podniosłem się i znów włócząc nogami ze zmęczenia powlokłem się przed siebie. Nie miałem w tym mieście nikogo do kogo mógłbym pójść; nie chciałem również wracać do koszar przed końcem przepustki, co ośmieszyłoby mnie w oczach dziarskich kolegów; musiałem więc robić to, co robimy wszyscy, choć tak ciężko nam jest przyznać się do tego. Musiałem zabijać czas; musiałem zabijać przekłete zero swego czasu i łązić, łązić, łązić.

Gdzieś tam siedziała samotna dziewczyna na ławce. Usiadłem koło niej i patrząc w niebo, powiedziałem:

— Ty mnie już oczywiście nie pamiętasz, Joanno. A ja przez te wszystkie chwile nie przestałem myśleć o tobie. O twoich jasnych, sypkich włosach, niebieskich oczach; o małym pieprzyku jaki masz na prawej łopatce i myślałem, że nie spotkamy się już nigdy, i że jedyną rzeczą jaką będę musiał żyć do końca swych dni, będzie wspomnienie tej nocy z tobą, ciepła twoich rąk i melodii twego głosu. Czy nie możesz raz jeszcze dać mi szczęścia? — krzyknąłem przykładając rękę do serca. — Czy wszystko co wspaniałe i czyste musi zaraz ginąć w brudnych odmętach świata? Odpowiedz mi, a jeśli powiesz, że tak, dziś jeszcze skończę z tą całą udręką.

Odwrociłem się od niej i zobaczyłem, że w tym czasie usiadł na ławce jakiś mężczyzna, na oko — o sześćdziesiąt kilo cięższy ode mnie. Czółko miał niskie a kark wylewał mu się z marynarki.

— Czego pan chce od mojej żony? — zapytał patrząc na mnie spode łba: wyglądał jak buldog któremu odebrano kość. — Marysiu, co to wszystko znaczy? Skąd ty znasz tego pana? Ja chcę wiedzieć — krzyknął niespodziewanie piskliwie — skąd ty znasz tego pana?

Podniosłem się z godnością.

— Odchodzę — rzekłem. — I od dziś staje się już tylko wspomnieniem. Jeśli trzeba w życiu tracić takie rzeczy, to lepiej stracić wszystko. Niech mój cień nie staje na

przeszkodzie waszego szczęścia. Żegnam w tej chwili wszystko: mgły nad łąkami, gwiazdy, niebo i fujarki pastuszków. Adieu.

Patrzyli na mnie: on — ze zdumieniem, ona — z obłądnym przerażeniem. Była ciemną brunetką o maleńkich, brązowych oczach, które stały się w tej chwili okrągłe. Zasalutowałem, uśmiechnąłem się boleśnie i odszedłem.

Koło rynku spotkałem Janika. Szedł trzymając ręce w kieszeniach. Łeb spuścił do dołu i patrzył ponuro.

— Twoja jest śliczna — powiedziałem — ale moja jeszcze ładniejsza. Jak się twoja nazywa na imię? Krystyna? Ładnie. Ale moja jeszcze ładniej. Joanna. W tym jest coś niesłychanie czystego, prawda?

Bez słowa odszedł. Pokręciłem się trochę po rynku, zaczęłem jakąś nieznajomą, dowiedziałem się o sobie wielu pięknych rzeczy i poszedłem dalej. Zegary poczęły bić godzinę; zacząłem liczyć ich uderzenia i naliczyłem osiem. W tym mieście — powiedziałem do siebie — nawet Don Juan byłby tylko smutnym onanistą. Nie martw się, Marku! Takie rzeczy zdarzają się nie takim jak ty. Takie rzeczy zdarzają się naprawdę każdemu. Podnieś głowę do góry. To jest po prostu przeklęte miasto. Był kiedyś taki amerykański film „Nagie miasto”. O co tam chodziło? Gangster poszukujący policjanta, czy na odwrót, mniejsza z tym. A to miasteczko ubrane jest w sto prezerwatyw. Ale nie martw się, Marku! Jeśli teraz nawet spotkasz jakąś ładną sukienkę, to powiedz sobie to, co zawsze myślisz sobie w takich wypadkach, kiedy wiesz, że nic z tego nie będzie. Pomyśl sobie o niej: „Ty masz na pewno bardzo zły charakter, moja droga”. Pomyśl sobie tak, a natychmiast ci pomoże. My, ludzie, musimy się przecież przed sobą bronić i tylko z tego składa się nasze życie, i tak naprawdę jest, i musisz w to wierzyć, choćby ci nawet z tego powodu było bardzo przykro. Nie przejmuj się, Marku! Takie historie zdarzają się naprawdę każdemu.

Znów usiadłem na ławce obok jakiejś dziewczyny. Kopnąłem kamyk leżący na ścieżce, potem roześmiałem się szyderczo i powiedziałem:

— Nic z tego, moja droga! Ty pewnie myślisz, że nie wiem nic o tym co wyrabiałaś w Kaliszu. Ale ja wiem wszystko. Jeśli kiedy spotkam tego sennego bęcwała, twego męża, to powiem mu o tobie wszystko, a wtedy zrobi ci

się bardzo przykro, palce po prostu będziesz gryźć z rozpacz.

— Ilu was jest? — zapytała.

— Tylko ja jeden — rzekłem. — Ale za to jestem o sobie samym tak dobrego wyobrażenia, że to tak, jakby było nas kilku. Mam na myśli oczywiście charakter.

— Dwieście.

Ze smutkiem pokręciłem głową.

— W grę może wchodzić tylko wdzięczność żołnierza i woda sodowa — rzekłem. — Dla ciebie, jako dla obywatelki kraju słynącego z potężnych sukcesów strategicznych, nie powinno to być bez znaczenia. A Samosierra? A Monte-Cassino? A wszystkie powstania? A prochy dziadów na Sybirze? Cud nad Wisłą? Miej serce i patrz w serce, jak tam ktoś powiedział. Czy dwieście złotych pozostaje w jakichkolwiek proporcjach w stosunku do tego, o czym ci mówiłem? Czy nie możesz się zdobyć na gest kobiety z obrazu Grottgera?

— Uciekaj stąd — powiedziała — bo zawołam chłopaków i zrobi ci się nieprzyjemnie.

— Żegnaj — powiedziałem i podniosłem się. — Jeszcze raz widzę, że wszystko czego mnie nauczono, okazuje się niczym wobec potęgi życia. Żegnaj cię moja miła i pomyśl o mnie czasem, kiedy ci będzie źle i kiedy nie będziesz wiedziała, po co żyjesz. Pomyśl wtedy o tym, że był w twoim życiu człowiek, który cię kochał krótko, ale za to prawdziwie i gorąco, czystym sercem żołnierza. Adieu, Joanno!

Znów szedłem ulicami tego miasta i było ciemno, i wiedziałem, że muszę wracać niedługo do koszar. Na rynku likwidowano już zabawę przy pomocy całej milicji jaką tylko rozporządzało miasto, oraz kompanii z Komendy Miasta. Stałem przez chwilę i patrzyłem jak pijaków i awanturników ładują na ciężarowe samochody. Potem wszystko uciхло: ludzie rozeszli się do domów a nad opustoszałym, zaśmieconym rynkiem, chwiały się porwane girlandy z kwiatów i transparenty. Parę gwiazd mrugało na mnie z wysoka, jakby aprobować potężny sukces, który stał się mym udziałem tej niedzieli. Przycupnąłem na estradzie i wypaliłem papierosa. Potem pozbierałem z ziemi jakieś kwiaty; ułożyłem je w niezdatny pęczek i ruszyłem w stronę koszar. Pomyślałem sobie: „Powieм chłopakom, że to dostałem od niej”.

Kiedy byłem już blisko koszar, spotkałem jakąś dziewczynę i dałem jej te kwiaty.

— Proszę — rzekłem i zasalutowałem dziarsko.

Przyjęła je bez zdziwienia.

— Za co?

— Jak to za co? Za niedzielę.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu. Orałem ciszę ulicy swymi podkutymi butami. Kiedy mijaliśmy latarnię, przyjrzałem się jej; była naprawdę ładna, miała koci pyszczek: o takich właśnie pyszczkach marzy się w koszarach.

— Pani oczywiście nie tutejsza — powiedziałem.

— Nie — odparła.

— I jutro pani wyjeżdża.

— Pojutrze.

— Jak się pani nazywa?

— Joanna.

— Joanna — powtórzyłem. Przystanęliśmy w jakiejś bramie. Joanna powiedziała:

— Niech pan wstąpi na chwilę. Ułożymy je razem w wazonie.

— Jeśli można... — rzekłem, lecz w tej chwili zegary poczęły bić dziesiątą. Kiedy przebrzmiał ich głos, powiedziałem: — Muszę wracać do koszar. Już jestem spóźniony... — I dodałem śpiesznie: — Pani się wcale nie nazywa Joanna. Pani w ogóle nie było. Takie rzeczy w ogóle się nie zdarzają.

Kiedy wróciłem już do koszar, kiedy ochrzanił mnie wartownik, kiedy dyżurny sierżant przymrużywszy oko, powiedział: „No, wy, Hłasko, na przepustkę prędko nie pójdziecie, myślicie, że jak się leży na dupie, to czas się zatrzymuje?”; kiedy umyłem się już i wszedłem na salę — Janik i ten trzeci nasz koleżka leżeli w łózkach a twarze ich jaśniały szczęściem i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Ściągając buty, zapytałem:

— I jak wam poszło?

— Prawidłowo — odpowiedział Janik. Przeciągnął się rozkosznie i zmrużył oczy. Potem rzekł: — Byłeś głupi, że nie chciałeś iść nad rzekę. Nie masz pojęcia, jaką dechę piłowałem. Mam teraz spokój na trzy miesiące.

— A ty? — zapytałem naszego trzeciego koleżkę.

— Jak w bajce — rzekł. Westchnął: — Świetna dziewczyna, koleś. Potrafi to robić jak nikt inny. A tak, na oko

pięciu groszy byś za nią nie chciał dać. Te małe to już są takie dziwne zgagi. W następną niedzielę idę do niej znów. Mężatka, ale męża nie będzie.

— Tobie jak poszło? — zapytał Janik.

Milczałem przez chwilę, potem rzekłem:

— Nie umiem opowiadać o takich rzeczach. Ale nie zamieniłbym się z wami.

Potem zgaszono światło, a ja mówiłem do siebie: „Nie myśl o tym. Nie myśl o tym, bo nie zaśniesz do rana. Staraj się myśleć o czymś zupełnie innym, o jakichś faktach, które nie dotyczą tych spraw”. I przypominałem sobie swoje życie, omijając wszystko, co mogłoby przeszkodzić mi spać. Myślałem na przykład o tym, że zawsze chciałem poznać Janusza Minkiewicza, a kiedy wreszcie poznałem tego świetnego pisarza, nie wiem dlaczego, zrobił na mnie wrażenie najbardziej smutnego ze wszystkich ludzi, a kiedyś złożyło się tak, że piliśmy razem do rana, Janusz się nieco zalał i odwiozłem go do domu, co jak dotąd, stanowi w moim życiu najpotężniejszy sukces pod każdym względem, gdyż Minkiewicz ma pojemność cysterny lotniczej i nikomu z Polaków nie udało się dotąd, aby zobaczyć go w takim stanie, kiedy to w mózgu śpiewa ptaszynka.

Odrzuciłem się na drugi bok, głowę wbiłem w poduszkę, lecz sen był daleko. Przypominałem sobie wszystko, co tylko przypominać sobie można, lecz myśl moja, jak wściekły bumerang, wciąż wracała do pewnej sprawy, do pewnego człowieka, którego kochałem naprawdę ze wszystkim złym i dobrym co tylko może dać miłość, i przypominałem sobie tę noc, kiedy prowadziłem ją do siebie do domu po raz pierwszy, padał wtedy śnieg pomieszany z deszczem, nad miastem kulił się listopad i brnęliśmy przez kałużę w milczeniu, nie mówiąc do siebie ani słowa, tak, że słychać było w ciszy miasta tylko nasze kroki i krople spadające ze skostniałych drzew; a potem przyszedł ranek i kiedy obudziłem się koło niej, nie odczułem ani radości, ani szczęścia, tylko po prostu strach, nikczemny, zwierzęcy strach, że to się kiedyś, nieuchronnie, jak wszystko dobre skończy lub zamieni w gnojowisko, i dopiero wtedy zrozumiałem, na czym polega nędza i głupota tego wszystkiego co ludzie dotąd napisali o uczuciach: a nieco później zrozumiałem niestety, że nikomu nigdy nie uda się tych właśnie ludzkich cierpień przekazać; że jest to sprawa obwarowana przez wszy-

stkie możliwe siły jakimi żyje człowiek, otoczona ciemnością i murami, tak jak ja w tej chwili — w tym łóżku, w tych koszarach, w tym mieście.

Przypomniałem sobie te wszystkie następne miesiące, które nastąpiły potem, kiedy brnąłem przez miasto, przez ludzi, przez życie, z tętym bólem czegoś, co nazywa się sercem, ale jest chyba tylko samym prawdziwym, właściwym, jedynym piekłem, kiedy codziennie umierałem i zmartwychwstawałem na nowo, aby kochać, i aby przegrywać swoją miłość, i kiedy rozumiałem, że właściwie w tej największej sprawie życia ludzie nie są sobie w stanie pomóc nawzajem, i że są wobec siebie bezwładni, jak kukiełki którym puszczo sznureczki.

A sen nie nadchodził: był gdzieś bardzo daleko i zdawało mi się, że nie spałem w ogóle nigdy, że wszystkie noce i dnie które miałem za sobą, połączyły się w to jedno dręczące wspomnienie. Był teraz kwiecień, czy maj, wszystko jedno, a ja ciągle żyłem ciszą tamtego miasta, moimi krokami wiodącymi w rozstanie i odgłosem spadających kropel.

— Ty szczeniaku — powiedziałem do siebie. — Ty podłe szczenię.

Wstałem, wciągnąłem spodnie i wyszedłem na dwór. Niebo było jasne, rozpięte szeroko między krańcami milczącej ziemi: i szedłem bardzo samotny, szedłem wśród gwiazd, aby wykonywać czynność, za którą Pan Bóg dąsał się na Onana. Nie byłem zresztą odosobniony; kiedy wyszedłem z wapnem pachnącej latryny, wyszedł razem ze mną Janik: a kiedyśmy uszli już kawał zalanego nieruchomym światłem podwórza, dogonił nas nasz trzeci koleżka — ten, który miał niską, szczupłą kobietkę, za którą nikt by nie dał ani pięciu groszy.

1956

NAMIĘTNOŚCI

— Z niego już nic nie będzie, prawda? — zapytała siostra. Podeszła do doktora i pochyliła się obok niego nad umierającym. Swym ramieniem dotknęła barku lekarza i ten odsunął się.

— Nie — powiedział.

— Umrze?

— Na pewno.

— Jeszcze dziś?

— Niedługo. Godzina, może jeszcze wcześniej.

— Dlaczego on to zrobił? Jak pan myśli?

— Nic nie myślę — powiedział doktor. Wyprostował się; był wysoki i szczupły, biały fartuch dodawał zmęczenia jego ostrej twarzy. Przesunął ręką po czole: — Nigdy się tego nie dowiesz.

— Strach? — powiedziała siostra składając strzykawki do niklowego pudełeczka. — Może się czegoś bał? Może mu coś groziło? Albo zrobił coś złego...

Patrzyła na doktora ze skupieniem; oczy miała niebieskie i czyste, bardzo duże. „Lalka — pomyślał z niechęcią. — Porcelanowa lalka...”. Zachnął się.

— Chciałabyś jednym słowem wyjaśnić klęskę cudzego życia — powiedział z gniewem odwracając się do niej plecami. — To niemożliwe.

Podszedł do okna i odsunął firankę; chciwie przytulił czoło do szyby i odetchnął głęboko. Widział w szybie niewyraźne odbicie swojej twarzy; wyteżył wzrok i starał się doj-

rzec jak najwięcej. Noc była jasna i mroźna; na środku szklanego nieba tkwił nieruchomy, dziwnie cienki księżyc; w jego blasku oszronione drzewa na szpitalnym podwórku wyglądały teatralnie i drażniaco. Wiatry mknęły w górze szlakami gwiazd, ciemna ziemia skuta była mrozem i lodem. „Jeśli się nie ociepli — pomyślał ze wściekłością doktor — to wszystkich nas szlag trafi w tej dziurze”. Odwrócił się i powiedział do siostry:

— Zobacz, czy jest jeszcze trochę kawy.

— Gdzie.

— W moim biurku. Tam jest taka żółta puszką.

Posłusznie podeszła do biurka i poczęła trzaskać szufladami. Patrzył na jej mocne ręce, okrągły kark, szeroko rozstawione, muskularne nogi i znów pomyślał: „Lalka”.

— Jest — powiedziała po chwili.

— Zaparz.

— Jedną czy dwie?

— Jedną.

Westchnęła.

— Pójdę poszukać garnuszka.

— Dziwne. Powinien przyjść do ciebie.

— Doktorze.

— Tak.

— Dlaczego pan taki jest?

— Mianowicie?

— Zły — powiedziała. — Dziwny.

— Dlaczego masz nie oczyszczone buty? Radzieccy uczeni wynaleźli już pastę do butów. Poza tym: nie używaj do paznokci tego wstrętnego lakieru, bo mdło mi się robi. Poza tym: przestań się już czesać na Simone, bo jesteś podobna do niej w takim samym stopniu, w jakim ja jestem podobny do marszałka Polski. A teraz idź po ten garnuszek.

Wyszła. Spojrzał na zegar wiszący nad drzwiami: była godzina druga. Machinalnie podszedł do umierającego i ujął jego puls. Zrobiło mu się nieprzyjemnie: ręka tego człowieka była zimna i lepka od potu. „Nie przyzwyczaję się nigdy — pomyślał ze złością. — Nie przyzwyczaję się nigdy do tych spoconych ciał i oczu z tandetnego szkła”. Zaciśnął mocniej palec na rozdętych, fioletowych żyłach tamtego: nierówny puls słabł. „Cześć” — pomyślał. I wtedy zobaczył, że umierający patrzy na niego szeroko otwartymi oczy-

ma: źrenice jego poszerzyła gorączka, w kącikach ust skupiła się zapiekła ślina. „Nie jesteś ładny — pomyślał. — Nie powinienem się o to martwić, ale naprawdę nie jesteś ładny”. Pochylił się bliżej jego ucha.

— Możesz mówić?

— Będę żył?

— Nie denerwuj się. Mów spokojnie.

— Będę?

— Oczywiście.

Chory odwrócił twarz.

— Kłamiesz — szepnął.

— Z obowiązku. Sam tego chciałeś. Gazowa śmierć to przykra historia. Był czas przemyśleć.

— Chcę ci coś powiedzieć.

— Tak.

— Wszystko, czym straszą nas na ziemi, czym szantażują bez przerwy, to blef. Żadnych cierpień, żadnych wyrzutów, żadnych rachunków sumienia. Trochę szumu w uszach i koniec.

— Jeszcze żyjesz. Może uda się ciebie uratować.

Źrenice chorego bieleły. Na jego przezroczystych skroniach kroplił się pot. Oddech stawał się ciężki, a ręce złożone na piersiach drgały mu lekko, jak nogi żabki wyciągniętej z wody.

— Kto mnie tu przywiózł?

— Ludzie.

— Zawsze zjawiają się niepotrzebnie. Już byłoby po wszystkim.

Po chwili doktor rzekł:

— Już jest po wszystkim.

Naciągnął prześcieradło na jego twarz i wstał. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko; tytoń był mocny i gorzki. „Zimno — pomyślał. — Jeśli się nie ociepli, to naprawdę szlag nas wszystkich trafi”. Potarł zziębnięte dłonie i usiadł przy biurku. Wyciągnął książkę raportową i zaczął szukać nazwiska zmarłego.

Weszła siostra trzymając w ręku filiżankę.

— Jest kawa — rzekła. — Niech pan pije póki gorąca.

— Nie mogłaś już chyba dłużej siedzieć — powiedział.

— Nawet kawy nie potrafisz szybko zaparzyć, tak jakby to była nie wiem jaka sztuka. Przez ten czas nasz przyja-

ciel doszedł już do raju. Dzwoni do kostnicy, niech go zabiorą. I nie rozlewaj kawy. Gdzie cukier?

— W szufladzie — rzekła stawiając przed nim filiżankę. Podeszła do aparatu i poczęła wykręcać numer: mimo wysiłku ręce jej drżały lekko. — Parter? — zapytała drewnianym głosem. — Bierście wózek i przychodźcie tu szybko.

Położyła słuchawkę i oparła się ciężko na stole. Patrzyła na doktora ze skupieniem. Milczał mieszając łyżeczką cukier.

— Co jemu było? — zapytała tępo.

— Śmierć na skutek zatrucia gazem.

— Pan nie ma serca.

— Jeśli cię to interesuje, mogę jutro iść do rentgena.

— Dlaczego pan tak mówi?

Uniósł ciężkie powieki.

— Czy tam w szkole, nie uczyli cię tego, że nie powinnaś zadawać głupich pytań i opierać się łokciami o stół?

Weszło dwóch sanitariuszy z wózkiem; jeden z nich był wysoki, drugi nieco niższy, o śmiesznie okrągłej głowie. Podeszli do umarłego.

— Mały był — stwierdził wyższy.

— Ale sympatyczny. Podobny do tego bramkarza ze Skierniewic — powiedział niższy i mrugnął na siostrę. Odwróciła głowę.

— Twoja miara — powiedział wyższy. — Ciekaw jestem czy też nosi siódemki. Uważaj, ostrożnie.

— Myślę, jakie radio mu kupią: z ocementowaniem czy bez?

— Stawiam na cement.

— W porządku. Dobranoc, panie doktorze. Dobranoc, siostrzyczko. Nie myśl o nim. Pomyśl może o mnie.

— Dobranoc — powiedział doktor. Patrzył, jak drzwi zamykają się za nimi.

— Ja tego nie wytrzymam — powiedziała siostra i wstała nagle. — Kiedy kończyłam tę głupią szkołę, myślałam, że ludzie dla ludzi mają trochę serca. Doktorze.

— Mów.

— Czy naprawdę nie istnieje miłosierdzie?

— Z mego punktu widzenia istnieją ci, których da się uratować, i ci, których nie można.

— Ja tego nie wytrzymam. Odchodzi człowiek, a

pan pije kawę. Odchodzi człowiek, a tamci zakładają się o wódkę, jaką trumnę mu kupi rodzina — z ocementowaniem czy z okuciem. Ja tego nie wytrzymam.

— Wytrzymasz — powiedział. — Nawet wyobrażenia nie masz, ile można wytrzymać. — Wstał i rozprostował ramiona, ziewnął. Począł chodzić miarowym krokiem po sali. — Wypisz mu kartę zgonu — powiedział. — I nie zwracaj sobie głowy tą całą sprawą. Weź walerianę, weź brom, weź co chcesz.

— Dobrze — powiedziała cicho. Wyglądała żałośnie: usta miała skrzywione jak dziecko, które wybuchnie za chwilę niepohamowanym płaczem, oczy — w ciemnych obwódkach. W jej plecach, rękach, w pochylonym nad stołem karku czaiło się zmęczenie. Nagle uniosła głowę. — Czy naprawdę tak wiele?

— Co?

— Tak wiele można wytrzymać?

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia.

— Dlatego pytasz.

— Kiedy człowiek przestaje się dziwić?

— Nigdy.

— Więc po co to wszystko.

— Po nic.

Rozległ się dzwonek: na tablicy rozdzielczej wyskoczyła cyferka. Siostra potrząsnęła głową jak człowiek nagłe przebudzony i podniosła się ciężko.

— Na trójce ktoś dzwoni — rzekła. — Muszę iść.

— Przeżyję to.

Wyszła kołysząc miarowo swym ciężkim, mocnym ciałem. Patrzył na nią i pomyślał: „Nic z tego, kochanie. Nic z tego, żebyś nawet miała w ten sposób chodzić po gwiazdach. To prawda, że masz niskie czoło, krótki, zadarty nos, ciężkie powieki i duże usta, i płaski brzuch, dzięki któremu możesz tak ładnie rozstawiać nogi, i że tak wiele obiecujesz, kiedy patrzysz swoimi głupimi oczami, i że pachniesz tak bardzo delikatnie, jak bułeczki dopiero co przywiezione z piekarni, i że zapach ten nawet tutaj, w tym całym świątynie czuję wyraźnie. Ale w tych sprawach musisz być piekielna noga. O takich jak ty marzą uczniowie w liceum, ja też marzyłem, ale tylko do chwili, kiedy poznałem taką samą jak ty, z takimi samymi oczyma, tak samo pachnącą.

Biedne, ciężkie krowy. Nie dość, że leżycie bez ruchu, ale jeszcze tak się musicie męczyć podczas porodu, w przeciwieństwie do szczupłych, takich, za jakie nie dałby nikt pięciu groszy, które kochają i rodzą jak ptaki”.

Podszedł do okna i znów przytulił czoło do szyby. Czynił tak zawsze, kiedy był już bardzo zmęczony, podczas nocnych, dręczących brakiem snu dyżurów, kiedy zdawało mu się, że za chwilę zwali się z nóg jak szmaciana lalka, którą wypuściło ze swych rąk dziecko. Za oknem tężała gęsta od mrozu noc. Księżyc zniżył się i biegł po dachach; nad wieżami kościoła szamotała się w mroźnych mgłach Wielka Niedźwiedzica.

Odwrocił się i spojrzał na łóżko, na którym zmarł ów człowiek. Było już zasłane czystym prześcieradłem, gładkie i zimne. „Wiele po tobie zostało — pomyślał i uśmiechnął się. — Widzisz, mój zasrany Werterze, tylko tyle. Czy zrobiłbyś to, gdybyś wcześniej mógł przypuszczać, że tak to wygląda? Zrobiłeś swojej wybrance kolosalną reklamę, będzie teraz miała noc w noc kupę radości, będzie opowiadała o tobie nowym przyjaciołom, nie dla każdej kobiety człowiek przecież wali sobie w łeb, będzie więc opowiadać o tobie nawet w chwili orgazmu, mój zasrany Werterze z powiatowego miasta, a ja, chociaż przyjaźniłem się z tobą od pięciu lat, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że mi się piekielnie chce spać, i że nic mnie nie obchodzi ta odrobina plotek, pogardy, żalu i wspomnień, która pozostanie po tobie. Jedyne co ci mogę obiecać, to to, że jak będę robił twojej Lotcie skrobankę, to postaram się, aby pokrzyczała sobie trochę. Już teraz wolno to robić, więc nie będę potrzebował jej uciszać ani zakładać maski. Czy pomyślałeś o tym? Trochę plotek. Trochę wspomnień, w których zawsze będziesz inny, niż byłeś naprawdę. Ale nie miej złudzeń; zrobię wszystko, aby zapomnieć o tym jak najprędzej. Czy pomyślałeś o tym wszystkim, mój Werterze?”.

Do pokoju weszła siostra.

— Ten siwy staruszek, który leży przy oknie na trójce, skarży się, że nie może oddać moczu. Co mu poradzisz?

— Zapytaj się go, ile ma lat. Potem przyjdź i powiedz mi.

Wyszła. Znów zaczął chodzić po sali; przemierzał ją

uparcie, sztywnymi krokami po przekątnej. Potem podszedł do oszklonej szafki, gdzie młłym światłem lśniły niklowe narzędzia; oparł się o nią i stamtąd począł mówić do umarłego: „Tak, mój biedny Werterze. Ciekawe, w jaki sposób jednak ona potrafiła tego dokonać? Zazdrość? Kłamała? Zadręczała cię czymś, czego nie znam, czego nie potrafię się domyślić? Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej? Kilka lat temu, kiedy obaj byliśmy młodszy? Wszystko najwspanialsze w młodości, wydaje się potem po prostu głupie. Nic na to nie mogę poradzić, mój złoty. Ty przeszedłeś i ja przeszedłem. Mówię do ciebie jak truposz do truposza. Ale jak ona to zrobiła? Chciałbym to wiedzieć. Jakie namiętności w tobie poruszyła? Czy takie których nie znam? Och, namiętności. Piękne słowo, Czym jest namiętność? Co to oznacza? Kiedy pięć lat temu przyjechałem do tej dziury, byłem inny. Inaczej myślałem, czułem, mówiłem. Nie przypuszczałem, że życie czasem nie przynosi niczego poza wściekłością i rozpaczą. Chodziłem po tych brudnych uliczkach i myślałem o tym, jak to miasto będzie wyglądać za lat dwadzieścia. Stawiałem domy, wytyczałem nowe ulice; budowałem stadiony, parki, szkoły, muzea i szalety. Burzyłem kościoły, rozwaliałem knajpy, budowałem obozy pracy dla pijaków; zbierałem gwiazdy z nieba i rozświetlałem nimi ciemność przed każdym człowiekiem. Byłem wszystkim i wszędzie. Jak myślisz: czy to miało coś wspólnego z namiętnością”.

— Doktorze — powiedziała siostra wchodząc. — On mówi, że ma sześćdziesiąt dwa lata.

— Kto? — zapytał nieprzytomnie wyrwany z zamyślenia.

— Ten staruszek, który skarży się, że nie może oddać moczu.

— To co?

— Mówi, że ma sześćdziesiąt dwa lata.

— Powiedz mu, że dosyć się już wysusiał. Niech nie zawraca głowy.

Wyszła. Pachniało środkami dezynfekcyjnymi; drażniła cisza i jaskrawe światło. Monotonnie cykał zegar. „Widzisz — pomyślał doktor. — A teraz już koniec tej bajki. Czy wiesz, jakby teraz wyglądał mój pamiętnik? Pani X. — skrobanka. Pani Y. — skrobanka. Minęło pięć lat od chwili, kiedy przyjechałem tutaj. Schudłem, posta-

rzałem się, jestem świnią. Dziunia W. — skrobanka. Żona kolegi R. — skrobanka. Na obiad jadłem flaki z pulpetami. Zdżisia szlag trafił, wylew krwi do mózgu, szkoda go, porządny chłopak, w szpitalu nawalają kaloryfery, mam katar, pokłóciłem się z Antonim, w szpitalu intrygi i podłość, w mieście intrygi i podłość, na świecie intrygi i podłość, w „Astorii” na rynku intrygi i podłość, podczas meczu „Zryw-Bobierzyce” — „Entuzjizm-Kutno”, intrygi i podłość, żona Wacia — skrobanka, Dziunia symuluje ciążę, wczoraj był świetny bigos, wyleli mnie z partii, popsuło mi się radio, do diabła z radiem, w szpitalu brak narzędzi, cztery dni padał deszcz, synek gospodyni jest niezdolny, to nie dziecko, to szatan, Żydzi znów się kłócą z Arabami, widocznie i jedni i drudzy mają złe charaktery, Władkowi śmierzdi z pyska, ohyda, Apfelbaum zmienił nazwisko na „Światosław Kamiński”, żona Wacia — skrobanka, troszkę się spiłem wczoraj, dziś w klubie związkowym odczyt pt.: „Kiedy człowiek ujarzmi kosmos”, śnieg pada, słońce świeci trzydzieści stopni ciepła, wściec się można, lód na rzece. Ej, ten Wacio, flaki z pulpetami, flaki bez pulpetów, Polska to naród tragiczny, Polska to naród wspaniały, Żydzi kłócą się z Arabami, Waciowa, Waciowa, Waciowa, już po Waciowej, ile tak można, „Arkadię” przechrzczono na „Polonię”, w tym roku będzie ciężka zima...”.

— Doktorze — powiedziała siostra. — Czy pan ma zamiar go operować?

— Poczekajmy jeszcze trochę. Przygotuj w każdym razie wszystko. Nie módl się na jego intencję. Może mu zaszkodzić.

Poczęła szcząkać narzędziami.

„Tak — powiedział do siebie. — A teraz? Jak teraz? Czy znowu się czujesz oszukany? Tak jak ja? Tak jak wielu? Masz teraz ciszę i spokój, czy znowu się czujesz oszukany przez życie? Może ty, kiedy zamykałeś oczy, wiedziałeś już, dlaczego tak się stało? Dlaczego tak mało miałem wiary, nadziei, wytrwałości, sumienia? Może nadszedł taki moment, kiedy zrozumiałeś wszystko? Dlaczego splajtowałem? Dlaczego stałem się niczym, dlaczego nie miałem siły doczekać lepszych dni? Dlaczego odszedłem od wszystkich i wszyscy odeszli ode mnie? Dlaczego żyję bez wiary i bez miłości? Kiedy będę miał siłę zrobić to, co ty uczyniłeś? Ty głupie, podłe ścierwo. Gdybyś wiedział, jak ci zazdrosz-

czę. Jak chciałbym zmienić się w tej chwili z tobą na miejsca. Jak bardzo bym chciał, abyś obudził się jutro, przeczytał gazetę i poszedł do pracy, i słuchał wszystkich ludzkich narzekania, i abyś nie miał pragnień ani miłości, abyś nie pragnął niczego poza tym, aby dzień się już skończył, i abyś mógł zasnąć, nie czuć, nie myśleć, nie wspominać tego, co było dawniej, nie dręczyć się wszystkim, nie myśleć o sumieniu, o tym, czego miałeś dokonać, i o tym że niczego nie dokonałeś, i o tym, że niczego już pewnie nie dokonasz, bo jesteś wypruty, zmęczony, cholernie zmęczony, że chciałbyś być taki jak dawniej, że chciałbyś w coś uwierzyć, jeszcze raz w coś uwierzyć, i żebyś sobie zdawał z tego jasno sprawę, że jesteś świnią, że jesteś skończony, że nie masz nikomu niczego do dania, bo miałeś zbyt mało wiary i siły. Czy znów się czujesz oszukany? Od tego wszystkiego zbawiła cię twoja namiętna, niedobra miłość, ty głupi, zasrany Werterze. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy? Czy myślisz, że powiem komuś, że zabiłeś się właśnie dlatego? Zbyt cię lubiłem, mój stary. Tu jest małe, małe miasto. A my, ludzie, zbyt mało rozumiemy się jeszcze między sobą. Czy chcesz, żeby teraz zaczęli szperać i grzebać się w twoim życiu? Plotkować. Szydzić. Domyślać się. To ci niepotrzebne, mój drogi. To ci zupełnie niepotrzebne...”

Nagle poczuł się trząść. Ogarnął go strach: zimny i obejmujący jak żelazna obręcz. Rozglądał się po białej sali; patrzył na zegar, na szafkę z narzędziami, na okna, o które obijał się wiatr, na białe, gładko zasłane łóżko, i czuł, że za chwilę stanie się z nim coś niepojętego. Serce skurczyło mu się nagle i czuł, że kurczy się ciągle, że staje się coraz mniejsze i słabsze. Z trudem podszedł do gładko zasłanego łóżka i usiadł na nim. Zamknął oczy.

— Jestem gotowa, doktorze — powiedziała siostra.

Otworzył oczy. Stała przed nim i patrzyła na niego.

— Chodź tutaj — powiedział.

— Co?

— Chodź tutaj — powtórzył.

Spojrzała na niego uważnie i usiadła obok niego; drżał jak człowiek bardzo podniecony i to sprawiło jej radość.

— Nie myślałem, że jesteś taka — powiedział po wszystkim. — Takie kobiety jak ty oszukują wyglądem.

— Dobrze?

— Tak. Bardzo dobrze.
— Przykro mi, że to na tym samym łóżku.
— Wcale o tym nie myślałem. Było mi dobrze i ko-
niec.

— Ciągłe nie mogę zrozumieć, dlaczego on to zrobił.
— Powiem ci, ale nie mów nikomu.
— Nie powiem nikomu.
— On był buchalterem w jakiejś firmie. Przekradł się. Wziął jednego dnia trochę pieniędzy z kasy; pojechał sobie gdzieś i przepił to wszystko z dziewczkami. Potem się wydało. Zrobił to ze strachu.

Westchnęła.

— Ludzie robią takie głupstwa — rzekła. — Zabijają się i diabli wiedzą dlaczego. Temu zabrakło pieniędzy, ten wyleciał z pracy, tego skądś tam wyrzucili, a przedwczoraj jeden stary człowiek zgubił bilet miesięczny na kolejkę i to go tak rozżłościło, że się upił i poderżnął sobie gardło brzytwą. Do licha z tym wszystkim.

— Ubieraj się. Będziemy otwierać pęcherz.

— Ciągłe to samo — rzekła zapinając guziki. Na jej lalkowatej twarzy odmalowała się złość. — Tego pęcherz boli, ten złamał nogę, a jak się już ktoś powiesi, to dlatego, że pogubił jakieś świstki. Kiedy kończyłam swoją szkołę, nie przypuszczałam, że tak będzie. Doktorze!

Siedział pochylony. Teraz uniósł głowę i spojrzał na nią roztargnionym wzrokiem.

— Tak.

— Chciałabym — powiedziała — aby tu chociaż raz przywieźli takiego, który by to zrobił z miłości. A pan?

— Bardzo — powiedział. — Bardzo. — Wstał, znów powróciła fala zmęczenia i musiał zamknąć oczy. — Pospiesz się — rzekł. — Pospiesz się i nie myśl o tym. Będziemy jednego z nas przywracać życiu.

1956

PORT PRAGNIEN

Stanisławowi Dygatowi

— Przyjemny lokalik — powiedział marynarz w mundurze oficera.

W barze było prawie zupełnie pusto. Przy ladzie awanturował się wytrwale samotny pijak już od tak długo czasu, że jego działalność przestała budzić zainteresowanie. Ziewający kelnerzy apatycznie snuli się między stolikami, barmanka drzemała oparłszy głowę na dłoniach. Członkowie orkiestry zeszli z estrady i podosiadali się do poszczególnych stolików, gdzie naciągali na wódkę podpitych gości. Wentylator obracał się niemrawo w gęstym powietrzu a jego działalność była równie jałowa, jak i działalność pijanego przy ladzie. Nieliczni ludzie pozdejmowali marynarki i koszule przylegały ciemnymi plamami do ich spoconych ciał. Wszystkim dokuczał biały skwar sierpniowej nocy.

Przy stoliku obok baru siedziało dwóch marynarzy. Opaleni, o czerstwych cerach i spłowiałych prawie do białości włosach, na tle innych białych i obrzękłych twarzy — wyglądali jak przybysze z innej planety. Pili potężnie już od paru godzin nie ulegając zupełnie działaniu alkoholu; siedzieli sztywno zachowując pełen pogardy spokój i jedynie lekko szczerwienie białka oczu zdradzały obecność alkoholu w ich organizmach.

— Przyjemny lokalik — powtórzył marynarz w mundurze pierwszego oficera marynarki handlowej. Zabębnił

palcami po stole. — Gdyby nie to, że głowa mnie boli pomyślałbym, że jestem już w grobie.

Jego kompan ziewnął.

— Skąd wiesz, że w grobie łeb nie boli?

— Raczej tyłek, człowiek przecież leży na krzyżu.

Nalał sobie kieliszek i wypił. Potem westchnął.

— Chciałbym już być na morzu — powiedział.

— Tak? Czemuż to?

— Żeby potęsknić za portem. Trzeba przecież do czegoś tęsknić, nie?

— Tak, na pewno. Ale to kółeczko.

— Kółeczko też jest dobre.

Znowu nalał i wypili. Karafka była już pusta. Jeden z kelnerów podszedł do nich. Nie otwierając oczu, zapytał:

— Panowie życzą?

— Żeby się pan ogolił — powiedział pierwszy oficer.

— I jeszcze jedną karafeczkę.

Kelner zabrał karafkę i odszedł. Orkiestra z trudem pozbierała się do kupy i poczęła grać tango. Nieliczne pary kołysały się leniwie i bez wyraźnej przyjemności. Pierwszy oficer zwrócił się do kolegi.

— Nic ci to tango nie przypomina?

— Nie.

— Fatalnie.

— Czemuż to?

— Tango powinno przecież coś tam przypominać, nie?

Kolega pierwszego oficera huknął pięścią w stół: barmanka otworzyła oczy, lecz natychmiast je zamknęła.

— Ja mam tego dość — powiedział. — Przyszedłem zabawić się i popatrzeć jak inni to robią. To nie jest żaden lokal, to jest piekło w trzeci dzień Wielkiejnocy.

— Zgadza się — powiedział pierwszy oficer. Uśmiechnął się nagle i na jego ponurej twarzy uśmiech sprawił wrażenie uroczej niespodzianki. — Wszystko jest prawidłowo, mój drogi. Ale pamiętaj, że jutro masz powiedzieć chłopakom: „Zabawiłem się jak sto diabłów”.

— Pewno, że im tak powiem.

Do ich stolika podeszła dziewczyna: miała zmęczoną twarz i smutne oczy bez blasku. W ręku trzymała lalkę: był to murzynek ubrany w marynarski mundur.

— Kupią panowie? — zapytała. Głos jej nie miał

barwy ni dźwięku. Starła się uśmiechnąć. — To specjalna dla panów — rzekła. — Nie tłucze się. Ostatnia.

Pierwszy oficer wziął lalkę do ręki.

— Szkoda, że się nie tłucze — rzekł obracając ją na wszystkie strony. — Załatwiłbym to od razu. Ile kosztujesz, cudenku?

— Sto dziesięć złotych. Tanio.

— Niech pani siada — powiedział pierwszy oficer i przysunął dziewczynie krzesło. — Pewnie, że tanio.

Dziewczyna usiadła. Oficer zapłacił. Siedział w milczeniu i patrzył na dziewczynę. Orkiestra grała teraz walca. Nagle oficer powiedział:

— Chodźmy.

Wstał; lalczkę schował do kieszeni. Dziewczyna również wstała. Oficer rzekł do kolegi:

— Poczekaj tu na mnie. — Ujął dziewczynę za łokieć: — Idziemy.

— Tańczyć? — zapytała. Oparła się na jego ramieniu.

— Po co? — rzekł. Uśmiechnął się: — Jeśli można tego uniknąć?

Wyszli na ulicę. Nagrzany asfalt dręczył. Niebo miało kolor pereł.

— Dokąd idziemy? — zapytała dziewczyna.

— Tam gdzie mieszkasz.

— To daleko. Weźmy taksówkę.

— Dobrze.

W taksówce zapytała szeptem:

— Nie powiesz mi nawet, że mnie kochasz?

Zamknął oczy. Był zmęczony: tępy ból głowy nie ustawał ani na jedną chwilę.

— Nie — rzekł z wysiłkiem. — Na miłość boską: wszystko z wyjątkiem tego. Jeśli mam mówić takie rzeczy, wolę wysiąść z taksówki i wrócić do tej przeklętej knajpy.

Leżeli potem objęci ramionami wsłuchując się w ciszę miasta. Serce dziewczyny biło spokojnie i równo. Oficer palił papierosa. Niebo za oknem matowiało jak klisza.

— Dlaczego sprzedajesz te przeklęte lalki? — zapytał.

— Teraz każesz sobie opowiadać wzruszającą historijkę, o tym jak mój mąż poszedł do kryminału a ja zostałam sama z matką staruszką bez środków do życia, prawda?

— Jeśli masz ochotę.

— Ile takich historyjek słyszałeś w życiu?

— Do końca — ani jednej. Zawsze mnie to nudziło śmiertelnie i zasypiałem. Ta będzie pierwsza, której wysłucham w całości.

— Proszę bardzo: po prostu nie nauczyłam się niczego porządnie i żeby żyć zaczęłam sprzedawać te lalki. Tu jest taka staruszka, która je robi. Mogę ci dostarczyć każdą ilość. Koniec historii. Ładna?

Uniósł się na łokciach.

— Chciałbym mieć kogoś takiego, jak ty — rzekł. — Kto by o mnie myślał i troszczył się, kiedy jestem na morzu. Nie masz pojęcia czym się wtedy żyje. Nie ma nic prócz wody, nieba i złych myśli. Człowiek jest biedny i słaby, i nic zupełnie nie znaczy. Płynie się tygodniami i tygodniami człowiek się dręczy. Potem jest port i wszystko czego człowiek pragnął okazuje się po prostu śmieszne, okazuje się, że i bez tego można żyć doskonale. A potem znów się płynie.

Zapalił nowego papierosa.

— Dziwne — rzekł. — Myślałem, że jesteś taką samą dziwką jak i wszystkie inne. Teraz dopiero czuję coś w rodzaju strachu, zupełnie jak wiele lat temu, kiedy to się stało po raz pierwszy. Nie wiedziałem, że potrafisz być taka, że potrafisz tak kochać. Strasznie długo byłaś sama, co?

— Nie wiem czy strasznie. Ale długo.

— Przyjdę do ciebie kiedy wrócimy, dobrze?

— Przyjdź.

— Może chcesz, żeby ci coś przywieźć?

— Nie, po co.

Ścisnął ją za rękę.

— Pomyślisz sobie o tym wszystkim, kiedy mnie tu nie będzie?

— Postaram się nie myśleć. Było tak strasznie dobrze.

Oficer milczał przez chwilę.

— Tak — powiedział. — Pewnie, że tak.

Wstał z łóżka. Zapalił światło i zerwał z dziewczyny kołdrę.

— Jesteś chuda jak małpa chora na gruźlicę — powiedział. Pochylił nad nią pociemniałą twarz: złapał ją palcami za wargi i szarpnął je.

— Za parę lat będziesz miała piersi do kolan i pomarszczony brzuch. I wtedy będziesz walić się w barłóg z każdym kto tylko będzie na tyle pijany, aby tego nie widzieć. Rano będą bili cię po pysku i uciekali z kacem. Do widzenia.

W progu zatrzymał się. Wyjął z kieszeni laleczkę i rzucił ją dziewczynie.

— Za dziewięć miesięcy możesz ją ofiarować naszej pociesze — rzekł. — Możesz jej również opowiadać, że ojciec słynął z szlachetności i zginął ratując ludzi podczas sztormu... Aha. Nazywam się Stefan Nowakowski i jestem pierwszym oficerem na statku „Sól”. Jeżeli masz ochotę, możesz złożyć na mnie donos, że szmugluję walutę, zegarki, czy tam co innego. Do widzenia.

W knajpie było tak samo pusto jak i przed trzema godzinami. Kolega pierwszego oficera siedział równie sztywno i spokojnie.

— No i jak? — zapytał. — Przyjemnie było?

— Wspaniała dziewczyna. To najpiękniejsza noc w moim życiu.

— Dziwnie. Nie wyglądała na taką.

— Być może... Roman.

— No?

— Przyjrzyj mi się dobrze.

— No?

— Na kogo ja wyglądam?

— Swój, dobry chłopak. Trochę za dużo piłeś ostatnio i masz wory pod oczami. To ci przejdzie na morzu. Tylko na siwiznę ci morze nie poradzi. Trochę za wcześniej osiwiłeś, stary.

— Trochę. Na razie napijmy się. — Wypili.

— Powiedz mi, Roman — rzekł pierwszy oficer — czy ty myślisz czasem o śmierci?

— Po co o tym myśleć? To i tak przyjdzie.

— Nie boisz się?

— Nie, chyba nie. Myślę, że w tym wszystkim jest kawał bujdy. — Jak myślisz: czego człowiek obawia się najwięcej?

— Trudno na to odpowiedzieć. Chyba każdy czego innego.

— A ty?

— Głupich pytań.

— Nigdy nie ogarnia cię przerażenie?
— Jeśli nawet, to i tak nikomu bym się nie przyznał.
— Nawet mnie?
— Nawet sobie.
— Siedziałem w obozie przez całą wojnę — powiedział pierwszy oficer. — Pod koniec pobytu śmierć mnie już tylko nudziła. Widziałem jak żywego człowieka kapo spalił lampą benzynową. Tego się nie zapomina, ale to jeszcze nic nie jest. Wtedy jeszcze nie ogarnia taki strach jak w innych chwilach życia. Życie jest brudnym piekłem i ludzie wszystko gnoją. Największe przerażenie ogarnia wtedy, kiedy czujesz, że w twoim życiu zaczyna się coś dobrego. Przemykasz oczy i widzisz jak wszystko idzie w błoto. Jak we wszystko wtrącają się podli i głupi; jak wszystko pomału umiera; jak wszystkiego trzeba będzie potem żałować. Kochasz i widzisz zdradę; czujesz, że zaczynasz kochać i widzisz jak ten człowiek od ciebie odchodzi. Wtedy dopiero można naprawdę zrozumieć czym jest strach. Kropka. Koniec zabawy.

Wstał i kopnięciem przewrócił stolik. Szkło i talerze posypały się z brzękiem. Zapłacili i wyszli. Było już jasno: białe słońce wchodziło na niebo. Wyla syrena któregoś z odpływających statków.

— Pomogło? — zapytał kolega pierwszego oficera.

— Czy ja wiem? Może.

— Za cztery godziny będziemy już na wodzie — powiedział kolega pierwszego oficera. Uderzył go potężną pięścią w plecy. — Przejdzie, przejdzie — powiedział. Ja to znam. Potęsknisz za portem i przejdzie.

1956

Biblioteka Polska
Kolo Zurych SPK

ZBIEG

— Józef Rybicki zwiął z mamra — powiedział starszy, szpakowaty człowiek w mundurze kapitana milicji. Trzymał w ręku plik papierów. Był niewysoki, lecz sylwetkę miał świetną; w nocy poznałoby się w nim starego żołnierza. — Widocznie wstąpił w niego diabeł — powiedział. — Kiedy remontowano mury, administracja przeznaczyła go do pracy. Miał jeszcze odsiedzieć dwa lata. Karany wielokrotnie, recydywa, raz skazano go za napad z bronią w ręku. Było to jeszcze przed wojną. Potem wpadł pierwszy raz w czterdziestym szóstym roku. Siedział trzy lata. Następnie w pięćdziesiątym pierwszym. Wyszedł z amnestii, lecz szczęście trwało krótko; w trzy tygodnie później przystrzylili go znowu. Teraz ma paskudną historię. Zdążył wyrwać strażnikowi pistolet i strzelił do niego. Żona strażnika jest już czarującą wdową. Podczas ucieczki ostrzeliwał się także. Udało mu się zwiąć Bóg wie jakim cudem. Na wiejskiej drodze zatrzymał chłopą, zdjął mu ubranko, związał go, rzucił w krzaki, a sam furką pojechał do miasta. Konie i furkę znaleziono. Sam Rybicki gdzieś się pęta. Spluwę ma z sobą. Trzeba mu pomóc wrócić, bo sam nie zdradza ochoty. To wszystko.

Rzucił papiery na stół: otworzył szufladę, wyjął stamtąd mały pilnik i natychmiast począł czyścić sobie paznokcie, całą uwagę w sposób widoczny skupiając na tej czynności. Siedzący za stołem cywil w granatowym garniturze przestał jeść bułkę i spojrzawszy na kapitana bladymi oczyma, powiedział:

— Takie hece zdarzają się nawet wśród recydywy. Facet zobaczy kobietę z wózkiem lub kogoś kupującego ćwiartkę i już go niesie. Łapałem takich gówniarzy. Jego też już chyba kiedyś przyskrzypiłem. Jak mu tam?

— Rybicki — rzekł kapitan spojrzawszy w papiery — Józef Rybicki.

— Chyba ten sam — powiedział z namysłem cywil. Uśmiechnął się szeroko, lecz jego oczy pozostały nieruchome. — Przewisko „Święty”. Diabli wiedzą, ile to już lat temu. Mieszkał kiedyś na Grochowie, bodajże, ograbili jakąś spółdzielnię czy coś takiego. Kasjera stuknęli w czaszkę. On wtedy stał na cynku i to go uratowało. Zobacz, czy się zgadza.

Kapitan odłożył pilniczek i pogmerał w papierach.

— Ten sam — rzekł po chwili. — Ty go przyskrzypiłeś?

Cywil wzruszył ramionami.

— Łapałem tylu rozmaitych gówniarzy — powiedział. — To był ten. Będę go miał z powrotem. Na pewno jest w Warszawie, głowę za to daję. Tu w końcu najłatwiej się ukryć. Jeśli jest tutaj, będę go miał za parę dni.

— Pojedź tam jeszcze dzisiaj.

— Już jadę. Lubię jeździć na peryferie. — Cywil uśmiechnął się marzycielsko i powiedział: — W lecie tylko tam można pooddychać dobrym powietrzem, człowiek czuje się potem jak po kąpieli. Na Grochowie mam znajomego ogrodnika, to przy okazji kupię kilo ładnych pomidorów. Zona ubóstwa. Wziąć coś dla ciebie?

— Nie znoszę — powiedział kapitan i wzdrygnął się jak oblany. — Dostaję jakiejs piekielnej wysypki, mam to od dziecka. Jedź tam zaraz. Może rodzina coś wie. Jeśli będą na niego bardzo kłąć i wymyślać, to znaczy, że był u nich, a może nawet wypoczywa gdzieś w pobliżu.

Cywil wstał, był krępy, niedużą głowę osadzoną miał na mocnej szyi. Zdjął marynarkę; odpiął z szelek pistolet i położył go do szuflady obok nie dojeżdżonej bułki. Potem zamknął szufladę a kluczyk schował do małej kieszonki w spodniach, tam gdzie zazwyczaj nosi się zegarek. Następnie wciągnął marynarkę z powrotem i zdjął kapelusz z wieszaka. Obejrzał się w ręcznym lusterku; kapelusz miał dość duże rondo i cywil, jak każdy nieduży mężczyzna

w tego typu kapeluszu, wyglądał trochę na zawadiakę. Nie przerywając czyszczenia paznokci kapitan powiedział:

— To wbrew instrukcji. W takich wypadkach trzeba brać ze sobą.

Cywil uśmiechnął się smętnie.

— Bardzo bym lubił tę robotę — powiedział — gdyby nie noszenie tego żelastwa. Cóż to za życie, kiedy pod lewą ręką trzeba taszczyć pół tony. Człowiek powinien się czuć swobodnie. Tego jednego człowiekowi trzeba do szczęścia. Jaką spluwę ma tamten?

Kapitan znów zajrzał do papierów.

— „Waltera” — powiedział. — Ci z więziennictwa mają broń nietypową.

— Znam — rzekł cywil. — W czterdziestym piątym sam miałem taką maszynę. Świetne maszyny, tylko muszą być idealnie czyste, bo inaczej lubią się zacinać. Do widzenia.

Wyszedł na ulicę; ogarnął go żar, ciężki zapach benzyny i rozpalonego asfaltu. Rozpiął marynarkę, a kapelusz wziął do ręki. W pobliskiej budce wypił małe piwo, kupił sobie gazetę i wszedł do tramwaju. Przeczytał pierwszą stronę, a kiedy tramwaj wydostał się już z ruchliwych ulic i mknął wśród działek, małych domków i chudych ogródków, cywil złożył starannie gazetę, wsadził ją do kieszeni i począł wyglądać przez okno. Uśmiechnął się, kiedy mijali gromadki dzieci grających w piłkę, gołębniki obite wypłowiałą papą i inspekty, w których ogrodnicy pootwierali szyby.

Na ostatnim przystanku wysiadł. Teraz zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli; na lewym przedramieniu miał głęboką, ukośną bliznę a jej wieczna różowość odbijała rażąco od smagłości skóry. Było bardzo ciepło; przed domami siedzieli obnażeni ludzie, psy leżały bez ruchu, a z języków ich na wiatr jeszcze trawę ściekały strużki śliny. „Dobrze im się dzieje” — pomyślał cywil. Zerwał z drzewa listek i począł go przeżuwać. Popatrzył ze smutkiem na swoje nogi w ciężkich, żółtych butach i znów pomyślał: — „Niech ich szlag trafi, ale dobrze im się wszystkim dzieje”.

Przy końcu ulicy skręcił w prawo, przeszedł przez podwórko zawalone przeżartym rdzą żelastwem i wszedł do małego warsztaku; dorabiano tutaj nieskomplikowane klucze do drzwi, reperowano rowery i dziecięce wózki. War-

sztacik mieścił się w starej szopie, jej deski już na zawsze przesiąknięte były trwałym zapachem oliwy, benzyny i nafty. Cywil wciągnął ten zapach z lubością i powiedział:

— Dzień dobry, szefie.

Pracujący przy imadle człowiek odwrócił się. Był tęgi i wysoki, o dobronudusznej twarzy i otwartych oczach, aby ustrzec włosy przed zabrudzeniem nosił na nich wełnianą, kolorową czapkę. Machinalnie otarł ręce w pakuły.

— Dzień dobry — odparł.

— Co dobrego?

— Pomaleńku.

— Ale idzie?

— Jakoś tam idzie.

— No, to chwalić Boga — powiedział z ulgą cywil. — Zje pan coś przed drogą?

— Nigdzie nie idę.

— Idzie pan ze mną. Na komisariat.

— Po co?

— Złoży pan krótkie zeznanko. Wie pan w jakiej sprawie.

— Nic nie wiem.

— Nie szkodzi. Tam się pan dowie wszystkiego.

— Wstąpiłem na uczciwą drogę.

— Więc o co panu chodzi? My szanujemy dzielnych uczciwych obywateli.

— Ale co się stało? Może pan przecież, do ciężkiej cholery, powiedzieć.

— Właściwie — powiedział cywil i podrapał się w podbródek — to mi nie wolno, ale mogę to zrobić przez osobisty szacunek dla pana. Ktoś złożył na pana brzydkie zeznanie. W śródmieściu ukradziono samochodzik. Cwaniacy, co? Gwizdnęli nowiutką maszynkę, podczas gdy on siedział sobie z żoną w teatrze i jadł cukierki przeszkadzając sąsiadom. I znaleziono ten samochodzik niedaleko stąd. Szkoda tylko, że stał na cegielkach, i że nie miał gum i innych części, o które teraz tak trudno. Ten, który nam to mówił, twierdzi, że pan pomógł w rozbiórce. Ale ja od razu protestowałem; znam pana dobrze i cenię pańską uczciwość. Zupełnie czułem się tak, jakby to mnie posądzono o takie rzeczy. Dlatego chodź pan ze mną.

Właściciel warsztaciku milczał przez chwilę. Wciąż ocierał swoje pokancerowane, brunatne ręce w pakuły. Nagle rzucił je z wściekłością na imadło.

— Ile dostanę? — zapytał.

— Jako recydywa dwa lata. Drobiazg. Nie ma się przy czym upierać.

— Czego pan chce ode mnie?

— Szukam kogoś, komu chciałbym uścisnąć dłoń. Nie widziałem go kupę czasu. Żre mnie tęsknota.

— Kto to jest?

— Józef Rybicki. Mieszkał kiedyś blisko pana.

— Siedzi w pudle.

— Już zwiął.

— Tak? Nie wiedziałem.

— Szkoda. Ma pan trochę benzyny?

— Oczywiście.

— Niech pan obmyje ręce benzyną bo poplami pan formularze zeznań na komisariacie.

— Coś tak, jakbym słyszał, ale nie jestem pewien.

— Nie szkodzi, ja poczekam, aż pan sobie przypomni. Przez ten czas możemy sobie pogadać o czym innym. Kto otworzył drzwiczki od samochodu?

— Nie wiem nic o samochodzie — rzekł właściciel warsztatu. Znów ocierał ręce w pakuły. — Przypomniałem sobie już. Był tutaj dzień temu. Widzieli go wieczorem.

— Kto?

Stanisław Olczak, kelner z „Przystankowego”. To mój kolega. Wypiliśmy trochę i powiedział mi.

Cywil uniósł palec do góry.

— Nie powinien się pan przyjaźnić z tym facetem — powiedział patrząc z wyrzutem na właściciela warsztatu.

— Znam go. Handlował kiedyś walutą na bazarze. Sam mu zakładałem obrączki. Do widzenia, szefie.

— Jak tam będzie z tym samochodem?

— Ja myślę — powiedział cywil — że te części powinny się jakimś cudem znaleźć i dziś wieczór wrócić do właściciela. Chłop się ucieszy i jak Bóg da, wycofa skargę. Postaraj się pan z nim dogadać. Jak nie będzie chciał, przyjdź pan jutro o dwunastej na komisariat. Trochę zawsze odejdzie za szczere przyznanie się do winy. Może zresztą tamten

się rozczuli. Uczciwy z uczciwym zawsze się tam jakoś w końcu dogada. No, daj Boże zdrowie.

Wyszedł: na ulicy zmrużył oczy od słońca. Szedł wzdłuż niskich, szczerbatych płotków, na których ludzie porozwieszali swoje pstre bety. Przejechał samochód z pustymi bańkami po mleku; kurz uniósł się nad uliczką i przez długą chwilę opadał, tworząc coś w rodzaju złotej zasłony. Na sam środek uliczki wyszedł cap czarny jak diabeł i zastąpił cywilowi drogę: ten pogłaskał go czule po szorstkim łbie: „Tu jest jednak ładnie — pomyślał zrywając nowy listek z mijanego drzewa. — Tu jest jednak bardzo ładnie”.

Kiedy zobaczył szyld restauracji, wszedł po schodkach i pchnął drzwi; w sennej ciszy zabulgotał dzwonek. Było pusto; ludzie przychodzili tutaj dopiero po pracy, kiedy udało im się już wyrwać z śródmieścia i dobrać zatłoczonym tramwajem. Tylko przy jednym stoliku siedziała stara kobieta; siorbając potężnie piła herbatę, przed nią leżał rozwiązany tłumoczek z jedzeniem.

Cywil usiadł przy stoliku i chrząknął głośno. Kelner zjawił się po chwili; miał rzadkie włosy i niezdrową, obrzękłą twarz. Przeżuwał coś, szedł od niego zapach cukierków eukaliptusowych.

— Co pan życzy? — zapytał wpatrując się w siebie tylko wiadomy punkt na ścianie.

— Co może być?

— Bigos i klopsik.

— Nie tylko — powiedział cywil. — Może być pięć lat. Siadać.

Kelner usiadł.

— Nie poznałem pana — rzekł. Odsłonił w uśmiechu zęby: niespodziewanie białe i równe, ze śmieszną jak u małego dziecka szczerbką w środku. — Teraz dopiero poznałem. To ty mnie zahaczyłeś.

— Nie tylko ciebie — powiedział cywil i pokiwał głową ze smutkiem. — Pojęcia nie masz, ilu po tobie, i ilu przed tobą, ilu wtedy, kiedy siedziałeś sobie jak ptaszynka, nic cię na świecie nie obchodziło, i tylko od czasu do czasu rąbałeś konia, żeby się doprowadzić do takiego stanu, kiedy człowiek pada na pysk i lekarz więzienny każe przenieść na obserwację. Zamykałem już najrozmaitszych facetów: doliniarzy, koników, szopenfeldziarzy, dwóch kasiarzy; raz

przyskrzynyłem całą dintojrę, a to się teraz rzadko zdarza; zamykałem dziewczynki, gwintowników, ceglarzy, szabrowników, patefoniarzy, komików, nawet mi się gadać na ten temat nie chce. Mali, głupi gówniarze! *Boicie się milicji a naprawdę nie wiecie, kto jest milicją, jak ona wygląda.* Co ja bym zrobił bez ciebie, Stasiu? Bez innych? Bez waszego strachu? Bez waszej ciągłej biedy? Bez waszych interesów i kombinacji, na których kładziecie się jak dzieci? Kim byłbym bez was, razem ze wszystkimi w mundurach, z samochodami, z radiem, z takimi chłopakami, którzy potrafią wyłapać odcisk twoich wzruszających paluszków wśród miliona innych. Nudzicie mnie, ale polubiłem was. Jak wy to mówicie? Jak pragnę kochanej wolności, że was polubiłem. A teraz przynieś dwie małe wódki.

Kelner wstał i po chwili przyniósł dwa kieliszki na fajansowym talerzyku. Cywil ujął jeden i podniósł do góry.

— Napijemy się przed drogą — powiedział.

— Gdzie idziemy?

— Tam gdzie zawsze, synu — powiedział cywil. — Tam, gdzie zawsze idziemy wtedy, kiedy opuszcza cię twój parszywy Pan Bóg. Myślałem już, że w tym prześlicznym miejscu odzyskałeś spokój ducha i żyjesz uczciwie. Ale zawiódłem się na tobie, synu.

— Tym razem nic do mnie nie macie.

— Nie mamy? Ale możemy mieć. Wszystko jest przestępstwem, mój synu, jeśli spojrzysz na to z pewnego punktu widzenia. Trzeba tylko znać ten punkt. Wszyscy mijacie się codziennie z prawem, z kodeksem, z przepisami, z regulaminami: źle przechodzicie przez jezdnię, sprzedajecie wódkę po pięć złotych drożej, kupujecie od szoferów zaoszczędzoną benzynę, bierzecie łapówki po piętnaście złotych, oszukujecie o dwie godziny nadliczbowe dłużej, nie płacicie za tramwaj, żeby mieć na dwa papierosy więcej, sprzedajecie i kupujecie wódkę w dni wypłat, mówicie czasem złe rzeczy na ludzi, na których nie wolno mówić nieładnie. Czy chcesz dowodów, synu? Mogę się dla ciebie postarać o każde, jeśli nie przypomnisz sobie jednego z twoich klientów, który był tu wczoraj lub przedwczoraj.

— Którego?

— Kiedy sprzedawałeś ostatni raz wódkę Rybickiemu? On tu przyszedł po zamknięciu lokalu i pukał od tyłu.

Kelner uśmiechnął się.

— Był tu przedwczoraj wieczór — rzekł oglądając swoje ręce: palce miał pożółkłe od nikotyny. Popatrzył ciężko na cywila. — On wiedział, że wsiąknie — rzekł. — Pukał nie od tyłu, a od przodu. Z nim kłapa.

— Dziękuję ci, synu. I nie wracaj już na bazar. Waluta, to nie dla ciebie. Wtedy też wzięłeś się za nieswoją robotę i była przykrościunia. Twoja specjalność, to, o ile pamiętam, włamanie. Trzymaj się tego. Ściskam twoją szlachetną dłoń. Ile płacę za te wódki.

— Moje.

— Nigdy — powiedział cywil. Wyciągnął pugilares. — Już od dawna marzyłem o tym, żeby się z tobą trącić. Gdzie on teraz może być?

— Mieszkał w drugiej ulicy na prawo. Trzeci dom.

— Dziękuję. Bądź zdrow, synu.

Wyszedł i znów kroczył wśród zieleniejących ogródków. „To, psiakrew, dopiero jest poezja — pomyślał. — Te pietruszki, te kalafiory, te marchewki na kurzych główkach. Dlaczego ja to tak lubię? Powinienem tego wszystkiego nienawidzić. Przedmieścia, tych knajp, tych gęb, tych staruchów, którzy wygrzewają na słońcu swoje reumatyzmy. Tych wszystkich pokraccznych domków, które obsiadły miasto ze wszystkich stron. Powinienem tego nienawidzić”.

Zobaczył wreszcie dom, do którego podążał. Obszedł go od tyłu i przystanął na małej łączce. Pełno tu było puszek konserwowych, stłuczonych skorup, rybich szkieleatów i niedotłuczonych papierów. Cywil wyszukał sobie kawałek czystej trawy i usiadł podwijając nogawki. Zapalił papierosa i obserwował rzadki dymek. „Tu gdzieś jesteś pomyślał — i już wiem, że czekasz na mnie. Masz w łapie pistolet, ale już nie strzelisz do nikogo. Leżysz teraz i patrzysz w sufit, a jedyna rzecz, o którą się modlisz, to o to, abym przyszedł już po ciebie. Miałeś swoje cztery godziny słońca a teraz wrócisz znów do mamra. Trudno, stary. Widziałem już takich, którzy zwiewali na wolność, potem wracali, i pierwszy raz czuli, że śpi im się dobrze. Tak to bywa czasem. I trzeba się z tym pogodzić”.

Niedopałek zaczął parzyć mu palce. Rzucił go i myślał dalej: „Masz ze sobą swoją spluwaczkę, ale nie wiesz, co

z nią zrobić. Nie przydała się na nic. Boisz się pójść samemu na komisariat. Ja rozumiem, że nie możesz. Rozumiem, że są takie sytuacje, kiedy człowiek chce być schwytany. Kiedy samemu nie jest się w stanie nic zrobić, a wtedy każdy, kto skuje i za mordę zaprowadzi z powrotem, jest przyjacielem. Są takie sytuacje i trzeba się z tym pogodzić”.

Wstał i otrzepał ubranie; poszedł wolno w kierunku domu. Na podwórku zapytał małego chłopczyka:

— Wujek jeszcze śpi?

— Tak — powiedział chłopiec.

— Zmęczony jeszcze. Długo jechał. Przyjechał dopiero przedwczoraj, prawda?

— Chyba.

— I pewnie nie kazał ci, abyś coś o nim mówił?

— Tak.

— No widzisz. Ale ja znam wujka. On na mnie czeka. Zaprowadź mnie do niego.

Chłopczyk poprowadził go przez podwórko; weszli do ciemnej sieni i chłopiec zatrzymał się. Pokazał palcem drzwi.

— Tu.

— Dziękuję.

Cywil pchnął drzwi i szybko wszedł do środka. Rozejrzał się: na łóżku odsuniętym od okna leżał mężczyzna. Ręce trzymał założone pod głowę, bosc nogi oparł o krawędzie łóżka. Był szczupły i mizerny; w pokoju czuć było zapach przetrawionej wódki, a przy łóżku leżała butelka.

— Jeśli wyciągniesz pistolet — powiedział cywil — będę musiał zameldować, że stawiałeś opór.

— Już po wszystkim? — zapytał mężczyzna.

— Niestety — powiedział cywil. Przysiadł na łóżku. — Ja wiem, że nie myślałeś, że to tak szybko pójdziesz. Mówię ci: nie było żadnych cudów. Trafiłem do ciebie jak do własnej żony. Teraz nie można się ukryć. Ludzie się zmienili. Wszyscy kombinują, jeśli tylko mogą; każdy ma brudne łapki, każdy boi się o siebie, nad każdym wisi jakiś wyrok. Mniejszy czy większy, ale zawsze wyrok. Boją się więzienia, kochają wolność, myślą, że wolność to już wszystko.

— Przysiągłem sobie, że ucieknę — powiedział mężczyzna leżący na łóżku. — Wtedy wolałem śmierć od kryminału.

Cywil uśmiechnął się.

— Każdy z was myśli tak samo — rzekł. — A kiedy znajdziecie się na wolności, robicie się słabi jak lalki wypuszczone z rąk. Zapomnieliście, że czas poszedł naprzód. Wracacie do swoich, a tu każdy ma swoje parszywe tysiąc złotych na głowie i trzęsie się o nie. Mówię ci: niejednego już w ten sposób przyskrzytnięm.

— Sam skończę ze sobą — powiedział mężczyzna. Wyciągnął spod poduszki pistolet i zarepetował go kilkakrotnie. Na podłogę wyskoczyły dwie kule. — Starczy — rzekł.

— Nie zrobisz tego — powiedział cywil. — To nie dla ciebie. Miałeś dobre życie, kupę forsy, po parę kochanek na raz. Tacy jak ty, nie robią tego.

— Jeśli wrócę tam — powiedział leżący — to i tak dostanę krawat. Gdyby nie ten cholerny strażnik, dostałbym najwyżej trójkę dolewki.

— Cóż z tego? — rzekł cywil. — Może zresztą nie. Ale tam będzie ci lepiej. Wolność teraz nie dla ciebie. Tu nikt nie będzie chciał ryzykować. Będziesz się musiał tylko ukrywać i dręczyć. I tak, i tak, skończą z tobą. Możesz jeszcze odpocząć i pomyśleć o tym wszystkim. I nikt cię nie będzie dręczył ani śledził, nie sygnie cię już żaden koleżka, nie będziesz potrzebował się ciągle bać, ciągle nie spać po nocach i tak dalej. Dzisiaj nie warto uciekać na wolność. Mówię ci: jest ciężko, ludzie nie chcą ryzykować, każdy cię wyda, byle tylko mieć trochę spokoju i porządek. Ludzie ciężko pracują, są zmęczeni, i nikogo to nie będzie obchodzić, że jakiś facet uciekł z mamra na wolność. Parę dni temu kilku szczeniaków napadło na pocztę a po kilku godzinach mieliśmy już wszystkich.

— Dostanę krawat — z uporem powtórzył mężczyzna.

— Nie wiadomo — powiedział cywil i pokręcił głową — nie wiadomo. A jeśli nawet? Wszystkich nas to w końcu czeka. Ta jedyna, prawdziwa wolność, jaka dla nas istnieje. Zrobi to ktoś za ciebie, nie będziesz się potrzebował o to troszczyć, zresztą trwa to tak krótko... Tak czy owak, za późno o tym myśleć.

Mężczyzna włożył buty i wyszli. Przed domem zatrzymali się. Zbieg powiedział:

— Pójdę przodem. Nie chcę, żeby widzieli, że tak szybko wpadłem.

— W porządku — powiedział cywil. — Mam tu do załatwienia jeszcze małą sprawę. Spotkamy się za piętnaście minut na przystanku tramwajowym. Tak?

— Tak jest — powiedział zbieg. Wyjął z kieszeni pistolet i podał cywilowi. Ten cofnął się.

— O, nie — powiedział. Wykonał przeczący ruch ręką. — Oddasz go sam na komisariacie. Nie lubię tego nosić. Człowiek powinien się czuć swobodnie.

1956

KRZYŻ

Drzwi zgrzytnęły i do celi wszedł strażnik. Był to jego-
mość wysoki i chudy; cerę miał ziemistą i oczy wiecznie
podkrążone gdyż cierpiał na wątrobę — wiedzieli o tym
wszyscy ci, którzy siedzieli tu dłużej; on sam często uskarżał
się w głos. Strażnik chrząknął głośno. Człowiek siedzący
na pryczy spojrzał na niego z wyczekiwaniem.

— Rodzice przyjechali — powiedział strażnik. Głos
jego brzmiał nosowo. — Trzeba się iść pożegnać.

Siedzący na pryczy milczał. Oglądał swoje ręce; dłonie
miał wielkie i grube o spękanych palcach. Ręce takie na
pierwszy rzut oka wydają się niezgrabne i do niczego właś-
ciwie nieprzydatne; trzeba je dopiero zobaczyć przy pracy,
aby przekonać się, ilu rzeczy potrafią dokonać.

— Tak — powtórzył strażnik i przestąpił z nogi na
nogę. — Trzeba się iść pożegnać. Oni czekają już od rana,
przyjechali pierwszym pociągiem.

Siedzący wstał i wyprostował się. Był wysoki i krępy,
twarz miał okrągłą; ostrzyżone przy skórze ciemne włosy
czyniły ją jeszcze bardziej podobną do kuli.

— Zimno dzisiaj? — zapytał. Począł rozcierać dłonie.

— Nie będziemy przechodzić przez podwórko — po-
wiedział strażnik. Wykonał uspokajający ruch ręką. — Po
prostu zejdziemy na dół. Oni tam czekają.

Wyszli na korytarz. Strażnik zamknął drzwi. Poczęli
iść korytarzem: więzień szedł przodem i swoje ogromne
dłonie założył do tyłu. Naprzeciw nim szli dwaj więźniowie

trzymając w rękach kubły. Jeden z nich machnął ręką do prowadzonego i zmrużywszy oko, rzekł:

— Jak się masz, gospodarzu.

— K.S. — powiedział strażnik. — Nie rozmawiać.

Niosący kubeł gwizdnął. Przeszli dalej. Człowiek o okrągłej głowie zapytał.

— Nie wyjdę już na podwórko, co?

— Chyba nie — odparł strażnik. Miał męczeński wyraz twarzy: już od rana czuł, że czeka go wściekły atak wątroby. Skręcili w następny korytarz i szli bardzo wolno, gdyż więzień ostatnio mało chodził i bolały go nogi obute w ciężkie drewniaki. Syczał więc i potykał się. W pewnym momencie powiedział:

— Pieką mnie nogi strasznie.

— Och — rzekł strażnik. Wzruszył ramionami. — To już niedaleko.

Więzień mruknął: starał się stąpać bokiem. Patrzył z uporem na ściany i po chwili rzekł.

— Żarówka się przepaliła.

— Gdzie? — zapytał strażnik. Przystanęli.

— Tam — rzekł więzień i uniósł do góry swoją ogromną dłoń.

Strażnik spojrzał. Istotnie — jedna z żarówek rozświetlających korytarz nie świeciła. Strażnik pokiwał głową.

— No i powiedz pan sam — rzekł. — Czy to są żarówki? Mój zięć kupił w zeszłym tygodniu trzy, to dwie się od razu przepaliły. Poszedł do sklepu i chciał wymienić, a tam mu mówią: „Co pan, śmieszny? Czy to nasza wina? Takie dają, to takie sprzedajemy...”. Z żarówkami teraz bieda.

— Ile kosztuje żarówka?

— Nawet nie wiem — powiedział z zakłopotaniem strażnik. I nagle zapytał podejrzliwie: — A dlaczego?

— Tak sobie.

Strażnik popatrzył na niego uważnie i rzekł z gniewem:

— Idziemy, idziemy. Co pan — żarty gra?

Szli dalej wzdłuż zamkniętych drzwi. Przy samej klatce schodowej, dyżurni więźniowie myli korytarz. Szorowali z hałasem szczotkami osadzonymi na krótkich trzonkach; pachniało szarym mydłem i gorącą wodą. Kiedy

przechodzili, jeden z nich podniósł spoconą twarz i szepnął:

— Koles, rzuć fajkę, na wypisze ci oddam.

— K.S. — powiedział strażnik. — Nie rozmawiać.

— Nikt przecież nic nie mówi — rzekł myjący podłogę. — Czy ja co mówię, do cholery? Przecież nie mówię... Rzucił z hałasem szczotkę i odstawił wiadra: strażnik z okrągłogłowym przeszli. Więzień znów stąpnął nieostrożnie i syknął.

— Już, już — rzekł uspokajająco strażnik. — To naprawdę już blisko.

Weszli do kancelarii a potem przeszli do izby, gdzie czekali rodzice więźnia. Na widok wchodzącego podnieśli się z ławki.

— Można się przywitać — rzekł strażnik i na jego chudej twarzy ukazało się coś, co mogło być uważane za uśmiech, lecz tylko przez tych, którzy znali jego chorobę. — Można siedzieć. Poprawił pas z ciężkim pistoletem i usiadł na krześle pod oknem. Więzień stał pośrodku izby i mrugał oczami; było tu o wiele jaśniej niż w celi gdzie przebywał dotychczas. Następnie podszedł do rodziców; najpierw pocałował w rękę ojca i następnie matkę.

— To dzisiaj rano przyjechaliście? — zapytał.

— Ano, tak — rzekł ojciec. Był potężny i wysoki, kark wylewał mu się z przyciasnego kołnierzyka; głos miał donośny, nawet teraz — kiedy nie wiadomo czemu starał się mówić szeptem. Syn nie był do niego podobny; ani z wyglądu, ani z zachowania. — Jechaliśmy całą noc do ciebie — powiedział surowo ojciec.

— Z przesiadką w Jodłowie?

— Teraz — powiedziała matka — trzeba się przesiedać w Rostaszewie.

— Uhm — mruknął więzień. Starał się tak usadowić, aby nogi jego odpoczęły nieco. Oparł się plecami o ścianę i nogi wysunął przed siebie. I nagle serce jego poczęło bić mocno: zląkł się, że ojciec — człowiek bardzo surowy — każe mu wstać i rozmawiać na stojąco, gdyż nie lubił, aby dzieci przemawiały do niego bez szacunku. Więzień przypomniał sobie o tym i zagadał szybko: — A jak tam u Sidorowicza?

— U Sidorowicza? — powtórzył z namysłem ojciec. Milczał przez sekundę szukając odpowiedniego słowa a

potem rzekł: — Tak, jak to zwykle u niego. Tyle, że koń padł.

— Padł koń — ucieszył się więzień. Marzył o tym, aby móc już powrócić do celi i zdjąć buty. — Jak to mogło być?

— Padł — i koniec — powiedział ojciec. — Wcłali weterynarza, ale było już za późno. — Poskrobał się po głowie, znów milczał przez sekundę. Potem rzekł tonem upomnienia: — Z koniem trzeba delikatnie.

— Trzeba już kończyć — powiedział strażnik odwracając się ku nim. — Jeszcze zostało pięć minut.

— To koń — powiedział szybko więzień i jeszcze nieco dalej wysunął nogi. — Tak, tak... Koń, koń... Pewnie, że z koniem tylko delikatnie... Tak, tak... No, wiadomo, co zrobisz jak padnie?... Trzeba ostrożnie i koniec... Tak, tak... — Syknął: przyszło mu na myśl, że teraz — przy pożegnaniu — na pewno trzeba będzie wstać. Syknął i szybko zapytał: — A u nas jak tam?

— Ano, chwalić Boga — rzekł ojciec. — Jak dobrze pójdzie, to kupim krowę na wiosnę.

— Koniec — powiedział strażnik. Wstał i podciągnął pas; olbrzymia kabura pistoletu śmiesznie wyglądała przy jego chudym ciele.

— No tak — rzekł ojciec. — Nie pora teraz rozmawiać. Teraz musisz z Bogiem, synu, porozmawiać. Ty już jego jesteś. Tak. No, to módl się.

Uniósł dłoń do góry: strażnik odwrócił się. — Żegnam cię krzyżem Pańskim — powiedział ojciec głośno. — Ukłęknij.

Więzień milczał.

— Nie — rzekł po chwili; wiedział, że kosztowałyby go to wiele bólu i na samą myśl o tym, świeczki stanęły mu w oczach.

— Klękaj, synu — powiedział ojciec uroczystym głosem. — Przed krzyżem należy się klękać.

Więzień pokiwał głową.

— Nie — rzekł. Pochwycił rękę ojca i ucałował ją. Potem pocałował matkę i wyszedł razem ze strażnikiem. Starzy również wyszli; przeszli przez dziedziniec i znaleźli się na ulicy. Poczuli iść w kierunku dworca skąd za dwie godziny odchodził ich pociąg. Szli wiejskim zwyczajem: ojciec przodem, matka dwa kroki za nim, w tyle.

— Odmienili go — powiedziała matka. — Nie chciał uklęknąć. — Chlipnęła: jej starcza twarz skurczyła się żałością. — Może nie wierzy już w Boga? — rzekła.

— Pierwszy raz — rzekł ojciec takim tonem, jakby nie dowierzał samemu sobie. — Pierwszy raz, żeby zrobił nie po mojej woli. Ale dziecko z niego jest dobre.

Przy którymś ze skwerów usiedli na chwilę. Dzień był ciepły, śnieg topniał. W kolorze nieba, w nieznacznym spulchnieniu gałązek, w połysku sierści przejeżdżających koni, w wilgotnym blasku szyn czuło się już nadchodzącą wiosnę. Przechodnie rozpinali palta, dzieci wychodzące ze szkół biegły gromadkami, brudny śnieg z szumem spływał do ścieków.

— Tak — rzekł ojciec. — Na jesieni Mietek wróci z wojska. Będzie miał garnitur po Janku. Do jesieni trzeba się jeszcze pomęczyć...

— Janek był teższy — powiedziała matka.

— Tęszszy, tęszszy... Janek w wojsku utyje, tam dają im jeść jak się należy... — Milczał przez chwilę patrząc na swoje lśniące buty. — No co — rzekł po jakimś czasie. — Dziecko było z niego dobre. Nic nie powiedział że ja mu kazałem. Nic — aż do końca.

— Tyś mu kazał? — spytała matka.

— Ano — rzekł ojciec — tak wychodzi, że ja... — Kark poczerwieniał mu nagle. — Ja bachora w domu nie potrzebuję. — Potrząsnął pięściami. — Tymi rękami dorobiłem się wszystkiego — ziemi, domu, żony. Ja na stare lata wstydem świecić nie będę. Zgrzeszyli — ich sprawa. Miał się ożenić z dziadówką? Co ona miała? Co warty człowiek bez ziemi? Nic, tyle co śmieć, może nawet tego nie. Chciałem dla niego dobrze. Ja mu powiedziałem, żeby ją położył koło konia; niech będzie, że to koń ją kopnął. A on się po tym wszystkim przestraszył; uciekł i zostawił siekiere. Ja miałem dla niego żonę w Zawadowie. Miałby i dom, i ziemi kawał. Ale on wolał tę. Musiał zrobić po mojej woli. Dobry był z niego dzieciak. I nic nie powiedział. Synowskie posłuszeństwo miał.

— Żeby tylko nie cierpiał za bardzo — rzekła matka i chlipnęła.

— Gdzie tam — rzekł ojciec. Chrząknął niecierpliwie. — Śmierć to śmierć i koniec. Czy to mało ludzi umiera? Czy on nie widział śmierci? Przed demokracją, jednej

zimny to na Głuchowicach pół wsi wymarzło. A w Zawadowie? A w Janowicach? Z głodu, z zimna zawsze przecie gorzej umierać było. Dobry był z niego dzieciak i śmierć będzie miał lekką. To dopiero za trzy dni. Wrócimy do domu, to pójdziemy się pomodlić, żeby mu ta śmierć letko poszła.

— Dobry był — powiedziała matka. — Pewno, że dobry. — Na jej okrągłej, pomarszczonej twarzy malowała się jednak pełna wątpliwości rozterka. — Dobry, dobry — powtórzyła gderliwie. — Ale dlaczego nie chciał ukłęknać przed krzyżem?

1956

MIESIĄC MATKI BOSKIEJ

Było ich czterech i nie mieli w sumie osiemdziesięciu lat. Weszli do bramy domu, przyszli przez podwórze potrącając ludzi klęczących na ziemi i śpiewających litanie do Matki Boskiej Loretańskiej i weszli na schody oficyny; najpierw trzech a potem czwarty który szedł na ostatku i zdążył jeszcze zerwać gałązkę bzu z zakurzonego drzewa a teraz wachlował nią swoją spoconą twarz. Szli powoli zerkając na nazwiska lokatorów a na półpiętrze jeden z nich powiedział do chłopca z gałązką bzu:

— Ty zostaniesz tutaj.

— Tak — powiedział.

— Będziesz uważać. Widzisz stąd całe podwórze. Jakby się coś przypętało to wiesz co masz robić.

— Dobrze — powiedział. W jego głosie słychać było wyraźną ulgę chociaż starał się to ukryć. Stanął przy oknie, oparł nogę na parapecie i patrzył na podwórze, na gipsową figurę Matki Boskiej i na głowy klęczących ludzi. Gałązkę rozgryzał teraz i czuł cierpką, gorzką zieleń; a potem odrzucił ją w dół i otarł spocone ręce o spódnie.

Tamci trzej weszli na piętro, przystanęli przed drzwiami i jeden z nich zapukał. Stali teraz nieruchomo z rewolwerami w rękach i oddychali głośno a potem stara kobieta otworzyła im drzwi. Ręce miała oplecione różańcem.

— Jest kto w domu? — zapytał jeden z nich.

— Nie — powiedziała.

— Niech pani wejdzie z powrotem.

Poszli za nią i zamknęli drzwi. Przeszli przez korytarz otworzywszy drzwi do kuchni i do łazienki i weszli do pokoju.

— Gdzie jest pani córka? — zapytał jeden z nich. Nie mógł mieć więcej jak osiemnaście lat, nie musiał się często golić; twarz jego była miękka i gładka.

— Zeszła na dół do sklepu — powiedziała. — Przyjdzie niedługo. Poszła tylko po chleb.

— Ładnie pani wychowała swoją córkę — powiedział.

— Nikt nie wychowuje swoich dzieci — powiedziała.

— Przekona się pan o tym, kiedy pan je będzie mieć.

— Ostrzegaliśmy ją już raz — powiedział. — A teraz doczekała się. Wiedziała chyba co ją czeka, nie?

— Tak — powiedziała. Patrzyła na chłopaka, na butelkę którą wyjął z kieszeni i postawił na stole; a potem odsunął ją od siebie jakby mu nagle przeszkadzała. Przeszła powoli przez pokój i podeszła do okna a wtedy jeden z nich skoczył i szarpnął ją za ramię.

— Żadnych cudów — powiedział. — Tylko bez cudów.

Pokazała mu ręce oplecione różancem.

— Pańska matka też się chyba modli w maju — powiedziała.

— Niech pani nie mówi o mojej matce — powiedział. — Mój brat zginął w trzydziestym dziewiątym roku a moja siostra nie pierdoli się z gestapowcami. Niech pani nie mówi o mojej matce. I proszę odejść od okna.

— Daj jej się modlić — powiedział jeden z siedzących przy stole; siedzieli przy ciemnym, ciężkim stole nakrytym czystą, białą serwetą i wyglądali na chłopców których rodzice znajomej dziewczyny zaprosili na herbatę i biszkopty. Rewolwer i pistolet leżące na stole nie przydawały im ani grozy, ani powagi. — Daj jej się modlić — powtórzył. — Proszę, niech się pani modli.

— To okno wychodzi na podwórze — powiedział ten który stał przy niej. — Lepiej niech sobie usiądzie przy stole. Cholera ich tam wie.

— Niech pani klęknie przy oknie — powiedział chłopiec siedzący przy stole. — Tak będzie najlepiej. I nikt pani nie będzie przeszkadzać w modlitwie.

Kobieta uklękła i modliła się teraz bezgłośnie porusza-

jąc ustami. Patrzyli na ziarna różańca przesypujące się pomiędzy jej palcami i tak samo brązowe jak jej stare ręce.

— Musimy to zrobić? — zapytał szeptem jeden z nich; był rudy, piegowaty i wyglądał na starszego od tamtych dwóch; był bardzo mizerny i ubrany jak biedak.

— Jak długo jesteś już w konspiracji?

— Półtora roku.

— To za długo, żeby zadawać takie pytania.

— Nie — powiedział. — Nie zrozumiałeś mnie. Można ją po prostu rąbnąć. Można by powiedzieć, że stawiała opór i to było konieczne.

— Szkoda kuli dla tej kurwy.

— To nie wchodzi w zakres walki zbrojnej.

— Ale taki jest rozkaz.

— Mimo to mam wątpliwości — powiedział rudy chłopiec.

— Czy mówisz do mnie jak do dowódcy, czy jak do przyjaciela?

— Dlaczego pytasz o to?

— Czy mam zameldować o twoich wątpliwościach przy wykonywaniu rozkazu?

— Nie — powiedział. — Nie mów o tym.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła dziewczyna. Wtedy ten stojący przy drzwiach wepchnął ją na środek i zatrzasknął drzwi. Siedzący przy stole podnieśli się; obaj byli szczupli, wątl i ich stare, ciasne marynarki czyniły ich jeszcze bardziej młodzieńczymi.

— Proszę położyć torebkę na stole — powiedział jeden z nich. — Tak. Dobrze. — Otworzył torebkę i wyrzucił zawartość na stół. Wziął do ręki jej dokument. — Anna Hauswedell — powiedział. — Czy jest pani Volks-deutchem?

— Nie.

— Ma pani niemieckie nazwisko.

— To przypadek.

— Weźcie jej matkę do drugiego pokoju.

— Nie ma drugiego pokoju.

— Do kuchni. I zostań tam z nią.

— Nie potrzeba — powiedziała stara. — Jest klucz. W kuchni nie ma okna. Możecie mnie zamknąć. — Przeszła przez pokój i przystanęła obok córki na chwilę. — Więc

teraz widzisz, że istnieje jednak sprawiedliwość — powiedziała.

— To nie sprawiedliwość — powiedziała dziewczyna. — To dlatego, że nie jesteście jeszcze mężczyznami. Więc nie możecie tego rozumieć. Nie jesteście jeszcze nawet podobni do mężczyzn. — Oparła się ciężko o stół, a wtedy butelka przewróciła się i rudy chłopiec złapał ją w ostatniej chwili. — Mamo — powiedziała dziewczyna. — Pocałuj mnie.

— Nie — powiedziała stara.

— Przecież widzisz, co oni ze mną robią. Pocałuj mnie.

— Nie — powtórzyła stara. Stojący przy drzwiach wepchnął ją do kuchni i przekręcił klucz.

— Chcę się pomodlić — powiedziała dziewczyna.

— Nie potrzebujesz się modlić. Nie zabijemy cię. Będziesz mogła się później modlić ile tylko chcesz.

— Co chcesz zrobić — zapytała i teraz po raz pierwszy usłyszeli w jej głosie strach.

— Zgolili ci głowę przed czterema miesiącami, prawda? I ostrzegano cię. Powiedzieli ci, żebyś z nim skończyła — powiedział chłopiec bez zarostu. Podszedł do niej i zerwał z jej głowy chustkę; włosy jej były jasne, krótkie; wyglądała teraz bardziej na chłopca i jeszcze młodziej. — Dlaczego nie skończyłaś z nim? — zapytał.

— Nie mogłam z nim skończyć — powiedziała. Znów oparła się o stół. Kocham go.

— Niemca?

— No i co z tego? Czy brałam od niego pieniądze? Czy dał mi kiedy cokolwiek? Czy zaszkodziłam komu? Dlaczego nie zabijacie ludzi którzy handlują z Niemcami? Choćby tych, którzy sprzedają im papierosy, czy wódkę.

— I nie przeszkadzało ci, że ten człowiek jest Niemcem? Nie pomyślałaś o tym, że tacy jak on zabijają codziennie takich jak my?

— Nie brałam nic od tego człowieka — powtórzyła. — I nie powiedziałam nigdy nic złego na nikogo. Nie mogę na to nic poradzić, że zakochałam się akurat w Niemcu.

— Każdy człowiek może wybierać.

— Nie — powiedziała. — Na szczęście jest inaczej.

— Nie róbmy tego — powiedział rudy chłopiec. — Skończmy z nią inaczej.

Podszedł do okna; ludzie klęczący na podwórzu śpiewali teraz: „Wieżo z kości Słoniowej...”. Patrzył na gipsowy posąg Matki Zbawiciela i na aureolę z drutu okalającą Jej głowę; drut był szerniały, deszcze zmyły z niego złotą farbę. Potem spojrział na ścianę, na kalendarz i zerwał z niego kartkę z datą siódmego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Odwrócił się.

— Pospieszcie się — powiedział. — Ta litania zaraz się skończy. Będzie słyhać jej wrzask.

— Co chcecie zrobić — powtórzyła dziewczyna.

— Zastrzel ją po prostu — powiedział rudy chłopiec. — Na litość Boską zabij ją, albo ja to zrobię.

— Ja jestem dowódcą grupy — powiedział chłopiec o gładkiej twarzy a jego policzki poróżniewały nagle. — Ja jestem odpowiedzialny za wykonanie rozkazu. Jeśli będę potrzebował twojej rady — poproszę o nią.

— To pospieszcie się, do cholery — powiedział rudy chłopiec. — Róbcie to teraz, kiedy oni jeszcze śpiewają. — Znów podszedł do okna i zamknął je; słyszeli teraz ich błagalny śpiew wznoszący się ku nim jak fala, jak woda. Widział w oknie swoje odbicie; był brzydki, zagłodzony; krótkie rękawy marynarki nie kryły jego grubych, czerwonych przegubów.

— Rozbieraj się — powiedział do dziewczyny ten, który był dowódcą. — Do naga.

— To dlatego, że nie jesteście jeszcze mężczyznami — powiedziała. — To dlatego, że nic jeszcze nie rozumiecie. — Ściągała z siebie rzeczy i ciskała je na ziemię a oni patrzyli na jej brązowe, twarde ciało i na ciemny trójkąt włosów. — To dlatego, że nic jeszcze nie rozumiecie i że nawet nie wiecie jak to jest, kiedy kocha się mężczyznę i wtedy ważne jest tylko to, że on jest mężczyzną, tylko mężczyzną. I nie mundur który on nosi. Ale wy jesteście tylko dziećmi którym dano się pobawić bronią zanim zginą. I nie możecie wiedzieć o tym, że teraz, w czasie wojny miłość jest więcej warta niż kiedy indziej. Każda miłość.

— Kładź się.

Położyła się na łóżku a wtedy usiedli na niej okraciem; jeden na piersiach a drugi rozkraczył jej nogi i patrzył na jej śniady, twardy brzuch pokrywający się kroplami potu

i unoszony drgającymi mięśniami. Ten który stał nad nią z pistoletem podał mu butelkę ze stołu a wtedy rudy chłopiec wbił ją między nogi dziewczyny; nie mógł tego zrobić od pierwszego razu — jej młody, twardy brzuch stawiał opór a jego ręce były mokre od potu. Ukląkł między jej nogami i wbił butelkę kolanem a potem rozbił ją łufą rewolweru. Wstał; otarł o kołdrę swoje ręce lepkie od krwi i potu.

— Teraz już nie będziesz więcej chcieć niemieckich mężczyzn — powiedział. Popatrzył na jej twarz; była zalana krwią. — To się podobno zdarza z dziewczynami — powiedział. — Krew z nosa. Mój brat mi to mówił.

— Nie martw się o nią. Ta nie była dziewczyną.

Wyszli do korytarza. Otworzyli drzwi od kuchni i cofnęli się gwałtownie. Matka dziewczyny wisiała na rurze gazowej; musiało stać się to przed chwilą, gdyż różaniec, którym oplecione były jej ręce kołysał się jeszcze.

— Trzeba by zawołać lekarza — powiedział ten, który był dowódcą. — A tego nie możemy zrobić.

Wyszli na schody zamknawszy cicho drzwi. Czekający przy oknie klatki schodowej odwrócił się i podał im teczkę. Włożyli do niej broń.

— Ty pójdziesz pierwszy.

— Tak — powiedział.

Zeszli w dół; na podwórku zdjęli czapki i wolno przeszli między klęczącymi. Rudy chłopiec odwrócił się raz jeszcze; spojrzał na gipsową, słodką twarz Matki Zbawiciela i na wiązkę zwiędłych kwiatów leżącą u Jej stóp — białych prawie tak jak i płaszcz Jej chwały z którego schodziła już farba. Ludzie znów śpiewali: „Orędowniczko Nasza, Wieżo z Kości Słoniowej, zmiłuj się nad nami”.

— Ciekawe, czy po wojnie ludzie będą też się tak modlić — powiedział.

— Maj zawsze w Polsce był miesiącem Matki Boskiej.

— Ja wiem — powiedział. — Ale ciekaw jestem czy po wojnie, też będą się tak modlić. Kiedy nie będzie już strachu i nieszczęścia.

— Ci, którzy przeżyją wojnę, zobaczą. Idziemy. Ty wyjdiesz pierwszy, potem ja, potem ty. Cześć!

Raz jeszcze się odwrócił i raz jeszcze spojrzał na słodką, bolesną twarz Matki Boskiej. Było mu gorąco: musiał rozpiąć koszulę i marynarkę. Myślał o dziewczynie; o jej

twardym, ciemnym ciele; o jej krótkich włosach które czyniły ją podobną do chłopca i myślał o tym, że nie wydała ani jednego jęku, i jeszcze o tym, że dojrzał w jej twarzy coś co widział przedtem tylko na gipsowych, połączanych posągach Matki Zbawiciela.

— Nie chcę przeżyć tej wojny — powiedział głośno do siebie. — Bo zawsze kiedy będę się modlić będę myśleć o tamtej. I one zawsze będą dla mnie wyglądać jednakowo.

1962



SZUKAJĄC GWIAZD

To Robert Azderdallow

Chłopiec miał dziewięć lat, był zakochany i wiedział już, że zakochany jest na całe życie. Powiedział to zresztą swojemu ojcu poprosiwszy uprzednio o dochowanie tajemnicy, ale później za namową ojca zgodził się, aby wtajemniczyć w to także i matkę chociaż wątpił, aby matka umiała go zrozumieć. Dziewczynka, którą kochał nazywała się Ewa, była młodsza od niego o jeden miesiąc i dwanaście dni. Mieszkała z rodzicami w sąsiednim domu i przychodziła do chłopca wieczorami.

— Czy nie możesz przyjść wcześniej? — zapytał któregoś dnia.

— Nie — powiedziała.

— Dlaczego?

— Ojciec mi nie pozwala. Mogę wyjść z domu dopiero kiedy jest ciemno.

— Porozmawiam z twoim ojcem — powiedział chłopiec.

— Nie zgodzi się.

— Zobaczymy.

Siedzieli w szopie w której chłopiec hodował niegdyś króliki dopóki ktoś nieznajomy nie wdarł się w nocy i nie zabrał ich. Potem nie chciał już hodować królików; poprosił tylko ojca aby mógł urządzić sobie tę szopę i zachować ją dla siebie i aby nikt nigdy tu nie wchodził i ojciec jego zgodził się na to, poprosiwszy tylko, aby

jesienią chłopiec pozwolił na zwalenie drzewa które mieli razem piłować. Tak zostało. Siedział teraz z dziewczynką na kupie trocin — sypkich, jasnych i pachnących; był wieczór, cicho, i słyszał bicie własnego serca i słyszał jak bije jej serce. Kiedy ma się dziewięć lat, to nie wie się jeszcze czym jest pożądanie, bo wtedy pożądanie zastępuje ciekawość i zdziwienie, którego dostarcza drugie ciało i wtedy właśnie gardło staje się suche, serce bije szybko a włosy jeżą się na głowie niby sierść psa. Ale o tym, iż ta ciekawość silniejsza jest od pożądania chłopiec nie wiedział. Siedział na kupie trocin obok dziewczynki, wodził rękami po jej ciele i wiedział tylko, że jest zakochany na całe życie.

— Przyjdź jutro wcześniej — powiedział.

— Spróbuję.

— Naprawdę nie chcesz, żebym pomówił z twoim ojcem?

— Ojciec jest chory — powiedziała. — Może kiedy indziej.

— Jutro już będę wiedzieć — powiedział.

— Od kogo?

— Od takiego jednego, który chodził ze mną do szkoły — powiedział. — Umówił się ze mną na jutro. Mam mu za to dać klatki. — Chłopiec westchnął. — Nie chciał mi niczego powiedzieć, dopóki nie zobaczy klatek.

— Myślisz, że on wie?

— Wie na pewno — powiedział. — Wiesz kto to jest? Nadera.

— Nadera — powtórzyła dziewczynka.

— Tak — powiedział szeptem. — To jest brat tego właśnie Nadery, wiesz. Jego ojciec jest kolejarzem; kiedy wychodzi z domu, to zamyka tamtego w piwnicy, albo przywiązuje go łańcuchem za nogę. On ma już siedemnaście lat, ten większy Nadera. A to właśnie jego brat. I on mi powie.

— Myślisz, że będziemy to mogli robić?

— Jeśli nam tylko powie, — jak? A powie nam na pewno. Widzisz te klatki? Robiłem je z ojcem; trzeba tylko pociągnąć za sznurek i otwierają się. — Odwrócił się nagle i popatrzył na nią ale nie widział jej twarzy; widział tylko w ciemności błysk piły stojącej w kącie. — Będiesz się bać? — zapytał.

— Nie wiem — powiedziała.

— Jak będziesz mieć dziecko to muszą cię puszczać w dzień — powiedział. — Twój starzy... Nie będą mieli nic do gadania. Będziesz dorosła i będziesz mogła robić co chcesz.

— Muszę już iść — powiedziała.

— Tak — powiedział. — Odprowadzę cię.

Czekał następnego dnia; był zniecierpliwiony, zły, ale kolega nie nadchodził. Był znowu wieczór, ciemno, siedział z Ewą na kupie trocin, które były ciepłe przejąwszy ciepło ich ciał, a wtedy usłyszał gwizd. Wstał i wyszedł na podwórko.

— Dlaczego tak późno? — zapytał.

— Nie mogłem przyjść wcześniej — powiedział tamten. — Ojciec się upił i robił awantury w domu. Teraz śpi. Gdzie masz te klatki?

— Chodź — powiedział chłopiec.

Weszli do szopy.

— To jest właśnie brat Nadery — powiedział chłopiec do Ewy. — Tego, którego ojciec przywiązuje łańcuchem. Przyszedł po klatki.

— Ale ja muszę już iść — powiedziała dziewczynka.

— Nie chcesz poczekać?

Pokręciła głową.

— Przepraszam cię — powiedział chłopiec do kolegi.

— Mamy tajemnicę. To tylko chwila.

— Popatrzę się na te klatki — powiedział tamten.

— Dobrze.

Odszedł z dziewczynką w kąt.

— Dlaczego nie chcesz poczekać? — zapytał. — Przecież on właśnie po to przyszedł, żeby nam powiedzieć.

— Jeśli nie wrócę do domu, to jutro w ogóle mnie nie puszcza — powiedziała szeptem. — Ty nie znasz mojego ojca.

Ucisnął jej dłoń.

— Tak — powiedział. — Idź. Ja tu przez ten czas wszystko załatwię. Ale przyjdź jutro wcześniej.

— To zajmie nam dużo czasu? — zapytała.

— Nie wiem — powiedział. — Nie robiłem przecież tego nigdy. Ale dziecko jest dzieckiem. To chyba nie idzie tak raz dwa.

Dziewczynka wyszła. Młody Nadera patrzył za nią dopóki nie weszła do domu i nie zamknęła drzwi.

— Co to za frajerka? — zapytał.

— Taka jedna — powiedział chłopiec.

— Z Warszawy?

— Tak.

— Czarna — powiedział kolega w zamyśleniu. — I włosy ma czarne, i oczy ma czarne.

Chłopiec wystawił lewą nogę do przodu, podbródek przycisnął do piersi.

— Nie podoba ci się? — zapytał. — Powiedz, że ci się nie podoba.

Tamten uderzył go nagle głową w brzuch, ale chłopiec znał go już, był przygotowany. Ojciec uczył go trochę jak bić; podskoczył teraz do tamtego, uderzył go silnie dwa razy i znów odskoczył w tył pamiętając o tym, aby nogi pracowały równo i aby noga szła za ciosem ręki.

— Powiem bratu — zaszlochał tamten.

— Nie boję się twojego brata — krzyknął chłopiec; wierzył teraz w to co mówi; trzymał tamtego za kłapy marynarki i potrząsał nim. — Nie boję się nikogo, nikogo. — A potem odepchnął go i tamten pobiegł przez podwórko.

Wszedł do domu oglądając w świetle swoje pokrwawione ręce.

— Upadłeś? — zapytał ojciec.

— Nie — powiedział. — Pobiłem się z bratem Nadery.

— O co?

— Proszę?

— Ty już dobrze wiesz. Pytam: o co wam poszło?

— Nie mogę ci powiedzieć — powiedział cicho chłopiec.

— Mnie nie możesz powiedzieć?

Wskazał błagalnie na matkę.

— Nie mogę — powiedział.

— To co innego — powiedział ojciec. — Kładź się spać. — A potem, kiedy chłopiec leżał w łóżku przysiadł i pochylił się nad nim. — Czy powiedziałeś mu gdzie mieszka Ewa? — zapytał.

— On wie — powiedział chłopiec.

— A czy ty wiesz?

— Co, tato?

— Czy ty wiesz kim jest Ewa?

— Ewa? — powtórzył chłopiec. — Co chciałeś powiedzieć, tato?

— To nic — powiedział ojciec. — To dobrze. Ale ten Nadera. On chyba pracuje dla Niemców. Przynajmniej ludzie tak mówią. — Wstał nagle, podszedł do szafy; wyciągnął stamtąd plecak, kozuch i czapkę narciarską. — Wam nic nie zrobią — powiedział. — Ale ja wolę się ulotnić na parę dni. — I powiedział do matki: — Idź tam do nich i powiedz im, że będzie lepiej jeśli znikną stąd na parę dni. Ja się boję tych Naderów. Może się mylę, ale wolę odczekać.

Matka wyszła.

— Czy wiesz, tato — powiedział chłopiec zasypiając — że tego Naderę ojciec przywiązuje łańcuchem jak wychodzi? A kiedyś nawet zamknął go w piwnicy i ten Nadera siedział tam trzy dni? — A potem zapomniał już Naderę; pomyślał tylko z żalem, że nie dowiedział się tego czego chciał się dowiedzieć; i że Ewa będzie musiała poczekać jeszcze jakiś czas i wychodzić z domu dopiero o zmroku. Nie słyszał już kiedy wróciła jego matka.

— No i co? — zapytał ojciec.

— Nie chcą odejść — powiedziała. — Mówią, że nie mają dokąd iść. I że tak musi się stać wcześniej czy później. — Patrzyła na jego grube, ciemne dłonie szarpiące się ze sznurowaniem plecaka. — I ty chcesz teraz odejść? — powiedziała.

— I tak nie potrafiłbym was obronić — powiedział. — Nic wam nie zrobią. Wierzę w to. Ale rozwalą tamtych.

— Czy nic nie można zrobić?

— Teraz za wcześnie o tym mówić — powiedział. — Będziemy o tym myśleć kiedy skończy się wojna. Może Bóg zachowa Niemców a zachowa ich na pewno. Ja myślę że ze wszystkich narodów oni właśnie są najbardziej potrzebni Bogu i dlatego ich zachowa. Żeby wszyscy ludzie wiedzieli i czuli jak wygląda zło. Tylko po to, aby można było wybierać dobroć.

— Nie powinienes tak mówić — powiedziała. — Jeśli jeszcze raz będziesz mógł nauczać, to chyba nie tego.

— Byłem złym nauczycielem — powiedział. — Ale nauczyłem się chyba czegoś. Kiedy skończy się wojna będę

o tym mówić. A teraz pójdę aby ich zabijać i będę się modlić do Boga, aby ich zachował. Dam wam znać. — Zarzucił plecak na ramię, podszedł do łóżka i pocałował chłopca. Potem podszedł do pieca, ostrożnie wysunął jeden z kafli i wyjął owinięty w tłustą szmatę pistolet. — Weź jutro trochę gipsu i zaszmaruj ten kafel — powiedział.

— Idź z Bogiem.

— Z Bogiem — powiedział. — I powiedz mu, żeby dobrze patrzył jak będą ich zabijać. Niech patrzy i niech się uczy. I niech ich pamięta przez całe swoje życie.

Ojciec wyszedł zamknąwszy cicho drzwi za sobą. Ale chłopiec spał twardo i nie słyszał wychodzącego ojca. Nie słyszał nawet ich, kiedy podjechali pod dom o godzinie czwartej rano; nie słyszał nawet ich głosów i walenia do drzwi, i szczekania psa; spał dalej nie wiedząc nic o ich obecności i o hałasie, który wniesli z sobą o godzinie czwartej rano. Obudził się dopiero wtedy, kiedy potrząsnęła nim matka i usiadł na łóżku: czujny i wypoczęty, jak młode zwierzę.

— Ubieraj się — powiedziała matka.

— Przecież jest niedziela — powiedział chłopiec.

— Tak — powiedziała matka. — Potem znowu położysz się spać, ale teraz wstawaj.

Włożył ubranie i wyszedł przed dom. Chciał podbiec do samochodu ale matka złapała go za rękę. Stała na ganku drewnianego, starego domu i oddychała głośno, a on czuł ciepło jej dłoni.

— Co to będzie? — zapytał. — Czy coś się stało, mamo? — Nie odpowiedziała mu, więc jeszcze raz powtórzył: — Czy coś się stało?

Patrzył na maskę samochodu lśniąca od rosy, na psa leżącego z wywieszonym ozorem i na lufy karabinów — potem zagwizdał cicho i pies uniósł czujnie spiczaste uszy. Policjant, który stał z boku wystąpił teraz naprzód i powiedział:

— Idźcie za nami.

— Dokąd nas prowadzicie? — zapytała matka chłopca.

— To tylko kawałek — powiedział policjant. — Popatrzycie sobie i wróćcie do domu.

— Pójdę sama — powiedziała matka. — Nie trzeba,

żeby dziecko patrzyło na takie rzeczy. Pan to chyba zrozumie.

Policjant wahał się przez chwilę.

— Taki jest rozkaz — powiedział niechętnie. — Powiedziane było, że wszyscy mają patrzeć. Dla przykładu.

Poszli za policjantem i Niemcami. Matka wciąż trzymała jego rękę i chłopiec wstydził się; próbował uwolnić się raz i drugi ale matka trzymała mocno. Żałował, że nie ma ojca: ojciec nigdy nie robiłby czegoś takiego. Najwyżej położyłby mu rękę na ramieniu i wtedy wyglądaliby po prostu jak dwaj koledzy wracający po pracy do domu.

Stali potem i patrzyli jak ojciec Ewy i chłop u którego mieszkał kopali dół pracując szybko i w milczeniu. Widział Ewę, którą jej matka trzymała za rękę tak samo jak i jego matka i wtedy szarpnął się ku niej, ale matka była silniejsza. Stał więc i patrzył. Widział jak któryś z Niemców podszedł do płaczącej Ewy i pogłaskał ją po głowie.

— Nie płacz mała — powiedział. — Wiesz kim jesteśmy?

— No? — powiedziała Ewa.

— My jesteśmy poszukiwaczami gwiazd — powiedział.

— Szukamy żółtych gwiazd.

— Przynieście jej lalkę — powiedział do policjanta.

— Lalkę? — zdziwił się policjant.

— Tak — powiedział Niemiec. — Coś do zabawy.

Policjant wszedł do domu i wyszedł stamtąd po chwili trzymając pluszowego niedźwiedzia.

— Ile ona ma lat? — zapytał Niemiec matkę Ewy.

— Osiem.

Niemiec podał jej niedźwiedzia i Ewa stała teraz z niedźwiedziem w ręku.

— No — powiedział. — Nie bój się. Znasz bajkę o wilku i siedmiu kozłatkach? Nie? Pewnego razu Mama-koza powiedziała do swoich dzieci: „Nie otwierajcie teraz nikomu kiedy mnie nie będzie” i poszła. Wtedy pod dom przyszedł wilk i zapukał łapą do drzwi. „Kto tam” — zapytały kozłeta. A on na to: „To ja, wasza babcia”. „A dlaczego masz taki gruby głos, babciu?” — zapytały kozłeta...

Policjant podszedł do niego i powiedział:

— Gotowe. Czy mają się rozebrać?

— Nie — powiedział Niemiec.
Policjant wyciągnął rękę do Ewy.
— Daj tego niedźwiedzia, mała — powiedział.
— Dlaczego jej to odbieracie? — zapytał Niemiec.
— Chciałem dla dziecka — powiedział policjant.
— Przecież widzicie, że to też jest dziecko — powiedział Niemiec. — Dziwny z pana ale człowiek. Niech pan się wstydzi.

Wracali potem do domu i chłopiec płacząc cieszył się, że to jednak matka była razem z nim a nie ojciec. Bo przy ojcu wstydziłby się płakać, a musiał płakać i nic nie umiał na to poradzić. W ciągu następnych dni partyzanci zabili Naderę i jego najstarszego syna; jakiś młody człowiek w biały dzień zastrzelił Niemca na peronie stacji, a jakaś rodzina żydowska popełniła samobójstwo kładąc się nocą na szynach kolejowych — chłopiec wiedział to wszystko, słyszał o tym wszystkim i pomału zapominał. Płakał jednak od czasu do czasu; wtedy właśnie, kiedy przypominał sobie, że nigdy już nie będzie mógł mieć żony i dzieci, bo przysiągł już wierność; i że zakochany jest przecież na całe życie.

1962

POWIEDZ IM KIM BYŁEM

Oblani zimnym blaskiem dogasającego słońca, sunęli powoli i uroczyście; ciemno obleczone postacie w czarnych kapeluszach, które ponakładali po raz pierwszy w życiu, lub może po raz drugi albo trzeci i które nie zachowały śladów ich rąk i kształtów ich głów: i w płaszczach nieco rozpiętych, na których osiadały czerwone liście jesieni; w ostatnich poblaskach zimnego słońca; w zwarzone jesienne popołudnie; wpatrzeni w ziemię w pościnane obcasy kroczących przodem, prowadzeni posępnym dudnieniem miedzianej trąby — kroczyli za trumną uroczyście i wolno, unosząc na swych twarzach wyraz fałszywej zadumy i fałszywego przygnębienia, chociaż byli naprawdę zadumani i naprawdę przygnębieni: nieco już zadyszani i zmęczeni tym zbyt wolnym marszem poprzez olbrzymi cmentarz, między tysiącem grobów tak samo wyglądających; poprzez alejki zatłoczone nagrobkami kochających mężów i najdroższych matek, i dzieciątek, które Bóg przedwcześnie powołał do siebie; i gdzieś tam właśnie, gdzie zaczynała się aleja zasłużonych — oni wszyscy, obsypani chłodnymi, sucho szeleszczącymi już liśćmi, zatracili wszelkie różnice między sobą; ciemno ubrani ludzie z twarzami na pół zmęczonymi, na wpół rozdrażnionymi, kroczący w ogłuszającym dudnieniu miedzianej trąby; nie mogli, nie potrafili ukryć swego zmęczenia i rozdrażnienia, iż poświęcili tyle czasu rzeczy już nie istniejącej; i tylko ten jeden człowiek kroczący tuż za trumną: piękny, wysoki, stary człowiek z twarzą pozna-

ną doznanymi zawodami i cierpieniami; on jeden nie poddał się nastrojowi zmęczenia i rezygnacji; trzymając ciemny kapelusz w opuszczonej ręce, niósł swoją wspaniałą, żywą twarz niby wyzwanie, zaprzeczenie, rzucone ich zmęczeniu i słabości ich uczuć; i jeden z ludzi kroczących w tyle spytał szeptem swego sąsiada:

— Pan go zna? — Kroczył chwilę w milczeniu wpatrzony w złotoczerwone liście które obsypały mu ramiona; nie strącił ich jednak; szedł sztywno z głową nieco przechyloną lecz nie w kierunku sąsiada, ciągle nie zdecydowanie wpatrzony w złote plamy; potem spytał: — To on, prawda?

— Tak — odpowiedział zapytany — oczywiście. Trudno go nie poznać. Takie twarze musi się przecież pamiętać. — Spojrzał niechętnie na pytającego. — Oczywiście, że to on — powiedział.

— Tak, tak, — rzekł szybko pytający. — Ale pan rozumie; ja nie jestem stąd, rzadko tu bywam.

— Tego człowieka podziwiały trzy pokolenia — powiedział surowo sąsiad. — Trzy pokolenia, mój panie.

— A tamtego?

— Tamtego — powtórzył zapytany. Odwrócił się lekko ku sąsiadowi; dostrzegł również liście na jego ramieniu i wykonał ruch, jakby chciał je strącić lecz w ostatniej chwili powstrzymał się i ręka jego powoli opadła. Tym razem odparł prawie ze złością. — Tamtego dopiero. Takiego już nie będzie. Już nigdy nie będzie.

— Tak — powtórzył przybysz z prowincji. — Takiego już nigdy nie będzie. — Szedł przez chwilę zadumany, zasłuchany w dźwięk miedzianych tręb rozpływający się powoli w zimnym, czystym powietrzu jednego z pierwszych dni wczesnej jesieni; spoglądał po drzewach — już prawie bezlistnych lecz jeszcze nie czarnych, pełnych soków, gdzieś tam osnutych pajęczynami babiego lata którymi przepłynął już gorący wrzesień i pierwsze dni suchego października. — A teraz on będzie o nim mówić, prawda? — spytał sąsiada.

— Któż może o nim więcej powiedzieć — rzekł tamten. W dalszym ciągu nie odwracał głowy; szedł prosto, wpatrzony w czarny lakier karawanu zza którego lewej strony wyłaniał się ciężki, lśniący zad konia i łeb jego przystrojony czarnym pióropuszem. — Razem chodzili do szko-

ły dramatycznej — powiedział zbaczając nieco na lewo, aby nie stracić sprzed oczu czarnego pióropusza. — A potem razem założyli szkołę dramatyczną i uczyli innych. Przez wszystkie następne lata grali razem. I jak grali... O wielkich tylko wielcy powinni mówić. A któż może o nim lepiej powiedzieć jak on. Byli niby bracia. Już ich pierwszy występ...

Z tyłu ktoś powiedział zadyszany basem:

— Uszanujcie panowie majestat śmierci. W obliczu Boga...

Obrócili się obaj nieznacznie, niby na komendę; za nimi kroczyło paru studentów szkoły dramatycznej — chude, skupione twarze, oczy wpatrujące się w nich z wyrzutem, cienkie szyje uciskane przez twarde kołnierzyki pocerowanych koszul; i wtedy obaj uśmiechnęli się nieznacznie.

— Widzi pan — powiedział sąsiad przybyłego z prowincji. — To są właśnie jego uczniowie. To oni ich wychowywali. — Zaśmiał się cicho. — A poza tym oni mają po dwadzieścia lat. I im się rzeczywiście wydaje, że stało się coś strasznego i ohydneho.

I znowu ten sam bas z tyłu upomniął ich; zamilkli więc obaj; posuwali się naprzód wraz z tłumem ciemno ubranych postaci; wśród leniwie przesuwających się po obu stronach cmentarza granitowych nagrobków; szeroko rozpościerających skrzydła aniołów o twarzach chórzystek operowych, żelaznych krzyży i grobów żołnierskich, na których spoczywały hełmy przeżarte rdzą i obmyte z farby deszczami; doszli do otwartej mogiły i wtedy, kiedy już czterech ludzi uniosło trumnę, która przepłynęła na ich ramionach ponad głowami tłumu i spoczęła na świeżej, czerwieniącej się w ostatnich promieniach słońca ziemi — stary, piękny człowiek wystąpił naprzód. Chwilę stał w milczeniu spoglądając przed siebie swymi ciemnymi, posępnymi oczyma; wiatr rozwiewał jego siwe, gęste włosy, lecz on nie wykonał najmniejszego ruchu, aby je poprawić; nieruchomy, zadumany stał przed nimi wszystkimi wsłuchując się jakby we własne wspomnienia, w coś co żyje, boli i trwa jeszcze w poblasku chwały, nim skamienieje w legendę.

— Przyjaciele moi — powiedział. — Przyjaciele moi, powinienem modlić się do Boga, aby dał mi siłę, żebym mógł mówić o kimś takim jak on. Raz jeszcze odrobinę

siły w moim starym życiu słabego człowieka, tak jak Samson modlił się aby móc zawalić mury i zgiąć wraz z wrogami. Lecz skąd ja mam wziąć tyle siły, aby mówić o nim, który był mi bratem, i nauczycielem, i mistrzem... — Umiłkł nagle; widzieli, iż powstrzymuje płacz, więc oni także — ci wszyscy niezgrabni, ciemno ubrani ludzie, trochę już zniechęceni rytuałem powstrzymali swoje oddechy i stali bez ruchu wpatrzni w niego, wyższego o głowę od nich wszystkich, olbrzymiego siwego starca z twarzą naznaczoną, zeszepeconą nieomal cierpieniem, miłością i doznanymi zawodami, stojącego nieruchomo na tle cmentarnej kaplicy majaczącej w dali, w pustce alei rozświetlonej wątlm, jesiennym światłem: błękitnym, trochę nierealnym, niby przedwcześnie wyjęte przez zniecierpliwionego amatora zdjęcie z rozтворu wywoływacza. — Tak — powiedział po chwili. — Być może, że najwspanialszy był w klasycznym repertuarze. W kostiumie, jako człowiek uzbrojony, jako człowiek walczący, który płacił śmiercią za zniewagę w świecie, którego już nie ma; który już nawet nie jest umownością a tylko legendą szanowaną może dlatego, iż tak bardzo nie pasuje do tego świata, w którym króluje mierzota i bezmiennność; do tych milionów jednakowych domów o zimnych wnętrzach, tandetnych reprodukcjach i standartowych meblach, które nie przynoszą ulgi ciału ludzkiemu i nie zatrzymują jego ciepła i kształtu. On nie należał do tego świata; potrafił jednym gestem przywołać te wszystkie cienie chwały, bez których życie nie jest możliwe, nie jest konieczne i moralne; i bez wspomnienia których nawet śmierć nie jest tragiczna. W latach naszej młodości, której na szczęście przyjaciele moi pamiętać nie możecie, graliśmy kiedyś Cyda. Jeden wieczór on, jeden ja! tak u nas wtedy w teatrze było przyjęte. Pamiętam, miałem czarny kostium, zupełnie prosty, bez tych wszystkich mankietów i koronek, które musi nosić marny aktor — nic, tylko czarne ubranie, czarny kapelusz i szpada. Ach, jak wyglądałem wówczas. Przyjaciele moi. Nawet on powiedział do mnie: „Jesteś posągowej urody człowiekiem, Piotrze. Już tacy jak ty nie będą się rodzić. Należysz do rasy przemijającej, do zwierząt których nie ma, w których istnienie pokolenia będą grzecznie wątpić? Ach! — powiedział przytknąwszy nagle rękę do czoła. — Jak ja wtedy wyglądałem!... I pamiętam na przykład dziewczynę, która

po drugim akcie przyniosła mi kwiaty do garderoby — była tak sprytna, że udało jej się zmylić bileterów i strażaków — i zobaczyłem ją nagle w lustrze: dziewczynę, dziecko prawie z bukietem kwiatów stojącą w drzwiach i wpatrzoną we mnie; widziałem zachwyt w jej oczach, powiedziałem coś do niej, przemówiłem, ale nie była w stanie mi odpowiedzieć, w tym momencie inspicjent wpadł do garderoby krzycząc: „Mistrzu, na scenę. Publiczność nie umie na pana czekać”. Więc wyszedłem a kiedy wróciłem — nie było już jej; zostawiła kwiaty i odeszła, przyjaciele moi, jedna z tysięcy tych, które żyją z nami i kochają nas wiernie i prawdziwie przez całe życie nie umiejąc tego powiedzieć i wyrazić.

Umilkł; znów stał nieruchomy posępny z wyrazem skupienia i zaśłuchania, lecz jego wielkie, chmurne oczy nie były już puste jak przed chwilą, w której przemówił; wypełniało je teraz żywe światło wspomnień; przywołał je z krainy do której on tylko znał drogę, ów bród w niewiadomym miejscu czarnej rzeki, brzegiem której szedł już od wielu lat, zaśłuchany w jej martwą ciszę, zapatrzony w odbicie swojej twarzy, udręczonej i uroczystej, będącej zaprzeczeniem świata sztucznej radości i sztucznej *prosperity* i oszałamiających sukcesów, świecących fałszywym blaskiem w krótkich chwilach pomiędzy ciemnością a ciemnością; i nie widział nawet; nie mógł dostrzec tych kilku ciemno ubranych postaci, które schyliły się szybko nad grobem i odeszły rzuciwszy wstydlivym ruchem garść ziemi osuwającej się ciągle z łagodnym, nieprzerwanym szmerem i którą szeroko rozkraczeni grabarze powstrzymywali łopatami. Było to zresztą tylko trzech czy czterech ludzi; podczas gdy inni stali wciąż z kapeluszami w sztywno opuszczonych rękach i patrzyli na niego, niby na groźnego i nieznanego Boga, który nie objawił jeszcze głosu swego.

— Przyjaciele moi — powiedział starzec. — Czy pamiętacie ową scenę w „Wojnie i Pokoju” kiedy umiera Andrzej książę Bołkoński i w chwilę potem Natasza pyta: I gdzie on teraz jest? Bo zawsze, przyjaciele moi, pierwszym wrażeniem towarzyszącym czyjejś śmierci jest zdumienie a dopiero potem rozpacz, i żal, i nienawiść do własnej niemocy. Ale on pozostał z nami, przyjaciele moi. Na każdej scenie, w ruchu każdego aktora, w każdym zachwycie on jest z nami i pozostanie z nami dopóki żyć będzie

sztuka — jedyna rzecz, która daje człowiekowi radość i broni go przed przekleństwem samotności. Nie wolno wątpić w sztukę — powiedział uniósłszy dłoń uroczystym gestem — bo potem już nic nie zostaje, bo tylko sztuka jest jedynym ludzkim i czystym dźwiękiem w tym piekle hałasu i wściekłości... — Umilkł na chwilę. — Mój Boże — powiedział — nie mogę sobie przypomnieć w którym roku grałem „Żywego trupa”. I gdzie to było? Wybaczcie pamięci starego człowieka... W tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym? Czy w trzydziestym? Kiedy jeszcze teatr był teatrem, chociaż tony celuloideu zaśmiecały już wszystkie miasta Europy. Pamiętam: grałem prawie bez charakterystyki — zawsze byłem wrogiem przesadnej charakterystyki, zawsze wołałem zawierzyć swojej twarzy. Zrobiłem sobie — byłem wtedy jeszcze czarny jak kruk — tylko jedno pasmo siwych włosów, takie kabotyńskie pasmo człowieka przedwcześnie zużytego, bezsilnego; tylko to pasmo i owa tandetna, przerażająca elegancja — to była cała moja charakterystyka. I to właśnie stworzyło efekt. Żadnej szminki, żadnych głupich zmarszczek — nic, nic. Pamiętam, pojechaliśmy kiedyś na prowincję. Po spektaklu poszedłem trochę na spacer, spotkałem dziewczynę, parę wódek, poszliśmy do hotelu. Pyta mnie — ciekawska jak każda. — A co ty robisz? — A w teatrze jestem — mówię. — W teatrze — mówi ona. — A co robisz? — Gram. — Na czym grasz — pyta, taka ciekawa. — Na scenie, mówię, gąska, nie poznała mnie. — Aktorem jestem. — To znaczy — artysta? — A jakże — powiadam — artysta. — Nagle ona zrywa się z łóżka — a tu noc, wszyscy śpią ma się rozumieć, prowincja — podlatuje голуśka do okna i wrzeszczy: „Ludzie, ludzie, artysta mnie ten, tego, hm... hm... Skandalu trochę było jak to zwykle na prowincji, ale zatuszowało się jakoś...”

Umilkł znowu; zegar dalekiej kaplicy wybił piątą godzinę; studenci szkoły dramatycznej odwrócili się nagle; szybko przeszli koło grobu pochylając się kolejno i zgarbiając ziemie garściami. Dwie kobiety odeszły szybko uczyniwszy znak krzyża i nie rzuciwszy nawet garści ziemi; zimno, nienawistnie popatrzyły na ogromnego człowieka stojącego samotnie z twarzą zwróconą ku zachodzącemu już słońcu — przeszły i zniknęły w opustoszałej nagle alei a ich delikatne, niebieskawe cienie szeleściły w powietrzu su-

chym, srebrnym i chłodnym wśród martwego szeptu spadających liści.

Przybysz z prowincji odwrócił nagle głowę; zobaczył inny karawan nadciągający z bocznej alejki: tłusto połyskująca sierść koni, farbowane pióra na czarnych pirogach, wdowę w welonie prowadzoną pod rękę przez dwóch mężczyzn o twarzach krwistych, wielkich, zdrowych; byli zbyt wysocy lecz najwidoczniej nie zdawali sobie z tego sprawy — kobieta między nimi stąpała na czubkach palców, z trudnością poddając się grzmiącemu rytmowi trąb które zagłuszyły na moment mówcę; czekał więc cierpliwie dopóki tamci nie przeszli; i dopóki nie przygasł dźwięk trąb i szelst liści rozniesiony ich nogami.

— Wybaczcie mi — powiedział — że nie opowiedziałem wam o nim, tak, jak bym tego pragnął. Szedłem z nim przez czterdzieści lat jego cierniową drogą, którą przeszedł jak burza wychodząc z jedynej moralnej zasady, iż życie nie jest koniecznością, lecz jeśli już człowiek zdecydował się żyć, powinien żyć wspaniale. To tak, jak ktoś tam powiada u Balzaka: czy rzeczywiście człowiek który nie chce obrazić swojej godności i ugiąć się przed głupotą świata, musi iść przez życie jak burza, siejąc zło i rozdając ciosy na oślep? Nikt tak nie czuł Francuzów jak on: tej finezji, tej mądrości, dyskrecji; tej nienawiści do oczywistości, która jest zgubą każdego artysty... — Przerwał; po chwili powiedział: — Tak, niestety francuskiego nie opanował nigdy, ciężko mu szło z językami, nie łapał biedak, ciągle marzył o tym, żeby czytać Szekspira w oryginale... Mówił do mnie: „Pojęcia nie masz jak ci zazdroszczę...”. Bo ja nie wiem: po trzech miesiącach mówię każdym językiem. Mam wrodzone zdolności... jakże to... mnemotechniczne, zdaje się. Jak Julian Sorel. Zawsze się sam sobie dziwiłem: raz, dwa i już mówię, niby papuga. Popatrzę się na coś i już pamiętam całe życie. Kiedyś, przed dwudziestu laty spotkałem jednego człowieka w Paryżu, przypadkowo, na ulicy upadła mu gazeta i schyliłem się mimowolnie; wymieniliśmy grzeczności i rozeszliśmy się. Po paru latach widzę go znowu, w Hamburgu: awanturował się z taksówkarzem, Niemiec nie znał ani w ząb francuskiego, a ten znowu ani słowa po niemiecku. Podeszedłem do niego i mówię: „Proszę śmiało powiedzieć po francusku, przetłumaczę mu”. Spojrzał na mnie nieomal z przerażeniem: „Ależ Monsieur, my się nie

znamy”. „Znamy się, powiadam, pan przecież jest paryżaninem, pan czyta „Figaro” które ja również czytam”. Potem poszliśmy na piwo i nie mógł uwierzyć, że widziałem go tylko raz w życiu, przez ułamek sekundy. Albo taki fakt: jeszcze jako uczeń szkoły średniej...

Tylko przybysz z prowincji stał jeszcze przed nim obracając w swoich pulchnych rękach czarny, nowy kapelusz, którego nie miał ani razu na sobie i który kupił specjalnie na tę okazję. Grabarze zsypywali już ziemię z wściekłym pośpiechem; więc przysunął się nieco bliżej, tuż koło grobu zatrzymując oddech i dziwiąc się własnej śmiałości, której nigdy w sobie nie podejrzewał i o którą nie podejrzewali go inni, i podał mu ramię, które tamten przyjął bez słowa, bez gestu niby rzecz przewidzianą już od początku na którą oczekiwał i która stała się we właściwym momencie: i teraz, kroczyli razem znów tą samą alejką strzeżoną przez anioły, którym skrzydła wyrastały raz wprost z obojczyków, raz z samego dołu tłustych pleców; raz grube i pełne brutalnej siły, raz strzeliste i gotyckie; i tylko twarze ich — słodkie, bolesne, zadumane były zawsze takie same, niby świadectwo jakiejś do obłędu pojętej solidarności panującej pomiędzy nieznanymi artystami, którzy wykuli je w kamieniu, a nieco dalej — w alejkach ubogich i nic nie znaczących — odlane były w gipsie, który z czasem ściemniał, poczerniał, a teraz w ostatniej godzinie zachodzącego słońca rumienił się fałszywie pod plamami z deszczu i kurzu; i człowiek z prowincji włożył nagle kapelusz jakby doszedłszy do wniosku, iż samotny spacer bocznymi alejkami nie obowiązuje już do niczego. Zapytał cicho:

— Więc pan go naprawdę znał?

— Czy ja go znałem? — powtórzył starzec. Spojrzał na niego ze zdumieniem. — O słodki Jezu: pan mnie pyta czy ja go znałem? Powinien się pan raczej zapytać: czy jest ktoś na świecie, kto znał go tak dobrze jak pan a wtedy odpowiedział bym panu: nie.

— Ooch — rzekł człowiek z prowincji i ręką niezdecydowanie sięgnął do kapelusza. — Proszę wybaczyć, pan mnie na pewno zrozumie... — I szepnął wstydliwie: — Ja nie jestem stąd.

Starzec uwolnił nagle rękę.

— No, więc — powiedział. — Oto czym jest pamięć

ludzka: niby szklany dzwon, w który można tylko raz uderzyć i który rozlatuje się na kawałki. To przecież on powiedział do mnie, tylko do mnie, kiedy było już wiadomo, że umiera i kiedy on także już o tym wiedział; rzekł do mnie: Powiedz im, kim byłem, bo tylko ty jeden wiesz to naprawdę... I kiedy mówiłem im o nim, nie mieli nawet cierpliwości wysłuchać do końca. Bo dla nich on już nie istnieje. Jutro będzie wspomnieniem a pojutrze legendą pełną fałszu i głupoty. A przecież nikt go nie znał, tak jak ja. — Umilkł, a po chwili powtórzył. — Nikt go tak nie znał, jak ja.

Chwilę szli w milczeniu, w zimnej ciszy pełnej szelestu; człowiek z prowincji postępował za nim pół kroku, potem krok, a potem stanął i znów z kapeluszem w ręku patrzył za nim jak odchodzi — olbrzymi, zmęczony, stary, aby spędzić ostatnie lata swojego życia w rozpacz, samotności i tęsknocie, dopóki cień jego, obok cienia tamtego, nie spocznie na gwiazdach.

1961

Biblioteka Polska
Koło Zurych SPK

W DZIEŃ ŚMIERCI JEGO

Ignacemu Taubowi

Mieszkaliśmy w baraku, może o pięćset, sześćset metrów od morza, ale dostać się do nas było ciężko; trzeba było iść poprzez piach sięgający w niektórych miejscach do kolan, a potem poprzez pole porośnięte jakimiś chwastami; wysokimi, kłującymi, wiecznie suchymi, tak, że nawet na myśl nikomu nie przychodziło, że mogłyby one zakwitać i przekwitać, jak wszystkie inne rośliny w tym kraju: dzikie, kolorowe, zakwitające czasem niespodziewanie w ciągu nocy i w ciągu nocy zamierające; nikt nie znał nazwy tych badyli; nikomu nie było wiadome do kogo należało to pole, a w dodatku Lena, żona Griszy, twierdziła z uporem, że są tam węże, chociaż ja nigdy żadnego węża nie widziałem i w ogóle ciężko mi było uwierzyć, że jakakolwiek kanalia ma ochotę tam żyć — wśród piasku i tych martwych badyli. Ale rozmawialiśmy zawsze o tych węzach i o tym, że może one tam rzeczywiście są; więc i teraz, kiedy rozpalony autobus stanął na przystanku tak gwałtownie, że wszyscy śpiący pasażerowie polecili do przodu i my: Grisza, ja i jeszcze jeden staruszek, który mieszkał obok nas, wysiedliśmy a potem szliśmy poprzez pole, gadaliśmy o węzach. Była godzina piąta po południu, ale upał nie słabł; od znieruchomiłego morza nie szło ani trochę wiatru, ani trochę chłodu. W tej ogromnej masie wody nie było ani odrobiny rzeźkości — dla nas, idących górą i piachem, niby skrajem końca świata.

— W taki upał można się najłatwiej przeziębic — powiedział staruszek drepzcząc koło nas. — Właśnie w taki upał. Człowiek wejdzie w cień, zawieje go i koniec. Trzeba bardzo uważać. I zawsze kłaść podkoszulek, panowie

— Panu nie potrzebny podkoszulek — powiedział ponuro Grisza. — Panu chyba tak, czy owak wszystko jedno.

Ale była to nieprawda: ten staruszek trzymał się życia silniej niż my. Miał on pewną idiotyczną ideę; jego siostrzeniec, a może zresztą siostrzeniec jego żony, wyemigrował przed laty do Ameryki i był sławnym reżyserem. To prawda: ten gość zrobił całą kupę dobrych filmów i miał dosyć pieniędzy, żeby wytapetować te wszystkie baraki, do których mieliśmy jeszcze ze trzysta metrów. I ten stary czekał; ściany swojego pokoju wyklejał zdjęciami siostrzeńca: Billy przy samochodzie, Billy w czasie kręcenia zdjęć, Billy z żoną, synem i dwoma smolistymi pudłami; Billy w Wenecji i Billy w Kalifornii. Wiecznie pisał do niego długie listy w których skarżył się na nas, na sąsiadów, na policję i na głupotę władz i taktownie dawał mu do zrozumienia, iż nie odrzuciłby jego pomocy. Ale Billy rzadko odpisywał i nie przysyłał forsy; więc stary dalej wycinał z gazet fotografie krępego, łysiejącego mężczyzny o zimnym uśmiechu i wyklejał nimi ściany.

— No jak — powiedział Grisza i trącił mnie w bok. — Ma pan już odpowiedź?

— Ach — rzekł staruszek; był już zadyszany lecz starał się iść z nami krok w krok, choć Grisza specjalnie szedł tak szybko, że i mnie było ciężko. — Ta poczta. I to teraz, kiedy samoloty tak szybko latają. Czytałem w gazecie, że w jakimś francuskim mieście list szedł z ulicy na ulicę czternaście lat. Wszystkim się przewracało w głowie. Kiedyś to nie było możliwe.

— Tak — powiedział Grisza. — Ale wie pan: te niewysłane listy to tak cholernie długo idą.

— Pan myśli... — zaczął stary.

— Nic nie myślę — przerwał mu Grisza. — Pisz pan dalej. I niech pan załączy od nas wyrazy szacunku i poważania.

Jakiś pies zerwał się nagle z kupy śmieci i jazgocząc podskoczył do mnie: kopnąłem go w bok aż szcęknięło

coś w jego chudych żebrach, ale nie odczepił się. Leciał za mną i podskakiwał aż do moich kolan jazgocząc i warcząc, a jego ślina pozostawała na badyłach niby babie lato; w końcu Grisza trzepnął go przez łeb kamieniem.

— Czyj to ten cholerny pies — powiedział. — Jeszcze mi się rzuci na dziecko.

— Nie bój się — powiedziałem. — To mnie psy nienawidzą. Tak zawsze było. Nigdy nic żadnemu nie zrobiłem a całe życie rzucają się na mnie. Podobno są tacy faceci. Kiedyś jeden buldog gonił mnie przez dwa kilometry.

— Tak cię nienawidzą? — powiedział Grisza.

— I jeszcze jak — rzekłem zawstydzony: bo tak było naprawdę. — Mógłbym ci opowiadać przez pół dnia ile wycierpiałem od tych bydląt.

A wtedy zerwał się drugi ze środka drogi; porzucił swoją kość i leciał wprost na mnie z dzikimi oczyma i włosami zjezonymi na karku. Wył, jakby się zbliżał koniec świata i jemu jednemu tylko przypadła misja obwieszczenia tego smutnego faktu; zebrałem się tego w sobie i kopnąłem go, że odleciał na środek pola niby kula; od tego kopnięcia aż mnie zabolalo. A potem wyły obydwaj.

— No — powiedział Grisza. — A podobno psy czują dobrego człowieka. — Popatrzył na mnie z ciekawością; dostrzegłem to w jego skośnych oczach. — I zawsze tak było? — zapytał.

— Zawsze — powiedziałem. — Jeszcze nie było takiego, który by mnie lubił.

Potem usiedliśmy do kolacji: Grisza, jego żona — Lena, ja i dwuletnia ich córeczka nosząca imię matki, a którą zwaliśmy Małą Lenką. Tego dnia właśnie Lena otworzyła ostatnią puszkę mięsa i patrzyliśmy w milczeniu na patelnię, gdzie mięso skwiercząc stawało się coraz mniejsze i wyglądało coraz nędzniej. Puszka kosztowała dwa funty i sześćdziesiąt piastrow; a teraz na patelni nie zostało prawie nic; ot, dwa kęsy. Kot by się tym nie najadł. Milcząc spoglądaliśmy po sobie, tego mięsa prawie już wcale nie było widać, a potem Lena powiedziała z rozpaczą:

— Nie starczy dla wszystkich. Nie umiem tego podzielić.

— No więc — powiedziałem. — Może teraz, kiedy cały dzień latałem z Griszą za robotą mam sobie nagle

przypomnieć, że wypadło mi coś ważnego do załatwienia i wyjść? Tak, Grisza?

— Wybacz jej — powiedział Grisza. Popatrzył na nią ciężko a jego skośne oczy zrobiły się jeszcze węższe. Potem odwrócił się do mnie. — Ona jest niewinna — powiedział. — Ona nie rozumie lepiej.

— Nie umiem tego podzielić — powtórzyła z uporem Lena.

— Nie trzeba — powiedział Grisza. — Kto by tam dzielił takie gówno.

Wziął patelnię z blachy i kopnięciem otworzył drzwi baraku. Zamachnął się szeroko i wyrzucił mięso; plasnęło w mroku i zaraz potem słyszałem jak psy rzuciły się na nie z warkotem. Siedząc przy stole, w żółtym blasku lampy wydawało mi się, iż widzę jak żrą i jak pęcznią ich chude, wstrętne karki. Ale była to oczywiście fantazja; połknęły to mięso w milczeniu, na raz; tak, jak połykały wszystko co tylko mogły znaleźć na tym polu spalonym przez słońce i pełnym śmieci, które przywędrowały nie wiadomo skąd i które pewnie pozostaną tam aż do końca świata.

— No więc — powiedział Grisza stawiając patelnię na kuchni. — Kiedyś pytali kozaka: co byś zrobił, żeby ciebie carem wybrali. *Ja by ukradł dziesięć rublej i udrał* — powiada. Nie martw się Lena. Z każdej sytuacji można się wygrzebać.

— Ale dziecko — powiedziała Lena.

— I mnie nie było lepiej w jej latach — rzekł.

Napiliśmy się tylko herbaty i wyszliśmy przed barak; Grisza i ja, Lena została wewnątrz. Usiedliśmy przed barakiem, na ciepłym jeszcze piasku i paliliśmy papierosy. Na morzu, rybackie statki rozrzucone szeroko w półkole nawiływały się słabymi światłami.

— Słuchaj Grisza — powiedziałem. — Rozmawiałem dzisiaj z jednym facetem, który chce ode mnie kupić pistolet. Sprzedam mu. Na cholere mi pistolet.

— Nie — powiedział Grisza. — Nie sprzedawaj broni.

— Sprzedam — powtórzyłem. — Na cholere mi to.

— Nie — powiedział. — Nie sprzedaje się broni. Zresztą to wszystko co masz.

Była to prawda; miałem tylko ten pistolet, który przywoziłem tu z Europy, biblię i fotografię takiej jednej

kurwy którą przechowywałem tylko dlatego, że była trochę podobna do innej kurwy, w której kiedyś się podkochiwałem. Może być zresztą, iż kochałem ją naprawdę. Ale to nie było teraz ważne; ważne było tylko to, że od dwóch miesięcy byliśmy obaj bez pracy; porządne śniadanie jadłem ostatni raz w Jaffie, w więzieniu. Nie umiałem myśleć o miłości; co innego Grisza, ale on był Rosjaninem, a Rosjanie się nie zmieniają i do końca nic im nie jest obojętne. Ale ja nie jestem Rosjaninem; było mi już wszystko jedno, a może byłem nawet dalej: już poza rozpaczą i już poza gniewem. Ludzie nie wiedzą naprawdę ile obojętności jest w nich i jak bardzo obojętne może się wszystko stać pewnego dnia; i dobrze, że nie wiedzą.

— Słyszysz — powiedział do mnie Grisza. — Znowu tutaj się szwendają. — Wyciągnął rękę w mrok; widziałem ich żółte, złe ślepie zapalające się i gasnące niby latarki. — Myślą, że może jeszcze coś dostaną.

— Nie — powiedziałem. — One tu przychodzą do mnie, tylko do mnie. Przysięgam ci, Grisza. Bóg tylko jeden wie dlaczego mnie tak nienawidzą.

— Kto by je tam rozumiał — powiedział leniwie. Palił reszkę papierosa zaciągając się głęboko i ze znawstwem; potem cisnął niedopałkiem w mrok i odwrócił się do mnie. Zdawało mi się, nie wiem dlaczego, że patrzy na mnie jakoś szczególnie uważnie i surowo.

— A broni — nie sprzedawaj — powiedział.

Znów odezwał się jakiś, potem zawtórował mu drugi i wyły oba do księżyca — olbrzymiej, pomarańczowej bani, balansującej tuż nad spokojnym, jasnym morzem. Czułem je tak, jak i one czuły mnie prawdopodobnie; czułem ich spaloną słońcem sierść i ich ostre oddechy; ich wieczny głód i ich wściekłość skierowaną przeciwko mnie, tylko przeciwko mnie, tak, jakbym ja to stworzył ten kraj o polach spalonych słońcem; o polach bez drzew, bez cienia, bez dzikich zwierząt — z wyjątkiem węży i skorpionów których bali się wszyscy. Siedzieliśmy z Griszą w milczeniu; słyszeć było szum morza lecz wciąż jeszcze bez śladu wiatru; no i te psy przebiegające w ciemności i szeleszczące ich łapy w polu pełnym śmieci. I ten ich przekłęty warkot.

— No, no — powiedział Grisza. — Nie widziałem jeszcze czegoś podobnego. Może kiedyś przyłożyłeś jednemu z nich i one to w jakiś cholerny sposób zwąchały.

— Nie — powiedziałem. — Przysięgam ci Grisza, że nie. Nic do nich nie mam.

Siedzieliśmy tak z godzinę może jeszcze; a potem przyjechał ten człowiek swoją ciężarówką. Myśmy siedzieli na piachu przed progiem a on wysiadł z kabiny, nie zgasił nawet światła i podszedł prosto do nas.

— Dobry wieczór — powiedział.

Stał przed nami trzymając pod pachami całą kupę butelek piwa. Nie odpowiedzieliśmy mu; ni Grisza, ni ja. Mimo iż było ciemno, wiedzieliśmy dokładnie jak on wygląda; młody, zdrowy mężczyzna tuż po trzydziestce; zaczynał już tyć i jego twarz rozlewała się powoli, ale wszystko to szło na koszt zdrowia i młodości, nie kosztem lat; był dobrze odkarmiony i koniec; gdyby miał żonę, byłaby dumna z niego. Feler w tym, że jej nie miał. Zaczynał także łysieć; miał delikatne ciemne włosy jak u dziecka, ale to się widziało naturalnie tylko w dzień. Teraz pachniał za to; używał jakiejś wody kolońskiej tak silnej, iż człowiek miał wrażenie, że zakwitło całe pole kwiatów z oleodruku.

— No, Grisza — powiedział. — Cóż to, nie przywitasz się?

— Weź swoją mordę stąd i znikaj — powiedział Grisza. — I nie przyjeżdżaj tu więcej. Wiem, czego tu szukasz.

Butelki z piwem zadzwoniły delikatnie pod pachą tamtego; uczułem nagle pragnienie, niemal że ból w gardle i przysiągłbym, że Grisza czuł to samo.

— Słuchaj, Grisza — powiedział tamten. — Będę miał dla ciebie pracę od przyszłego tygodnia. Trzysta pięćdziesiąt funtów miesięcznie. Za Beer-Schebą, chcesz?

— A ty będziesz tędy jeździł co wieczór — powiedział Grisza. — I wstąpisz sobie czasem do mnie, żeby troszkę odpocząć. I tak trochę pogadać z moją Leną. A ja będę tyrał za Beer-Schebą i posyłał jej forszę, nie? — Chciał splunąć, ale butelki znów zadzwoniły delikatnie i zaszcło mu w gardle; zasyczał jakoś dziko i śmiesznie i to go pewnie rozwścieczyło. — *Ujdi ad siuda, swołocz, idi legawy pies, blań naja morda!* — powiedział.

Nic nie widziałem; butelki szczęknęły w ciemności o kamienie i poczułem nagle gorzki zapach piwa. Skoczyłem naprzód przyciskając łokcie do twarzy z kolanem wysuniętym i podkurczonym niemal do brody; miałem szczęście —

trafiłem go w brzuch, akurat w tym momencie, kiedy szkował się rąbnąć Griszę jeszcze raz. Stęknął z bólu ale nie zaszkodziło mu to wiele, był to mocny chłop; widziałem jak rzucił Griszą niby kotem, a Griszy też niczego nie brakowało; teraz leciał na mnie z pięścią wzniesioną do góry jak młot ale wywinąłem mu się i znów wpadł na Griszę i potoczyli się na barak, aż ściana z dykty trzasnęła. Skoczyłem na nich z tyłu; złożyłem dwie ręce i chciałem go trzasnąć w kark ale nagle jakieś ostre zęby pochwyciły mnie za nogę i to mnie zgubiło; odwróciłem się bowiem a wtedy rąbnął mnie w szczękę tak, że poleciałem pod płot, w kurz razem z całym kłębem skowyczących psów. Ten skowyt, to było wszystko co zapamiętałem; dopiero później, jak przez mgłę doszedł do mnie hałas odjeżdżającej ciężarówki.

Ocknąłem się po długiej chwili; Grisza trzymał moją głowę na kolanach i chustką ścierał mi krew z warg. Wciąż jeszcze huczało mi w uszach, tak, jakbym wysiadł z samolotu po paru godzinach lotu. Oblizalem się; próbowałem powstać, ale nie dałem rady: kolana ugięły się pode mną i klapnąłem ciężko na ziemię.

— To wszystko dlatego, że ten pies ugryzł mnie w nogę, Grisza — powiedziałem dzwoniąc zębami. — Straciłem orientację.

— Przeszło — powiedział.

— Inaczej dołożylibyśmy mu zdrowo — powiedziałem. — Chciałem go rąbnąć w kark a wtedy poszedłby spać. Wiesz, Grisza: obie ręce razem i tak jak toporem. Nauczył mnie tego jeden gość od spadochroniarzy. Ale ten cholerny pies wczepił się we mnie. — Milczał, nie odpowiadał, i widziałem tylko jego twardy profil. — Tak czy owak on tu już nie wróci — powiedziałem. — Szkoda. Dołożylibyśmy mu zdrowo.

Odwrócił się nieco ku mnie; jego jasne, skośne oczy błysnęły jak u kota.

— Nie — powiedział. — Nie dołożylibyśmy mu. A wiesz dlaczego? Bo nie dali byśmy rady. A wiesz dlaczego nie dali byśmy rady? Bo dwóch gości, którzy nie jedli porządnie od miesięcy byle kto może skopać. — Pomilczał chwilę. — Ale nie bój się — powiedział. — On tu wróci. Wróci tu jeszcze raz. Ale potem już nigdy więcej.

Podniósł się; pomógł i mnie wstać. Otworzył drzwi i wepchnął mnie do baraku; a wtedy w żółtym, ostrym

światle dojrzałem jego prawą część twarzy: opuchnięty policzek i obrzydliwie podbite, wybałuszone oko. A potem jeszcze długo, leżąc już ciemności na swoim łóżku widziałem jego rozbita twarz; zapadałem w sen i powracałem z powrotem przywołany obrazem jego twarzy. Wciąż jeszcze huczało mi w głowie i wciąż twarz jego powracała z ciemności; przypominałem sobie nagle jednego Niemca który miał wytatuowaną na ramieniu twarz kobiecą a pod nią bluźnierczy napis: wszystko przemija prócz oblicza Twego. To były święte słowa, ale ten Niemiec służył we francuskiej marynarce handlowej a przedtem przeszedł z Rommlem pustynię i niewiele sobie robił ze świętości świata tego. Lecz mnie się zdawało, iż była to nie wytatuowana twarz kobieca, lecz twarz Griszy, taka jaką zobaczyłem przed godziną; rozbita i opuchnięta, z okiem szyderczo wybałuszonym. Nie mogłem wciąż jeszcze zasnąć; słyszałem jak Lena płacze i wymyśla mu, iż zmarnował całą kupę mięsa; nie odrobinię, która szczęła w naszych oczach na patelni, lecz właśnie całą kupę, którą można by było jeść Bóg jeden wie jak długo; i słyszałem jak go błagała, żeby dał jej spokój i odsunął się z tą swoją straszną twarzą; a potem już u progu snu mego, usłyszałem, jak pokonał jej opór i jak Lena płacze z upokorzenia; więc jeszcze pomyślałem sobie, że Grisza to silny chłop, i że to był przypadek — to, co zdarzyło się przed godziną; i jakoś tak wsłuchiłem się przyjemnie w ten jej płacz i zasnąłem.

Następnego dnia rano ogoliliśmy się nieco później niż zwykle; Grisza podlepił sobie oko plastrem, zjedliśmy po talerzu płatków owsianych z margaryną; Grisza ucałował małą Lenę — ciepłą jeszcze od snu i rozgrymaszoną i wyszliśmy z baraku. Ten staruszek, który miał siostrzeńca w Ameryce czekał już na nas. Wyglądał schludnie; był pięknie ogolony, nosił na szyi coś w rodzaju apaszki, a jego krótkie spodenki były starannie zaprasowane — myśmy przy nim wyglądali jak dwaj z piekła w naszych brudnych spodniach khaki i przepoconych koszulach. Stary trzymał w ręku list.

— Panowie będą przechodzić koło skrzynki pocztowej — powiedział. — Zróbcie mi panowie tę grzeczność — i podał mi ten list: gruby i ciężki; pisał go pół nocy pokaskując i wycierając łzy. Chciałem go już wziąć, ale Grisza powstrzymał mnie.

— My idziemy do Haifskiej szosy — powiedział. — Tam nie ma żadnej skrzynki po drodze. Musi pan się sam pofatygować.

Stary odszedł niezadowolony a ja popatrzyłem na Griszę.

— Dlaczego, na litość Boga do Haifskiej szosy? — powiedziałem. — Po co mamy iść trzy kilometry, kiedy tutaj autobus podjeżdża pod nos?

— No i co z tego — rzekł Grisza. — Nie wiedziałem, że masz coś pilnego do załatwienia. Można się czasami przejść; przed dziewiątą i tak nikogo nie złapiemy.

— Ale to trzy kilometry, Grisza.

— Właśnie — powiedział. — Taki spacer uspokoi twoje skołatane nerwy.

Poszliśmy przez pole, do szosy a potem szliśmy brzegiem morza przez ogromną pustą plażę, na której nikogo jeszcze nie było, czystą i piękną a potem znów wydrapaliśmy się na górę, skręcili na lewo i szliśmy poprzez dzielnicę w której mieszkali tylko dyplomaci — były to małe, schludne domki schowane wśród tych fantastycznie kwitnących drzew; przed furtką każdego z tych domków stały butelki z mlekiem; czasem trzy a nawet cztery z czego można było się domyślić, że mają całe chmary dzieci. Było mi trochę głupio ze względu na małą Lenę i zerknałem na Griszę; widziałem, że też patrzy na te butelki z mlekiem, ale udawał, że go to nic nie obchodzi. Miałem ochotę wziąć kamień i porozbijać je wszystkie — systematycznie, na zimno i niczego nie tłumacząc. Ale nie mogłem sobie na to pozwolić; jechaliśmy, aby wykombinować jakąś możliwość — tego dnia, jak i każdego innego dnia od dwóch miesięcy.

Przy którymś z tych domków w którym powinny mieszkać raczej lalki niż ludzie, takie to wszystko było schludne i grzeczne. Grisza zatrzymał się. Wyciągnął z kieszeni blaszane pudełko z wizerunkiem brodatego kapitana. Ni stąd, ni zowąd usiadł pod samym płotem opierając się o niego plecami i wyciągnął nogi aż na środek drogi.

— Siadaj — powiedział. — Zapalimy.

Usiadłem trochę dalej, na kamieniu; było dopiero po siódmej a kamień przygrzał mnie już porządnie w tyłek. Grisza dostrzegł to i uśmiechnął się.

— Co jest — powiedział. — Boisz się, że przewrócisz im ten cały interes? Też by się nic nie stało.

— Ja tam nie lubię, żeby ktoś mordę nade mną rozdzierał — powiedziałem. Ale usiadłem koło Griszy i też oparłem się o sztachety. Zapaliliśmy i było od razu lepiej. Siedziałem rozwalony obok Griszy i myślałem sobie, iż w tym kraju niewiele potrzeba, żeby cieszyć się życiem. Z początku, kiedy tu przyjechałem, zdawało mi się, że nie lubię tego kraju. Ale potem, kiedy go już trochę poznałem, pomyślałem sobie, że się pomyliłem. Pomyłka polegała na tym, że kochałem ten kraj sam o tym nie wiedząc. I nigdy go nie przestanę kochać; tych pól nad którymi unoszą się i kręcą pióropusze wody, pomarańczowych lasów pachnących tak pięknie, że człowiek boi się w to uwierzyć; i łagodnych wzgórz Galilei, i tych małych miasteczek, do których zjeżdża się nagle i w których Arabowie potrafią mówić dziesięcioma językami; jednakowo źle, z jednakową łatwością i powagą. Wierzę, że tam mieszka Bóg i że nigdy stamtąd nie odszedł. I będę w to wierzył nawet wtedy, jeśli by ten kraj spotkało dziesięć nowych nieszczęść, bo tylko tam Go czułem. Przyszła mi ochota, aby to wszystko nagle powiedzieć Griszy, ale kiedy obróciłem się ku niemu, myślałem, że serce pęknie mi z przerażenia; oblałem się potem a jednocześnie w gardle zrobiło mi się tak sucho, jak gdybym nigdy na tym świecie kropli wody nie wypił.

Przedemną stał pies; ogromny jak cielę, tylko że wyglądał strasznie: niby diabeł, rogów mu tylko brakowało. Był cały czarny jak smoła i kudłaty, łapy miał grube a zębów mogłem się domyśleć w jego kwadratowej, obrośniętej paszczy. Znałem te psy; był to brodacze monachijski, rzadki okaz, ogromnie drogi; czasami używa się tych psów do polowania ponieważ potrafią dobrze chodzić po wodzie, a ci figlarze z SS używali ich podczas wojny, jako psy policyjne — były groźniejsze od wilków i bokserów. Widziałem kiedyś jak jeden taki skoczył na człowieka, wprost do gardła i powalił go na ziemię rozdzierając mu cały bark jednym chwytem paszczy.

— No — powiedziałem do Griszy. — Dalszego ciągu nie będzie.

A teraz pies taki stał przede mną o dwa kroki i kręcił swoim krótkim ogonem. Nie ruszyłem się; papieros sparzył mnie nagle w rękę i bałem się upuścić go na ziemię; czekałem, aż sam się wysłiznie. Delikatnie podkurczyłem

nogi pod siebie, aby w tym momencie kiedy pies skoczy mi do gardła móc go zrzucić. Ale on nie ruszał się; czekał, jakaś mucha przeleciała mu przed nosem i kłapnął niedbale paszczką. Potem zbliżył swój mokry, kwadratowy nos do mojego policzka i obwąchał mnie starannie, nawet trącił mnie nieco. Nie ruszałem się i to go widocznie zdumiało; trącił mnie swoją grubą, kosmatą łapą raz i drugi; bawiło go to widać; wreszcie odskoczył o krok i zaszczał potężnym basem a wtedy zobaczyłem jego ogniście czerwony język. Wreszcie odbiegł w podskokach wciąż jeszcze odwracając ku mnie kosmatą paszczę; tak, jak bym mu sprawił zawód, że nie zareagowałem na jego zaczepki. Rzuciłem się do Griszy.

— Czegoś nie wziął kamienia, durniu — powiedziałem. — Trzeba go było trzepnąć w łeb i koniec. Wiesz, że pies chce mnie gryźć a ty siedzisz i patrzysz.

— Trzeba było to samemu zrobić — powiedział Grisza. — Dokładnie to samo: wziąć kamień i trzepnąć go w łeb.

— Bałem się poruszyć.

— A ja to co? Ja się też bałem.

— Skąd się ten drań tutaj wziął — powiedziałem. — Jeszcze w życiu nie widziałem takiego ogromnego psa.

— Ładny pies — powiedział Grisza. Był wyraźnie zły; i pomyślałem sobie, że pewnie wstydzi się swojego tchórzostwa. Popatrzył na mnie z boku. — Gdyby cię tak chwycił swoimi zębami — powiedział — to...

Pokręcił głową, nie dokończył; znów popatrzył w bok ze złością wyraźnie unikając mego wzroku i znów pomyślałem sobie, że się wstydzi. Zrobiło mi się go żal.

— No, no, Grisza — powiedziałem. — Idziemy dalej. Nic się przecież w końcu nie stało.

— Nic — powiedział Grisza.

Szliśmy do autobusu a ten drań biegł za mną; nie za nami, nie za Griszą, ale właśnie za mną — tego byłem pewien. Nie odwracałem się a byłem przekonany, że w pewnym momencie skoczy na mnie z tyłu i przygniecie mnie do ziemi. Raz nawet trącił mnie na przystanku i kiedy wreszcie nadjechał autobus i wsiedliśmy, to biegł jeszcze spory kawał za tym starym pudłem i szczał. Jakiś człowiek stojący koło mnie powiedział z podziwem:

— Ładnego ma pan psa.

— Pewnie — powiedziałem ocierając pot. — Choler-
nie ładny pies. Mogę go panu sprzedać.

— Broń Boże — przestraszył się. Ale rozważał coś
w sobie; to było widać. Wreszcie zapytał: — Co on po-
trzebuje zjeść?

— Dwie butelki szampana i puszkę kawioru — po-
wiedział Grisza. — Ale będzie pan przynajmniej spokojny
o żonę; już on jej przypilnuje.

— Chamstwo!

— To nie pytaj się pan!

— Pan pewnie nowy tutaj?

— Tak — powiedział Grisza. — Ale siedziałem już
w więzieniu za pobicie. Wcale nie było tak źle.

Ten człowiek obraził się; począł głośno opowiadać
zwracając się przy tym do wszystkich, że kiedyś było
tutaj inaczej, że kiedyś ludzi się tutaj szanowało; a nawet
można było zostawiać otwarte mieszkania i wszystko czło-
wiek zastawał na miejscu. Kraty poczęto wstawiać dopie-
ro po ostatniej wojnie, kiedy przyjechali nowi emigranci.
On sam, osobiście kopał tu drogi i cierpiał na malarię,
podczas gdy Grisza zażerał się w Europie jak u Pana
Boga za piecem; potem Grisza mu powiedział, żeby tamten
przesłał mu rachunek za swoją malarię to on zobaczy, co
dla niego można zrobić a w końcu jakiś żołnierz stojący
koło mnie i słuchający tego wszystkiego obojętnie — opa-
lony i muskularny — zapytał mnie dlaczego my, Ży-
dzi, musimy się zawsze kłócić. Powiedziałem mu, że
nie wiem i tak dojechaliśmy do Tel-Awivu. Kiedy wy-
siadałem z autobusu łydki drżały jeszcze pode mną i po-
wiedziałem do Griszy:

— Nigdy już nie pójde tą drogą. Następnym razem
ten drań mi nie podaruje.

Na ulicy King George zobaczyliśmy tego faceta, o
którym wiedzieliśmy, że ma chody i może wystarać się nam
o pracę. Siedział w małej kawiarni i zjadał coś, czego lepiej
było nie identyfikować. Z ustami pełnymi jedzenia poinfor-
mował Griszę, że teraz szczególnie ciężko o jakąkolwiek
pracę, że przyjechało dużo nowych emigrantów i też nie
wiadomo, gdzie ich poupychać. Przestał mówić i skończył
także jeść; czekał przez chwilę patrząc na nas niewinnym
wzrokiem a potem znów napchał sobie usta jedzeniem i
powiedział, że bardzo mu przykro widzieć dwóch młodych

ludzi chodzących bez pracy, ale kiedy on tu przyjechał nie było nic prócz malarii i walk z Arabami i jakoś to przeżył.

— Jazda — powiedział Grisza. — Ile chcesz i jaką robotę możesz załatwić. Nie będę tu stał i słuchał twojego mlaskania.

Przełknął olbrzymi kęs i powiedział bez zająknięcia:

— Trzysta funtów.

— Nie więcej? — zapytałem.

— Trzysta — powiedział. Wskazał na mnie palcem.

— Dla was obu. Załatwię wam stałą pracę.

— Trzysta funtów — powiedział Grisza. — A ile będziemy zarabiać?

— Osiem i pół funta dziennie — powiedział. — Taka jest stawka.

— To wypada po jakieś dwieście dwadzieścia funtów na miesiąc jak dobrze pójdzie — powiedział Grisza.

— Dwieście dwadzieścia funtów za cały miesiąc tyrania. A ty chcesz trzysta.

— Ja chcę? — zdumiał się tamten. — Ja chcę zjeść swoje śniadanie do końca. To wy chcecie. Najlepiej dla was będzie jak pójdziecie do biura pośrednictwa pracy. Oni was już urządzą. — Uniósł palec i wskazał na rozbitą twarz Griszy. — Coś podobnego — powiedział. — Miałeś wypadek?

— Nie — rzekł Grisza. — Bawiłem się z dzieckiem.

Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem koło niego. Odsunął nieco swój talerz.

— Dobrze — powiedziałem. — Dostaniesz swoje trzysta funtów. To kiedy możemy zacząć?

— Kiedy — powtórzył. — Jutro. Dzisiaj zapłacicie a ja wam dzisiaj jeszcze wszystko załatwię. Jutro możecie zacząć.

— Słuchaj pan — powiedziałem. — Ja i mój kolega widzieliśmy po raz ostatni trzysta funtów na reklamie loterii państwowej w kinie. Musimy przepracować miesiąc a potem dostaniesz pan swoją forszę. Zgoda?

Wyciągnąłem do niego rękę; czekałem chwilę a potem Grisza z całej siły uderzył mnie w rękę i ręka moja odskoczyła w bok.

— Jeszcze się spotkamy — powiedział Grisza.

— Pewnie — rzekł tamten. — Zawsze możemy się spotkać kiedy będziecie mieli trzysta funtów.

To było wszystko; poszliśmy przed siebie; można było już właściwie wracać do domu ale chodziło o Lenę: baliśmy się wrócić do domu o godzinie dziesiątej rano i powiedzieć, że niczego nie udało się nam załatwić. To by było głupio; trzeba było wracać już po czwartej, razem z ludźmi powracającymi z pracy i udawać zmęczonych całodzienną bieganią. Chyba nic tak nie męczy, jak udawanie zmęczenia — w pewnych sytuacjach. Mieliliśmy przed sobą parę godzin czasu; poszliśmy naszą zwykłą drogą — w kierunku morza.

— On nie jest zły — powiedział do mnie Grisza. — Ale on nie rozumie inaczej. — Pomilczał chwilę. — Tak jest pewnie ze wszystkimi — rzekł.

— Ale w mordę to mu chciałeś dać.

— Pewnie — rzekł. — Nie jemu jednemu.

— Słuchaj Grisza — powiedziałem. — On chce trzysta funtów. Sprzedamy moją spluwę. Weźmiemy za nią sto dwadzieścia, może ze sto czterdzieści funtów a resztę dopóżyczymy. Damy mu te trzysta funtów i koniec. Za dzień, dwa zaczniemy pracować i wszystko będzie OK.

— Nie — powiedział. — Nie sprzedawaj broni.

— I na cholerę ci ten pistolet — powiedziałem wściekły. — Do czego będziesz strzelał?

— Coś się musi znaleźć — powiedział Grisza. — A może ten swołocz niczego nie potrafi załatwić? Może jemu się tylko śni nasza forsa. I co wtedy? A jak on pryśnie z naszą forszą to gdzie go będę szukał? Mało takich cwaniaków w życiu widziałem? Chryste Panie, widziałem ich dosyć. Zaczekaj.

— Wydaje mi się, że już czekam troszeczkę — powiedziałem. — Ale ty Grisza masz żonę. I małą Lenę.

— Ożeń się też — powiedział. — Przynajmniej obaj będziemy w jednakowej sytuacji. A to ukoji twoją duszę.

— Właśnie idę się żenić — powiedziałem. — Ale tylko na trochę.

Pożegnaliśmy się przy morzu; on zszedł na plażę a ja poszedłem w kierunku ulicy Jaarkon aby znaleźć pewną dziewczynę. Nie było to zresztą takie trudne; ujrzałem ją już z daleka: siedziała na tarasie brudnej kawiarni i paliła papierosa w taki sposób, że nawet pięcioletnie dziecko nie miałooby wątpliwości czym się trudni. Była

jednak rzeczywiście ładna i to komplikowało sprawę. Komplikowało — bo człowiek jej żałował. Mnie tam nigdy nie żał kurew, bo kurwą nie można zostać, trzeba się nią urodzić i umrzeć, a reszta na ten temat to kiepska literatura. Więc nigdy ich nie żałowałem i przypuszczam, że dlatego mnie lubiły. Słyszałem, jak zwierzały się łzawym głosem ze swego życia różnym mniej lub więcej pijanym idiotom; a potem opowiadały to sobie i zdychały przy tym ze śmiechu. One w ogóle lubią opowiadać. I mają co. A przy tym można się łatwo domyśleć kiedy kłamią i to sprawia satysfakcję: rodzonej żonie człowiek chce wierzyć, kiedy oświadcza, że dentysta zajął jej pięć godzin czasu; a w dodatku nie może sobie przypomnieć, na jakiej ulicy znajduje się jego zakład. Z nimi tego nie ma. Ale tej jednej żałowałem, bo była rzeczywiście piękna. I nic na to nie poradzę. A w dodatku żyłem już z nią od paru miesięcy i byłem jej winien całą kupę forsy; więc może stąd brała się ta świeżość uczuć. Może.

— No i jak — powiedziała, kiedy usiadłem już koło niej na nieprawdopodobnie brudnym, wyplatany kresesku i zapaliłem papierosa. — Nic?

— Nic — powiedziałem.

Napiłem się czegoś okropnego i słodkiego ze szklanki stojącej przed nią; kelner przyniósł mi piwo Gold Star, które piłem tu zawsze i zawsze na jej rachunek; napiłem się trochę tego gorzkiego, mocnego piwa i od razu było mi lepiej. Kelner zmrużył do mnie oko, co oznaczało, że poważył mnie i mój mądry stosunek do życia; i co oznaczało również, że on sam także chętnie zostałby alfonsem ale z niewiadomych sobie samemu przyczyn nie może się na to zdecydować; a potem odszedł. Ona sama piła to swoje słodkie paskudztwo; nie wiem co to mogło być, ale nigdy jeszcze czegoś takiego nie próbowałem.

— Więc co — powiedziała Ewa. — Chcesz pojechać ze mną do Jerozolimy?

— Nie — powiedziałem. — Spróbuję jeszcze.

Uśmiechnęła się.

— Nie dostaniesz żadnej pracy — powiedziała. — Po pierwsze: jesteś turystą i nie masz pozwolenia pracy. Po drugie nie znasz prawie wcale języka. Nikt cię nie przyjmie, to jasne; a zresztą takich jak ty jest tu

dużo. Nie od rzeczy byłoby wspomnieć, że w dodatku niczego nie umiesz.

— Pracowałem przez pięć lat jako kierowca — powiedziałem. — I to na gorszych samochodach jak tutaj. Potrzeba mi tylko pracy, Ewa. Nie zapomniałem tego.

— W tym kraju każdy jest kierowcą — powiedziała. — I taką pracę akurat najciężiej dostać, bo to jest jeszcze najlepiej płatne.

O tym wiedziałem i bez niej, że kierowcy żyją tutaj jak królowie i zarabiają najwięcej. Ten drań, który wczoraj mnie i Griszy nakładł po mordzie też był przecież kierowcą; zgrzytnąłem zębami, kiedy przypominałem sobie o tym.

— Chcesz jeszcze mówić na ten temat? — zapytała Ewa. — Bo mogę ci jeszcze powiedzieć, że tu jest więcej kierowców jak samochodów. — Znów napiła się tej nieodgadnionej cieczy odrzucając słomkę. — No więc?

— Nie — powiedziałem. — Nie pojedę z tobą Ewa.

Kelner podszedł i powiedział do niej:

— Jeden taki tutaj chciałby z tobą pogadać. Siedzi z tyłu.

— Powiedz mu, że jestem zajęta — powiedziała. Nie odwróciła się nawet aby spojrzeć w jego stronę; była najładniejszą prostytutką w tym kraju i mogła sobie pozwolić na to, aby nie odwracając głowy stracić dwadzieścia funtów. Zresztą mógł poczekać; jeśli już koniecznie chciał, to wiedział zapewne, że lepszej nie znajdzie. — Nie chcesz być alfonsem — powiedziała. — Co?

— Nie — powiedziałem. Ale dodałem szybko: — Kocham cię. Kocham cię, ale nie chcę tego. Jeszcze spróbuję. Muszę w końcu dostać jakąś pracę. — Zabrzmiało to wszystko jakoś słabo; więc raz jeszcze z męką w głosie powiedziałem denerwując się przy tym za tego faceta z tyłu: — Kocham cię.

— A jak tam Grisza?

— A tak, żyje. — I nagle powiedziałem bez wstępów: — Słuchaj, Ewa. Potrzeba mi trzysta funtów. Mogę dostać robotę i mam takiego jednego, który to może załatwić. Ale ten swólcz chce wszystko od razu.

— Pojedź ze mną do Jerozolimy — powiedziała. — To wszystko. I nie mów ze mną o pieniądzach. —

Wyjęła z torebki banknot funtowy i położyła go na stoliku, choć rachunek nie mógł wynosić więcej jak sześćdziesiąt piastrów. — Chodź — powiedziała.

Ale ja siedziałem uparcie; ja tam nie lubię pytać i Bóg mi świadkiem że nigdy nie lubiłem. Czekałem aż ona się domysli. Powiedziała do mnie: — Nie bój się, z nikim jeszcze nie byłam.

Wyszliśmy; ten który siedział za nami sapnął ze złością, ale nie poruszył się; był twardy, chciał czekać. Jemu było wszystko jedno: pierwszy, czy drugi. Mnie nie. Już nie chodziło o nic, tylko o to, aby być pierwszym tego dnia. Taka była między nami umowa i to mi Ewa przysięgła w pewnym burdelu, naszego pierwszego dnia, podmywając się przy tym z wdziękiem kocicy. Może bym nawet z nią pojechał do Jerozolimy, bo sama myśl, żeby być sutenerem akurat w Świętym Mieście wydawała mi się świeża, ale znałem Ewę zbyt dobrze. Wiedziałem, że ładowałaby mi się do łóżka po dniu swojej ciężkiej pracy i żądałaby ode mnie tego, żebym się z nią cackał jak z prawiczką; tak właśnie, ponieważ one oczyszczają się w ten sposób. Niestety. Pod tym względem one wszystkie są takie same; i dla nikogo nie robią wyjątku.

To ciężki kawałek chleba i one są twarde; twarsze od żon i córek, i naszych matek. Ile razy szedłem z Ewą zawsze musiałem iść główną ulicą chociaż tłumaczyłem jej, że o wiele przyjemniej iść bocznymi uliczkami i że rosnące tam palmy przypominają mi Palermo. Ale to jej zupełnie nie obchodziło, gdzie tam; uwieszona u mojego ramienia przepychała się wraz ze mną poprzez tłum; przystawała przy oknach wystawowych i czytała jadłospisy wywieszone przed restauracjami; tak, żeby wszyscy widzieli, że i ona ma swojego i że pogarda świata jest czymś, z czego można się śmiać, jeśli się ma swojego Cyrenejczyka. A tym Cyrenejczykiem byłem ja. Powtarzam: to twardy chleb; trzeba mieć dobre zęby i krew. Ja tam nigdy nie mogłem się połapać z iloma ona była w łóżku; z pięcioma, dziesięcioma czy z dwudziestoma, a ona zawsze poznawała, kiedy skoczyłem sobie w bok. Myślałem o tym wszystkim idąc ulicą Ben-Jehuda o godzinie dwunastej w południe, przy czterdziestu stopniach upału; i cholera mną trzęsła. Dopiero później, w hotelu, wrócił mi dobry humor. Lubiłem na nią patrzeć kiedy zrzuciła już z siebie

te kolorowe szmaty i chodziła po kamiennej posadzce paląc papierosy — jednego za drugim. Była zgrabna jak kot i wiedziała o tym. Długie nogi, piersi jak u Murzynki i anielska twarzyczka. Tylko oczy miała ponure, złe; tak, jakby przeklęła wszystko i wszystkich. Dobrze się przy tym nazywała: Ewa. Leżałem na czystym, szeleszczącym prześcieradle i patrzyłem na nią; byłem już dobrze zmęczony a to dobrze świadczy na jej korzyść; niewiele kobiet potrafi człowieka zmęczyć przy czterdziestu stopniach upału, a w dodatku człowieka, który porządnie nie jadł od dwóch miesięcy.

— Chamsin idzie — powiedziała do mnie Ewa.

Wstałem; okręciłem się prześcieradłem i podszedłem do okna. Rzeczywiście: morze ściemniało a zakurzone drzewa na ulicy były nieruchome, jak z gipsu: drzewa i ich cienie; wszystko zamierało. Ludzie przemykali pośpiesznie starając się przechodzić pod niskimi markizami sklepów.

— To może potrwać i pięć dni — powiedziałem.

Patrząc przed siebie, w ulicę, Ewa powiedziała:

— Jedź ze mną do Jerozolimy.

— Nie.

— Zdechniesz tutaj.

— Nie. Nie zdechnę.

Wróciła na łóżko. Położyła się i założyła ręce pod głowę. Zamknąłem okno; podobno tak lepiej, kiedy chamsin nadciąga. Lepiej, ale też można zwariować. Raz jeszcze spojrzałem na ulicę; stąd, z czwartego piętra czułem ciepło asfaltu.

— Nigdy jeszcze nie byliśmy w tym pokoju — powiedziałem. — Dlaczego nie powiedziałaś portierowi, żeby nam dał nasz zwykły pokój na pierwszym piętrze?

— Ach — powiedziała. — Tam naprzeciwnie mieszka taka stara panna. Wiesz: nieśmiała entuzjastka życia płciowego. Ja tam nie lubię nikomu sprawiać radości za darmo.

— Tu jest ładniej — powiedziałem. — Widać połowę miasta. I morze. I Jaffę.

— W Jerozolimie jest jeszcze ładniej — powiedziała Ewa. — A o dwunastej w południe słychać jak z meczetu zwołują wiernych na modlitwę. Nagle zmieniła ton. — Ale ty nie chcesz jechać, co? Nie ma o czym mówić?

— Nie — powiedziałem.

— Boisz się żyć z kurwą — powiedziała — bo ci się zdaje, że możesz kiedyś mieć coś lepszego. Ale to nieprawda. Nie będziesz miał innej. Wszystkie są kurwami i wy wszyscy jesteście klientami. To jest miłość. Ale ty nie będziesz klientem. Będziesz alfonsem. A zresztą co ci za różnica.

One wszystkie czują się w obowiązku wypowiadania swoich myśli w sposób najbardziej ponury, nie rozumiejąc, że nikogo to nie interesuje. Mózgi ich pozostają dziewicze; to tak, jakby los chciał im zrekompensować coś niecoś. Zauważyłem także, że lubią strasznie mówić o śmierci i pogrzebach; i są przekorne jak dzieci w tym myśleniu o śmierci, o swoim ciele spoczywającym wśród kwiatów, i o łzach koleżanek.

— Potrzeba mi trzystu funtów, Ewa — powiedziałem. — Pożycz mi, albo daj. Grisza ma dziecko i żonę. Chodzi o dziecko.

— Ładna jest żona Griszy? — zapytała mnie Ewa.

— Bo ja wiem? Chyba ładna.

— No to przyprowadź ją jutro razem z Griszą — powiedziała. — I niech się trochę lepiej ubierze. A wieczorem będziecie mieli trzysta funtów. Ja jej pomogę. Mnie też pierwszy raz pomogła taka jedna jak ja.

— Jeśli mnie kochasz — zacząłem.

— Dam ci w Jerozolimie — powiedziała. — Nie trzysta. Trzy tysiące. Może nawet więcej. Będziesz sobie w dzień chodził pływać a wieczorem pójdziemy się bawić we dwójkę. Ale w Jerozolimie.

— Grisza by ją zabił — powiedziałem.

— Ale na mnie to się Grisza zgodzi, co? On jest twoim dobrym przyjacielem: on się nawet nie zapyta skąd masz, żeby cię nie urazić. On kocha swoją żonę, ty kochasz mnie — cóż to dla ciebie za różnica.

— Bierzesz mnie na dietę, Ewa, co? — powiedziałem.

— Kocham cię — powiedziała. — Kurwy też kochają. Zapytaj się żony Griszy jak nie wierzysz.

No i już, takie one są. Jeśli się przy czymś uprą, to nie ma na to ratunku. Dla nich życie to prawdziwy dramat, one się nie nudzą.

— To już nie mówmy o tym — powiedziałem. Leżałem koło niej; znów ogarniało mnie gorąco i z całej

siły starałem się zapomnieć o tym tłustym, spoconym i cierpliwym człowieku, który na nią czekał. — Jestem twoim pierwszym — powiedziałem cicho. A ponieważ nie odpowiedziała, krzyknąłem prawie: — Pierwszym. Pierwszym, jakiego miałaś. Pierwszym w twoim życiu.

Milczała; z całej siły uderzyłem ją w twarz raz i drugi, a wtedy powiedziała:

— Tak.

Potem Ewa odeszła a ja zdrzemnąłem się trochę. Obudził mnie głos zza ściany; to jakiś pobożny człowiek modlił się głośno. Leżałem w milczeniu i starałem się zrozumieć jego słowa. Musiał być to stary człowiek; słyszałem, że modlitwa go męczy, często brakowało mu słów. Było w tym coś strasznego i coś naprawdę wzniosłego; i leżąc bez ruchu wiedziałem już, że nie zapomnę tego dnia i tej modlitwy zza ściany, głosu starego człowieka, którego nigdy nie widziałem i nie zobaczę. Na dworze musiało być okropnie: czułem teraz chamsin i tutaj, w pokoju; brakło mi tchu a moje serce waliło ciężko. Niebo ściemniało a morze było nieruchome jak stal. Wszyscy byli zmęczeni i pełni rozpacz; wszyscy którzy przyjechali tutaj i ci, którzy się tutaj urodzili. Nie było dla nikogo wyjątku: ciemność i gorąc położyły się nad tym krajem; nad jego morzem i pustynią. Zdarzało się, że umierały zwierzęta i ptaki; ludzie umierali prawie zawsze. Zасыpiając znowu, pomyślałem sobie, iż właśnie w taki dzień umierał Jezus. Nawet tego nie oszczędziło mu niebo; więc może On jeden, jeden jedyny przeszedł swoją drogę naprawdę aż do końca. Nie miałem już nic, ani niczego, ani nikogo; ale mogłem przynajmniej o tym myśleć leżąc tutaj, na tym łóżku w tym dusznym pokoju, do którego dobijał się już parę razy portier ponieważ potrzebował go dla innych mężczyzn i innych kobiet; i byłem szczęśliwy, że mogłem o Nim myśleć w dzień śmierci Jego. Nikt mi nie mógł tego zabronić. Nikt. Ani mnie, ani nikomu innemu; gdziekolwiek bym poszedł i czymkolwiek bym został. I dlatego wszystko przeminie prócz oblicza Jego.

I znów następnego dnia rano Grisza uparł się, żeby iść do autobusu aż do Haifskiej szosy.

— Ale ten pies, Grisza — powiedziałem. — Przecież ty wiesz, jak to ze mną jest. Rzuci się na człowieka takie

bydlę i koniec. Ty będziesz się śmiał, ale ja mam dosyć curesów.

— Ej, tam, pies — powiedział. — Po pierwsze nic ci nie zrobił. Wstyd w ogóle mówić takie głupstwa. Ja tam lubię przejść się rano.

Pomyślałem sobie, że może rzeczywiście go nie będzie, a wczoraj to tylko przypadkiem się tam napatoczył. Ale był: stał na środku drogi dokładnie o tej samej godzinie co wczoraj, zupełnie jakbyśmy się przedtem umówili telefonicznie. Chciałem skrócić w bok, ale zobaczył mnie. Przybiegł w podskokach; stanął na tylnych łapach i położył mi swoje ciężkie pazury na ramionach. Sam już nie wiedziałem co robić; zdobyłem się na odwagę i poczocharałem go po brzuchu. To mu się spodobało; zawarczał radośnie; polizał mnie tym swoim ognistym jęzorem; a potem poszedł za nami do autobusu.

— Wiesz co Grisza — powiedziałem. — Zdaje się, że ten pies mnie lubi. On jeden wśród miliarda psów. To dobry znak dla nas.

— Nie taki dobry, jak ci się zdaje — powiedział.

— Dlaczego?

— Swołocz pies — powiedział leniwie Grisza. Uśmiechnął się krzywo. — Najwięcej to mi żal szakali — powiedział.

— Czemu?

— Bo one nigdy się stąd nie wydostaną — rzekł. Pogroził psu pięścią. — A on stąd wyjedzie — powiedział. — I zawsze będzie mu dobrze.

— Dlaczego ten pies ma stąd wyjechać? — zapytałem tego dnia, po raz pierwszy pomyślałem sobie, że Grisza zwariował. — Dlaczego ten pies ma stąd wyjechać i skąd ty wiesz takie rzeczy?

— Wiem — powiedział Grisza.

W urzędzie pośrednictwa pracy powiedzieli Griszy, że jeszcze nic dla niego nie mają, ale żeby się nie niepokoił. Potem znów poszliśmy w kierunku morza i umówiliśmy się na autobus o szóstej. Wziąłem od Griszy parę papierosów i poszedłem szukać Ewy. Nie było jej w kawiarni; ten mój kelner przyniósł mi butelkę piwa i odszedł. Nie upłynęło nawet pięć minut jak podszedł do mnie jakiś.

— Chciałem z tobą porozmawiać, kolego — powiedział.

Usiadł; wiedziałem od razu z kim będę mówił. Musiał mieć swoje dziewczyny; i musiał się już tym trudnić od wielu lat. Nauczyłem się już ich poznawać i nigdy nie dam się oszukać, nawet gdyby któryś z nich podszedł do mnie w szatach kardynała. Oni mówią tonem jakiejś zawodowej dyskrecji; przy tym przylepiają się człowiekowi do twarzy.

— Ewa to twoja pani — powiedział. — Prawda? Chodzi dla ciebie?

— Może i tak — powiedziałem. — Ale o co chodzi?

— Jest interes — powiedział. — Można zarobić ładne parę groszy. A ty przecież potrzebujesz pieniędzy, kochanie.

Już wiedziałem o co chodzi; roześmiałem się.

— Chcesz, żebym wpakował Ewę na trochę — powiedziałem. — Tak?

— Właśnie — powiedział. — Ewa mieszka w Jerozolimie. Niech ona chodzi w miasto tam, gdzie mieszka. To nie sztuka pojechać autobusem do Tel-Awivu i tak łapać gości, bo każdemu wolno się zakochać i pójść do hotelu z dziewczyną. Nie?

— Tak — powiedziałem. — Ale ja już jestem w tym wieku, że dla mnie najprzyjemniejsza część gry miłosnej to żarcie. Możesz ze mną nie mówić na ten temat.

— Właśnie — powiedział jakby nie słysząc zupełnie tego co mówię. — I do takiej dziewczyny trudno się przyczepić. A potem ona wraca sobie spokojnie do Jerozolimy, tam, gdzie nikt nie wie, albo mało kto i udaje porządną. Ale co mają robić nasze dziewczyny? Te, co chodzą tutaj?

— Cholera mi do waszych dziewczyn — powiedziałem. — Na tym świecie wszyscy chcą się rżnąć. Starczy i dla waszych.

— To nie tak — powiedział. — To nieładnie, że tak myślisz, kochanie. Ty na przykład w zeszłym roku pracowałeś przez pięć miesięcy na budowie bez pozwolenia pracy i nikt cię nie ruszył, chociaż wszyscy wiedzieli. Dlaczego przestałeś tam pracować?

Wyciągnąłem do niego swoją prawą dłoń; w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku trafiła mnie kula zabierając kawałek kości a potem, w tym samym miejscu złamałem ją. Nie mogłem zacisnąć pięści; nie mogłem

dźwigać niczego ciężkiego; a teraz on trzymał moją dłoń w swojej mocnej, gorącej ręce i oglądał ją uważnie.

— Musisz postarać się o lekką pracę — powiedział.

— Dziękuję ci, że to mówisz — rzekłem.

— Pomogę ci — powiedział.

— Ewa mi pomoże — rzekłem. — A te wasze będą miały przez ten czas okazję żeby zeszkrobać sobie odciski z tyłków.

Położył mi rękę na ramieniu.

— Ewa jest jak każda z nich — powiedział. — Jak one wszystkie, kiedy zaczynają. Jej się zdaje, że pewnego dnia znajdzie frajera, który się z nią ożeni; wezmą tę forszę, którą ona wytyłkowała i zapomną. Ale przecież ty nie jesteś tym frajerem, nie? Ty się z nią nie ożenisz, nie będziesz z nią razem żył, a jeśli nie, to grosza od niej nie zobaczysz. To nie jest interes dla ciebie. Zostaw to. — Znów położył mi rękę na ramieniu. — Nikt nie jest alfonsem dla przyjemności — powiedział. — Ale jak się raz człowiekowi noga powinie, to już będzie jechał na tyłku przez całe życie. Zostaw to. Ty mi załatwisz z Ewą, a ja ci dam parę funtów, to będziesz miał z czego żyć przez parę miesięcy. I zaczeprysz się pomału przy jakiejś pracy. Zostaw to, proszę cię. — Patrzył na mnie ciężkimi, podpuchniętymi oczyma i uśmiechał się. — Ja ci daję tylko szansę — powiedział. — Bo jak nie ty, to kto inny. Każdy to dla mnie robi. Ale ja widzę, że tobie więcej potrzeba. Możesz się jeszcze przy czym innym zaczepić i będziesz jadł swój chleb. A Ewa tak czy tak tutaj chodzić nie będzie.

— Co jej zrobicie? — zapytałem.

— No cóż — powiedział. — Zrobimy jej. To co trzeba. Ale ty już z tego nic nie będziesz miał.

Dźwignął się ciężko; w ogóle był ciężki, opasły ale wyglądał na porządnego chłopca. Na pewno miał żonę i dziecko; i na pewno ktoś go kiedyś kopnął i już się nie pozbierał.

— Przyjdź kiedyś wieczorem — powiedział. — Napijemy się, pobawimy się. Jak chcesz pójdziemy do kina. — I wyznał nagle bezradnie: — Bo ja lubię kino. Za kino wszystko oddam. No to przyjdź jak się namyślisz — powiedział. — Ja siedzę zawsze w tej kawiarni przy morzu

— pokazał mi ręką. — Zapytaj o Ben-Ami, a jakby mnie nie było, to poczekaj trochę.

— I nie żal ci Ewy — powiedziałem, żeby go trochę podrażnić. — Taka młoda, ładna dziewczyna a ty ją chcesz wpakować do pudła. Nie żal ci jej?

Pochylił się ku mnie; poczułem jego oddech mocny od piwa i papierosów. Ale był to oddech zdrowego człowieka.

— Żal — powiedział. — Żal. Więcej niż tobie. Ty przecież nie jesteś alfonsem. Dla ciebie to na raz. A dla mnie na zawsze.

Odszedł. Czekałem jeszcze godzinę albo trochę więcej, ale Ewa nie zjawiła się tego dnia. Powiedziałem kelnerowi wskazując na pustą butelkę po piwie, że żona zapłaci i kelner wykonał uspokajający ruch ręką; znaczyło to, że wszystko w lokalu jest do mojej dyspozycji. Lubiłem ten lokal; tu poznałem Ewę przed ośmioma miesiącami. Pamiętam jak dziś: siedziała przy stoliku obok grającego pudła, a ja tutaj, na tarasie. Wiedziałem, że to prostytutka ale strasznie mi się podobała. Nie miałem w kieszeni więcej jak dwa funty, ale postanowiłem spróbować. Podeszedłem do niej.

— Chodź ze mną — powiedziałem.

— Dokąd chcesz iść?

— Nie wiem. Chyba do hotelu.

— Zapłacisz za hotel?

— Nie — powiedziałem. — Na pewno nie.

— Dlaczego — powiedziała Ewa. — Tu już tak jest, że mężczyzna płaci za hotel. Nie wiesz o tym?

— Wiem — powiedziałem. — Pewnie, że wiem. Ale ja w ogóle nie mam pieniędzy. Ja wcale nie chcę iść z tobą za pieniądze. Przecież chyba tego nie powiedziałem.

Popatrzyła na mnie i wtedy po raz pierwszy dobrze zobaczyłem jej oczy; ponure jak u nocnego ptaka. Wiedziałem już przedtem, że to histeryczka; myślałem że rąbnie mnie w głowę butelką albo coś w tym stylu. Ale nic takiego się nie stało. Ona po prostu patrzyła na mnie a ja stałem i uśmiechałem się.

— A więc — powiedziała. — Na miłość?

— Tak — rzekłem. — Dokładnie tak.

— I ty mówisz to poważnie?

— Jak najbardziej — rzekłem.

Coś jakby zapaliło się w jej oczach. Wtedy myślałem, że mi się tylko tak zdaje a dziś wiem to na pewno.

— Ty wiesz co ja robię?

— Wiem.

— I nie przeszkadza ci to?

— Pewnie, że mi przeszkadza — powiedziałem. — Ale wolno mi się w kimś kochać nawet jak coś przeszkadza. Zawsze zresztą coś przeszkadza.

— Dobrze — powiedziała.

No i poszliśmy. Poszliśmy najpierw na spacer, tą drogą która prowadzi do Jaffy — spokojną ulicą gdzie zawsze młodzi żołnierze uczą się prowadzić samochód; zjedliśmy obiad w Jaffie w takim jednym barze, w którym dają dopiero co złowione ryby, a potem wróciliśmy do Tel-Awivu i Ewa zaprowadziła mnie do jednej starej wiedzmy, u której wynajmowała na dzień pokój; tam właśnie przychodzili jej klienci. Ewa poszła do pokoju a ja z wiedźmą siedziałem w kuchni i słyszeliśmy wszystko co się dzieje za ścianą. Tak mnie urządziła; myślała widocznie, że zażartowałem sobie z niej i chciała mi dać szkołę. Niewiele się tam za tą ścianą działo, ale przyjemne to nie było. Nie.

— Co pan taki chudy — powiedziała do mnie ta wiedźma. — Co pan ma może suchoty?

— Nie — powiedziałem.

— Pan tak wygląda. Mój brat tak wyglądał. Miał osiemnaście lat i już umarł.

— Jaka szkoda — rzekłem. — Ale pani się trzyma dobrze.

— Dobrze — zawarczała. — Mam obustroną przepuklinę. Oni mnie chcą operować, ale ja się nie daję.

— Niech się pani nie daje — powiedziałem stanowczo.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

— A dlaczego nie?

Wtedy wyszła Ewa; ten gość mył się w toalecie i parskał jak koń. Pomyślałem sobie, że jak będzie jeszcze gwizdał arię torreadora to chyba nie wytrzymam i dam mu w zęby. Ewa miała na sobie nie zapięty szlafrok i wtedy po raz pierwszy ujrzałem jej nogi. Usiadła mi na kolanach.

— No i co? — powiedziała.

— Ano nic — rzekłem. — Tak sobie gawędzimy z tą panią.

— Pocałuj mnie — powiedziała cicho; a ten gość wciąż jeszcze parsknął w toalecie. Pocałowałem ją; lecz oczy jej były otwarte, cały czas otwarte i miałem takie wrażenie, jakby ktoś oglądał twarz moją przez mikroskop.

Potem przyszedł następny; znowu targowali się za ścianą; i słyszałem jak Ewa mówiła specjalnie głośno, abym i ja mógł to słyszeć. Ona proponowała mu, żeby poszedł do własnej matki a on płaczliwym głosem upierał się przy dwudziestu pięciu funtach. Wreszcie się zgodzili.

— Pan to chyba nie silny — powiedziała starucha mierząc mnie pogardliwym spojrzeniem. — Chory pan chyba też, tylko pan nie chce powiedzieć. Już ja to widzę.

— Gdzie pani to widzi?

— Ano tak — powiedziała. — Po wszystkim. Z moim bratem też tak było. Nawet pan podobny.

— Ach mój Boże — powiedziałem. — To straszne. Ale wtedy nie było lekarstw.

— Co tam lekarstwa — powiedziała. — Ja mam przepuklinę, to i lekarstwa nie pomagają.

— Niech pani się zoperuje.

— Co tam operacja — zawarczała znowu. — Mam siedemdziesiąt lat. Niedługo umrę.

— Ach Boże — przeraziłem się. — Niech że pani nie mówi takich rzeczy. To straszne.

Tamci za ścianą skończyli i Ewa znów wyszła do mnie. Tym razem pocałowałem ją sam; i tym razem zamknęła już oczy. Ta starucha poszła zmienić prześcieradło i słyszałem jak wymyśla temu nieznanemu mężczyźnie, a on tymczasem łąził na rękach po pokoju szukając czegoś co mu wypadło.

— No — powiedziała Ewa. — Kochasz mnie?

— Pewnie — powiedziałem. — Jak będziesz chciała, to z tym skończysz.

— I ty możesz to wytrzymać?

— Nawet nie wiesz, ile można wytrzymać — powiedziałem. Słyszałem coś takiego poprzedniego dnia na kowbojskim filmie z Allanem Ladd'em. Ponuro wbiłem wzrok w maselniczkę stojącą na stole i jeszcze raz powtórzyłem: — Nikt nie wie, ile można wytrzymać.

Potem znów siedziałem z tą wiedźmą, a ona opowiadała mi o tym, że już przed pięcioma laty wycięli jej pół żołądka, czy nawet trzy ćwierci i że ona musi często chodzić do toalety, a goście Ewy przeszkadzają jej w tym i że „co oni tam robią”. Mógłbym jej łatwo na to odpowiedzieć; i właściwie do dzisiaj nie wiem, dlaczego jej tego nie wytłumaczyłem. A potem ten trzeci poszedł i Ewa znów wyszła. Tym razem nie chciała abym ją całował. Zaczęła płakać; zsunęła się z moich kolan i płakała leżąc na podłodze; i nigdy przedtem ani potem nie słyszałem już takiego płaczu. Tak płakaliby chyba tylko umarli, którym przyszyłoby zmartwychwstać i żyć po raz drugi. Ta stara znów zmieniała prześcieradła a Ewa wciąż jeszcze płakała leżąc nago na kamiennej posadzce. Patrzyłem na zegar; minęła godzina, potem druga. Wreszcie Ewa powiedziała do mnie:

— Nigdy nie myślałam, że będziesz mógł to wytrzymać. Nigdy.

Podniosłem ją i jakoś tam otarłem jej twarz. Ja też przedtem nigdy nie myślałem, że tyle można wytrzymać; Chryste Panie, nigdy nie myślałem, że jestem taki dzielny i że tak wiele cudzego nieszczęścia potrafię znieść.

Popatrzyłem na pustą butelkę po piwie, machnąłem kelnerowi ręką i poszedłem nad morze. Nie znalazłem tam Griszy; stary Rosjanin który miał tam kiosk powiedział mi, że Grisha poszedł już, ale jeszcze wróci. Rozebrałem się i położyłem na piasku; było gorąco, chamsin trwał już drugi dzień, fale nie podpływały pod betonowe nadbrzeże — tak, jak działo się to zazwyczaj o tej porze roku. Ludzie pochowali się do domów; nikt się prawie nie kąpał — tylko ja i jeszcze paru turystów, którzy nie dawali za wygraną i leżeli bezwładnie w piekielnym słońcu przykrywszy głowy płachtami „New York Herald Tribune” i „Jewish Chronicle”. Nie lubiłem ich; byli wrzaskliwi i natarczywi; wyglądali śmiesznie w swoich ubraniach z tropiku przy ludziach urodzonych tutaj: pięknych kobietach i mężczyznach o atletycznej budowie, poważnych i skromnych, którzy pracowali ciężko, potrafili się bawić jak dzieci, i umierali w milczeniu na wszystkich granicach Izraela. Patrząc na tych i tamtych, trudno było uwierzyć, że należeli do jednego narodu. Przypuszczam że ci, uro-

dzeni tutaj, także nie bardzo w to wierzyli i nie dziwie im się. Codziennie ginęli na granicy młodzi żołnierze; ciągle o tym czytałem i słyszałem. Wierzę w to, że jeśli by kiedyś ten naród spotkało nieszczęście, to wrogowie ich weszliby do pustego kraju: bez mężczyzn, bez kobiet i bez dzieci. Ci, urodzeni tutaj, mieli poczucie tragizmu swego losu, ale nigdy o tym od nich samych nie słyszałem; i dlatego tym ciężiej było mnie, obcemu, pętać się po tym kraju bez pracy i bez świadomości tego, że nie jestem tu potrzebny w żadnej sytuacji i okoliczności; i że nikt tu na mnie nie liczy. Gdzie indziej nie myślałbym wcale o tym.

Grisza przyszedł około trzeciej; rozebrał się i skoczył do wody — jemu jednemu chciało się pływać w taki dzień, kiedy człowiek godzinę myślał nad tym, czy warto się przewrócić z jednego boku na drugi. Nie widziałem nigdy silniejszego chłopca od Griszy: był szczupły, prawie chudy, ale jak z żelaza. Ciężko byłoby go dobić; chyba tak jak z kotem; a przecież wczoraj, pomyślałem sobie, tamten sponiewierał nas jak chciał. Grisza wyszedł z morza, błyszczący od wody, z dymiącą głową i położył się obok mnie.

— Napiłbyś się? — zapytał.

— Pewno, że bym się napił — powiedziałem. — Ale zjadłbym coś przedtem.

— To nie wchodzi niestety w rachubę — powiedział Grisza. — Mogę wykombinować od tego starego z kiosku butelkę koniaku. Ale do jedzenia tam nic nie ma. Zresztą po co ci jeść? Będiesz szybciej pijany, kiedy rąbniesz sobie na czczo. U nas, w Odessie chłopcy pili czasami wódkę z gorącą zupą, żeby się szybciej zaprawić.

— U was w Odessie — powiedziałem. — Spróbuj.

Podniósł się; ja dalej leżałem w ciepłym piasku, nawet nie spojrzałem za nim. Słyszałem tylko ich głosy. Grisza zaczynał z bardzo daleka, jak człowiek wyspecjalizowany w pożyczkach; jak wybitny artysta, który wierzy sobie i temu, że w swoim dziele będzie miał wiele do powiedzenia — eksponował temat, powoli i wytwornie.

— Gorąco dzisiaj — mówił Grisza.

— Ano, gorąco — potwierdził stary.

— Ale u nas w Odessie-mamie też i tak bywało — mówił Grisza. Bo ten stary też był z Odessy.

— *Czto-że ty* — oburzył się stary. — Gdzieś ty widział coś takiego? Oddechu złapać nie można.

— Pić się chce — delikatnie poddał Grisza.

— A tam, pić — powiedział stary. — Lepiej nie pić w chamsin. Wypijesz szklankę, dwie, zaczniesz — a potem skończyć nie można. Zdrowia szkoda, mówię ci.

— Dajcie butelkę, zapłacę wam w tygodniu.

— O, nie — powiedział stary. — Ty wiesz, Grisza jak to u mnie powiedziane: *sierioznyj szczot* — *baroszaja družba*. U mnie na kredyt nic nie ma.

— Zmienili was tutaj, wuju — mówił z goryczą Grisza. — Was by już ludzie nie poznali w Odessie.

Zamknąłem oczy, przestałem słuchać; znałem zresztą ich teksty. Zawsze kończyło się na jednym: stary wybuchał straszliwymi przekleństwami i dawał Griszy na kredyt. Kłąć to oni potrafili obydwaj i wypowiadali swoje teksty z namaszczeniem, z powagą, nie przerywając jeden drugiemu, niby dwaj wytrawni aktorzy w teatrze. Rosjanie mają poczucie własnej malowniczości i to jest w nich piękne.

Potem Grisza położył się koło mnie i nalał w szklanki. Stary krzyczał jeszcze z kiosku, że to grzech oszukiwać swojego ziomka a potem zamilkł. Koniak przeszedł przez moje gardło jak ogień; wzdrygnąłem się, ale następna szklanka poszła już lepiej. Teraz nie chodziło już o nic: spokój był we mnie i spokój był wokół mnie; nieruchome morze, przydymione słońce i nieruchomy cień palm z nadbrzeża; nie istniało nic poza bezwładem i udręką tej ziemi palonej słońcem i nie chronionej ani odrobiną wiatru.

— Ten chamsin może potrwać i pięć dni — powiedziałem do Griszy. — Tak mi to jakoś wygląda.

— Kiedyś było już osiem.

— No i co?

— Nic — powiedział. — Przetrzymało się. Zresztą nad morzem nie jest jeszcze tak strasznie.

— Nie — powiedziałem. — Są ludzie, którzy go podobno nie czują.

— Nie bój się, poczują — powiedział Grisza. — Pobędą tu przez parę lat, to poczują. Ja też z początku nie czułem. Z każdym tak. Do tego się człowiek nigdy nie przyzwyczaja.

— On umarł właśnie w taki dzień — rzekłem patrząc na słońce skryte poza mgłą.

— Kto?

— On.

Wypiliśmy znowu; ci poprzykrywani płachtami „New York Herald Tribune” i „Jewish Chronicle” patrzyli na nas ze zgrozaniem: nie pasowało im to do obrazu, który przywieźli tutaj w swoich sercach. Grisza zauważył to: wyszczerzywszy zęby machał do nich ręką zapraszając do butelki, ale oni udawali, iż go nie dostrzegają: leżeli na swoich leżakach biali i drętwi, niby ryby wyrzucone przyplywem, i cierpieli w słońcu.

— Pamiętasz „Małpiego kapitana”? — zapytał mnie nagle Grisza.

— Pewnie, że pamiętam — powiedziałem. — Poznaliśmy go przecież w Ejłacie.

— A jego statek pamiętasz?

— Pamiętam. To była taka spacerowa trumna, na której pojechał po małpy do Abisynii, czy gdzie tam. No więc? Co z nim?

— Nic — powiedział Grisza. — Pytałem się dzisiaj o niego. Przepadł razem ze swoim statkiem.

— A małpy? — zapytałem leniwie. — Małpy też przepadły?

Wiedziałem, że miał przywieźć te małpy ale nie mogłem sobie przypomnieć po co. Zdaje się, że dla jakichś doświadczeń czy coś w tym rodzaju. W każdym razie, było to malownicze.

— Nie wiadomo w ogóle czy dojechał — powiedział Grisza.

— Na pewno dojechał — rzekłem.

— Skąd wiesz?

— Wiem — powiedziałem. — I zabrał te małpy. Dopiero w powrotnej drodze rozpieprzył się razem ze swoim statkiem. A teraz wiosłuje sam z powrotem. Ale nie tak bardzo sam. Uratował bowiem ładunek. I teraz płynie sam z małpami, bo miał za to obiecaną forszę a małpy robią mu tysiące psikusów. Ale on nie daje za wygraną. Jest z nimi sam na sam wobec wieczności. I płynie. Tylko mu się klepki poprzesuwały w mózdzku i od czasu do czasu czuje jak mu ogon rośnie. Ale nie daje się losowi. Takim powinien być człowiek.

— Słuchaj — powiedział nagle Grisza. — Ty nie sprzedajesz spluw? —

— Nie.

O szóstej wracaliśmy do domu przez nasze pole; i naturalnie ten staruszek dreptał koło nas — ten, który miał siostrzeńca Billy'ego w Stanach. Opowiadał nam jak Billy zaczynał: od biedy, z niczego, nie mając na kawałek chleba a dzisiaj jest kimś, z którym każdy musi się liczyć. Billy przysłał mu swoje najnowsze zdjęcie i stary pokazał je mnie i Griszy: Billy siedział upozowany jak „Myśliciel” Rodin’a i tłusty podbródek przepływał mu fałdą między palcami. Na dworze było czterdzieści pięć stopni i pomyślałem sobie, że dużo bym dał za to, żeby w taki dzień spotkać Billy'ego i strzelić go w pysk bez żadnych wyjaśnień. Wtedy właśnie to wielkie auto przejechało tuż obok pokrywając nas rdzawym kurzem.

— To on — powiedział Grisza.

— Jesteś pewien? — zapytałem głupawo.

Nie odpowiedział mi; miał prawo mi nie odpowiadać — w piekle poznałbym ten samochód: wielki, amerykański „White” o dziesięciu kołach i jego kierowcę, który zawsze w czasie jazdy wysuwał nonszalancko nogę w sandały. Oczy Griszy zwęziły się jeszcze bardziej, twarz mu skrzepła; milczeliśmy, nawet ten stary się przykknął; tylko psy szły półkołem za mną jak zwykle — najeżone, warczące cicho i nieprzerwanie, pełne sobie tylko wiadomej nienawiści.

Weszliśmy do baraku; Lena stała przy kuchni a mała Lena siedziała na łóżku trzymając w jednej ręce bułkę z kiełbasą a w drugiej tabliczkę czekolady. Grisza nic jeszcze nie powiedział; spojrzał tylko na Lenę i ona od razu zrozumiała.

— Przyniósł dziecku czekoladę — powiedziała. — I coś do zjedzenia. Miałam może nie wziąć?

Grisza podszedł do małej; delikatnie wziął z jej rąk czekoladę i bułkę. Mała Lena rozbeczała się od razu.

— Idź, przejdź się z dzieckiem — powiedział do mnie.

Stałem niezdecydowany. Widziałem twarz Leny i jej błagalne spojrzenie; myślała, że wszystko zależy ode mnie.

— Idź, przejdź się z dzieckiem — powtórzył cicho Grisza. Podszedł do mnie i uderzył mnie lekko w pierś.

— Przecież powinienś wiedzieć, że nie samym chlebem człowiek żyje — powiedział. — Ty, katolik.

Popatrzyłem na niego, ale on mnie nie dostrzegał. Wziąłem małą na ręce i wyszedłem. Zeszliśmy nad morze, ale i tu także było pusto. Ta mała Lena ważyła już coś niecoś i było mi trochę ciężko i niewygodnie: postawiłem ją ostrożnie na piasku.

— No, Lena — powiedziałem. — Zrób sobie jakiś zamek z piasku. Albo dom.

— Nie chcę — powiedziała płacziwie. — Chcę do domu.

— Ej, tam, do domu — powiedziałem. — Taka duża panna. Przejdziemy się trochę.

— Do domu — powtórzyła uparcie.

Nie miałem jej czym zabawić; gdybym miał forszę, to mógłbym jej przynajmniej kupić lody albo coś w tym rodzaju. Rozglądałem się bezradnie a nagle pewna myśl wpadła mi do głowy.

— Chodź, Lena — powiedziałem. — Pokażę ci psa.

— Nie chcę psa.

— Ale on jest wielki jak niedźwiedź — powiedziałem. — Jak Michajło Michajłowicz. Bo on jest naprawdę niedźwiedziem. Tylko wygląda tak trochę jak pies. Chcesz?

— Niedźwiedzia chcę — powiedziała mała Lena.

— No to chodź.

Wziąłem jej małą łapkę i poszliśmy brzegiem morza. Piasek chrząścił pod naszymi stopami; przeszliśmy obok łodzi rybackich, niedbale zabezpieczonych, i sieci porzuconych przez nich — im także było dość chamsinu. Spojrzałem na niebo; nic nie wskazywało na to, że chamsin przejdzie do jutra, złamie się — jak mówili tutejsi. Niebo było jak przydymione, ciemne i morze leżało martwe, bezszelestne, niby na zawsze pokonane. Przypomniałem sobie nagle, że kiedyś pewna kobieta powiedziała do mnie: chciałabym być jak morze, żyć wiecznie. Ona mogła tak myśleć; ona, której tu nigdy nie było.

— Daleko jeszcze? — zapytała mała Lena.

— Już blisko — powiedziałem. — Nie wstyd ci pytać? Twój tata jest lotnikiem: pomyśl ile on w życiu kilometrów przeleciał.

— Ależ już nie lata — powiedziała chytrze.

— No to będzie latał.

— Kiedy?

Ścisnąłem jej rączkę.

— Sama go o to zapytaj — powiedziałem.

Znów szliśmy wśród szeregu domków, w których powinny mieszkać lalki. Zobaczyłem go; zobaczyliśmy się nawzajem w jednej chwili. Podbiegł do mnie a właściwie skoczył potężnym susem, jakby go wystrzelono z katapulty. Mało by brakowało a przewróciłby mnie; ledwo się zdążyłem zaprzeć nogami w ziemię.

— To właśnie on — powiedziałem. — Michajło Michajłowicz.

— Jaki wielki — powiedziała.

— No pewnie — rzekłem. — To niedźwiedź. — Wziąłem w ręce jego gorący łeb i powiedziałem mu cicho: — Ty jesteś jedynym psem, który mnie lubi, co? Ty, jeden jedyny. O nie myśl, broń Boże, że jestem pijany. Wypiłem trochę z Griszą, ale to nic nie znaczy. Jak będę miał kiedyś forszę, to przyjdę tutaj i ukradnę cię. I zwiejemy stąd razem; i zostaniesz już na zawsze ze mną.

— Co ty mu mówisz? — zapytała mała Lena.

— Tak sobie trochę gadamy — powiedziałem. Usiadłem pod płotem i zapaliłem; jednego, potem drugiego. Patrzyłem jak mała Lena bawi się z Michajłem Michajłowiczem usiłując przewrócić go na ziemię, na co on się łaskawie zgadzał, i przysięgłem sobie, że go kiedyś ukradnę. I będę go taszczył ze sobą z jednego końca świata na drugi, choć bym sam nie miał co żyć: to wielkie, kudłate i gorące cielsko, które okazało mi tyle przychylności. A potem wróciliśmy do domu; Grisza siedział już pod barakiem i palił.

— No i jak Grisza — powiedziałem. — Pogodziliście się?

— Nie — powiedział.

— Noc was pogodzi.

— Może. Idź, zobacz jak tam z nią.

Wszedłem do baraku; Lena leżała na łóżku. Nigdy się między nich nie mieszałem, ale tym razem za bardzo ją skatował. Twarz jej była sina, obrzmiała. On to umiał: owijał jej włosy dookoła swojej pięści, tak, że się ruszyć z bólu nie mogła, a drugą ręką walił ją nie odzywając się przy tym ani słowem. Odwróciła się powoli ku mnie.

— I za co — powiedziała. — Za to, że wzięłam coś dla dziecka. Przecież nie dla siebie.

Stałem w milczeniu i patrzyłem na nią; w kącie poniewierała się rozdeptana tabliczka czekolady. Schyliłem się bezwiednie i podniosłem ją. Potem znów popatrzyłem na jej zapłakaną, zbitą twarz.

— Wszystko będzie dobrze, Lena — powiedziałem.

— Zbyt długo to mówisz. Ty i Grisza.

— Będzie dobrze — powiedziałem patrząc na lepką masę trzymaną w ręce. Bo już wiedziałem, że musi się tak stać. Podszedłem do niej i wyciągnąłem rękę; chciałem ją pogłaskać ale rzuciła się w kąt łóżka jak pies uciekający przed kijem: bała się mnie. Więc wiedziałem już że tak musi być. Wyszedłem przed barak i usiadłem obok Griszy. Wciąż jeszcze trzymałem tę przekłętą czekoladę w ręce i nie wiem dlaczego, głupio było mi ją wyrzucić. Człowiek czasem bywa dziwny dla samego siebie i to jest niedobrze.

— Mnie tam diabli to tego — powiedziałem. — Ale to za bardzo. Grisza. Nie wzięła przecież dla siebie. Każda matka by wzięła. A że facet się do niej przywala, to co innego. Porachujemy się jeszcze z nim. Lena to ładna kobieta, Grisza. Mnie się też podoba.

Podniósł się nagle; stanął przede mną ciemny i wysoki; twarzy jego nie widziałem w mroku.

— Słuchaj serce — powiedział cicho. — Niech Lena sama je to, co dostaje od tego faceta, który się do niej od dwóch miesięcy przywala. Niech je i niech jej to pójdzie na zdrowie. Ale niech nie daje tego mojemu dziecku. To ja już wolę, żeby moje dziecko głodowało. — Milczał chwilę, potem powiedział: — Bo ja tego kraju nie opuszczę, nawet żebym miał tutaj umrzeć bez pochowania. Nie wiem jak ty: tyś nie Żyd i możesz stąd wyjechać. Ale ja jestem Żydem i tu zostanę. I codziennie będę próbował od początku, dopóki czegoś nie znajdę i nie urządzę się. I to nie chodzi o to, że jest mi ciężko, bo ciężko tu było każdemu, a jeśli nie każdemu to na pewno takim jak ja. Ale dla mnie nie ma stąd drogi, bo jeśli pójde stąd, to już nigdy nie odpocznę i nigdy nie będę mógł sobie powiedzieć, że zrobię coś jutro. Bo to będzie już za dużo. Bo naprawdę, to jest tylko tak jak w modlitwie. Wiesz?

— Wiem — powiedziałem. — Jeden jest Bóg i

jedna ziemia. — Uczułem w swojej ręce coś obrzydliwego i lepkiego. Była to czekolada; odrzuciłem ją.

— I to już wszystko — powiedział Grisza.

— Tak — powiedziałem. — To już wszystko. Ale kobiety...

— Co kobiety — przerwał mi Grisza. — Może ona myślała wtedy, kiedy wychodziła za mnie za mąż, że ja Żyd i potrafię robić interesy? Co mnie to obchodzi? Ja stąd nie wyjadę.

— Nie — powiedziałem. — Nie wyjedziesz stąd, Grisza. I niedługo już coś znajdziemy. Zobaczysz.

— Pewnie — powiedział. — Pójdiesz się wykąpać?

— Pójdę — rzekłem. — Co bym miał nie iść?

Rozebraliśmy się do naga i poszliśmy w morze. Nikt nas nie mógł zobaczyć; ludzie spali już lub starali się usnąć ciężko łapiąc powietrze, którego nie było, którego brakowało; tak, jakby Bóg raz jeszcze chciał wypróbować swoją ziemię i ludzi tu żyjących. Czułem jak pot spływa po mnie, jak drażni moją skórę; i zdawało mi się, że czułem go jeszcze w wodzie, kiedy płynąłem już obok Griszy: w ciemności i w wodzie nie przynoszącej ukojenia. Kończył się drugi dzień chamsinu.

Zobaczyłem go od razu; siedział pijąc to samo piwo, które ja zawsze zamawiałem u tego kelnera, który mnie tak wielbił bezinteresownie. Pił je wygodnie rozparty, ubrany w czystą, białą koszulę której rękawy ktoś mu popodwijał: starannie i z dbałością. Usiadłem koło niego a on pytał:

— Czego się napijesz?

— Piwa — powiedziałem. — To samo co ty.

— Dobrze — powiedział. I do kelnera: — Gold Star. Wtedy coś mi strzeliło do głowy.

— Nie — powiedziałem. — Chcę sody. Sody z ko-
niakiem.

Pozwolił mi wypić, czekał. Najgorsze to to, że go lubiłem. Nic na to nie mogłem poradzić i czułem się wstrętne. Znałem facetów, którzy przyjaźnili się gorąco z kochankami własnych żon; teraz ich rozumiałem. Tak samo i z tym; ja nawet myślę, że ze wszystkich Apostołów Judasz najbardziej kochał Chrystusa, a że Go sprzedał, to już zupełnie inna historia, ale wierzył w Niego naj-

bardziej ze wszystkich. Najgorsze jest chyba to, że z biegiem życia dochodzi się do zupełnej prostoty; tylko że już niebardzo jest wtedy po co żyć.

— No więc? — powiedział.

— Jak to załatwimy?

— A tak właśnie.

Wyciągnął z portfelu wąski, złoty zegarek z bransoletką. Położył go przed sobą na stole.

— Pójdiesz z Ewą do hotelu — powiedział. — Jak już się rozbierzecie, pošlesz ją po szklankę wody. Albo poczekasz, jak ona pójdzie...

— Wiesz co — powiedziałem. — Do mnie kiedyś jedna właścicielka pensjonatu w Berlinie powiedziała, że mężczyzna, który nie odlewa się do umywalni nic nie jest wart w jej oczach. Teraz widzę, że miała rację. Ze mną by się ten żart nie udał. Ja zawsze uważam na takie rzeczy.

— Rób tak zawsze — powiedział. — No, dalej. To wam zajmie jakąś godzinę, może półtorej. — Spojrzał na zegarek. — A do wpół do drugiej, do drugiej będziesz miał policję.

— Policję? — zdumiałem się. Powiedziałem to takim tonem, jakbym nigdy nie oczekiwał tego słowa. A zawsze wydawało mi się, że mimo wszystko najczęściej przychodzi w życiu udawanie idioty.

— Policję — powiedział. — Oni tam przyjdą na kontrolę a chyba policjantowi wolno wziąć do ręki torebkę prostytutki? Policjantowi, który mniej więcej wie, co zostało skradzione na jego rewirze; on to ma wszystko zapisane w swojej książeczce. Bo ten zegarek został trzy dni temu skradziony takiemu jednemu, który się poszedł zabawić z dziewczynką. No więc? Wszystko jest jasne?

— Tak — powiedziałem. Wziąłem zegarek ze stołu i chciałem go schować do kieszeni. Wyjął mi go z ręki i wytarł starannie chusteczką a potem dopiero podał mi go. Chusteczkę wsunął mi do kieszeni. Potem, do tej samej kieszeni wsunął pieniądze: nie liczyłem ich, ale było na pewno więcej jak trzysta.

— No, to tak jakbyśmy załatwili — rzekł. — Chcesz się jeszcze czegoś napić?

— Tak — powiedziałem. — Chętnie.

Chciałem zostać z nim jeszcze trochę. Miałem nadzieję

że rozmyślę się: wstanę, oddam mu z powrotem pieniądze i zegarek. Piłem swój koniak patrząc na wielkie skrzydło wentylatora kręcące się niepotrzebnie; mogłeś podsunąć rękę i nie czuć nic. To był już trzeci dzień chamsinu i po raz pierwszy od czasu jak przyjechałem tutaj czułem go porządnie: nie chciało mi się nic, ani jeść, ani spać, nie wiem nawet po co piłem ten koniak. Byłem zły na Ewę, że mam jeszcze tyle do zrobienia przed wieczorem; wieczór mimo wszystko daje złudzenie odpoczynku. Byłem wściekły na nią, że muszę podnieść się od stolika i przejść na drugą ulicę: pięćset kroków w słońcu.

Dopiero później, w hotelu, leżąc obok Ewy poczułem się trochę lepiej. Ten pobożny człowiek za ścianą, którego słyszałem przed dwoma dniami, modlił się i dzisiaj. Ja nie mogłem mówić, Ewa także nie; oddychaliśmy ciężko, niby poprzez maski a on modlił się monotonna i żarliwie, tak, jakby jemu tylko jednemu dana została siła na przetrwanie tych dni. Wszystko ucichło; nie było słychać nawet głosu dzieci, które wrzeszczały zazwyczaj od rana do wieczora; nic, tylko ten stary tam za ścianą i głos modlitwy jego; nie błaganie, nie prośba; lecz tak, jakby surowo upominał się o swoje prawa i wystawiał Bogu rachunek wszystkich krzywd jego i tych, którzy przeszli już i przyjdą. Wiedziałem, że przyszedłem tu po coś, ale po co — tego nie mogłem sobie przypomnieć: w dodatku ten stary za ścianą, mieszał mi do reszty w głowie. Było mi zresztą wszystko jedno. Nie chciałem o niczym myśleć, ani niczego sobie przypominać; tak czy inaczej, nic nie było ważne w porównaniu z tym pokojem, pustym prawie pokojem bez odrobiny powietrza. Patrzyłem na dach przeciwległej kamienicy, na którym leżał martwy ptak; spadł tam przed dwiema minutami i nie poruszył się ani odrobinę; śmierć dosięgła go w locie.

Ewa wstała nagle, okręciła się prześcieradłem. Zapaliła papierosa; stojąc już w drzwiach powiedziała do mnie: — Przyniosę ci coś do picia.

Wtedy przypominałem sobie; z rozpaczą pomyślałem, że muszę wstać z łóżka i wrzucić do jej torebki ten przeklęty zegarek. Zatoczyłem się po pokoju, zrobiłem to i z powrotem wróciłem na łóżko. Wiedziałem, że chustka, którą dał mi ten pocziwiec wypadła i leży na podłodze, ale za nic w świecie nie chciało mi się wstać i podnieść

jej. Nigdy jeszcze w życiu nie czułem się tak zmęczony a w dodatku będę musiał jeszcze wstać, kiedy przyjdzie policja.

Ewa wróciła po chwili; postawiła przede mną butelkę piwa. Podniosłem ją do ust rozlewając trochę.

— Pojedziesz? — zapytała.

— Pojechać — przeraziłem się. — Dokąd?

— Ze mną. Do Jerozolimy.

— Nie — powiedziałem. — Nie mówmy więcej na ten temat. — Uniosłem się na łokciu. — Skończ z tym — powiedziałem. Z przerażeniem zobaczyłem, że Ewa zaczyna się ubierać. — Wyjedziemy stąd razem — powiedziałem — ale tam, gdzie nikt nas nie zna. I dopiero tam pomyślimy, co będziemy robić dalej. — Bałem się, że odejdzie a oni jeszcze ciągle nie przychodzili: może ten idiota dał im fałszywy adres — a Ewa była już w sukience. Musiałem sobie przypomnieć teraz całą literaturę świata, wszystko co napisano o miłości; a spieszyło mi się. — Nigdy nie jest za późno — powiedziałem. — Nie, nigdy. A ja nie będę o tym myślał co było, nie będę ci niczego pamiętał. Będę zawsze myślał, że jestem twoim pierwszym. Jak zawsze wtedy, kiedy idziesz ze mną.

Odwróciła się ku mnie.

— Tak nigdy nie było — powiedziała patrząc na mnie swymi ponurymi oczami. — Zawsze już ktoś był przed tobą. I dzisiaj też. Taki miły staruszek, który musi nosić suspensorium i składa je zawsze starannie na krzesło. Nie daj się okłamywać tak głupio.

Zwinąłem się: trafiła celnie. Mogła mi tego zaoszczędzić. Człowiek zawsze rozumie je wtedy, kiedy odchodzą już naprawdę. Tylko tego dnia: ale ani o minutę wcześniej. Choćbyś nawet żył z jaką przez dziesięć lat czy więcej, to i tak nic z tego; one zawsze mają w kieszeni taki drobiazg, który ci wszystko zniszczy w tej właśnie chwili; tak, że zostaniesz nagi i pusty i będziesz musiał wszystkiego się uczyć od początku, zupełnie od początku. Już one ci potrafią wyrwać ostatnie kolorowe pióro z tyłka. Ale nie miałem czasu o tym myśleć; Ewa stała przed lustrem i zapinała sukienkę.

— Dlaczego mi o tym mówisz — powiedziałem. — Po co? — Znów zabrakło mi słów; w dodatku ten za ścianą mówił coraz głośniej. — A przecież było nam tak

dobrze — powiedziałem z goryczą zerkając przy tym na zegarek. — Powiedz, że kłamałaś — krzyknąłem prawie patrząc, że sięga pod łóżko po swoje pantofle. Była za piętnaście druga.

— Dlaczego? — powiedziała. — Bo chcę ci dać te trzysta funtów, żebyś zaczął pracować. Ale nie chcę cię więcej widzieć. Pomyślałam sobie, że tak będzie lepiej. No więc. Dam ci pieniądze, ale należy mi się przynajmniej, żebyś wiedział skąd je mam, nie?

Milczałem.

— I potem idź sobie do diabła razem z twoim Griszą — powiedziała. — Usiadła koło mnie. — Ja nie chcę żadnych pięknych wspomnień — powiedziała. — I nigdy ich nie chciałam. Ty pewnie myślisz, że ja jestem nieszcześliwa, albo że ja cierpię, ale to nieprawda. Nie.

Urwała nagle; bałem się, że może pójdzie i nie dokończy. Przypomniałem sobie nagle jakiś film z Charles Boyer'em; ten facet miał doprowadzone do perfekcji drzenie warg. Spróbowałem tak samo.

— Wiesz — powiedziała Ewa — miałam kiedyś narzeczonego, ale nie chciałam go. Puściłam się pierwszy raz z moim nauczycielem, takim starym parszywcem, który zawsze nosił watę w uszach — zimą i latem. A potem patrzyłam jak stoi przed lustrem i chusteczką do nosa wyciera sobie szminkę, tak, żeby żona nie poznała. Więc nie mów mi już niczego więcej. Przyjdź o szóstej, dam ci pieniądze. Albo lepiej poczekaj tutaj.

Pomyślałem sobie, że może rzeczywiście poczekać tutaj: gdzie się miałem włóczyć do szóstej. Nic mi nie przychodziło do głowy i z trudem uświadamiałem sobie dlaczego: bo był to trzeci dzień chamsinu i trzeciego dnia jest najgorzej; ale to już było wszystko co wiedziałem — nie mogłem złapać tchu, nie czułem własnego serca. Coś mi się błąkało po głowie, że ktoś umierał właśnie w taki dzień; w trzeci dzień chamsinu bez powietrza i wiatru: ale kto to był? Nie znałem go, nie widziałem. Zdawało mi się, że wystarczy tylko trochę pomyśleć i będę wiedział kim on był; na pewno; ale wysiłek przerażał mnie. Tak czy inaczej ten ktoś już umarł i nikt mu nic nie mógł pomóc; któż mógłby cokolwiek pomóc w taki dzień? Myślałem tylko, że o szóstej przyjdzie Ewa i coś mi przyniesie. Może ona, wtedy, powie mi kim on był i

dlaczego umarł. I może wtedy, będzie już trochę wiatru i chłodu; i może będę potrafił znowu myśleć i wiedzieć, po co tu przyszedłem i jak się nazywam; a może nawet będzie mi się chciało jeść — pójdę wtedy na róg, do arabskiej restauracji zamówię sobie coś, co przywróci mi siły i młodość; i wtedy właśnie oni zapukali do drzwi.

Wracalem do domu przez zachodnią dzielnicę miasta. Autobus był prawie pusty; ja tylko i paru żołnierzy, opalonych i pięknych, którzy spali zmęczeni powiedziawszy uprzednio kierowcy, aby ich zbudził kiedy będzie trzeba; głowy ich podskakiwały kiedy autobus szarpał gwałtownie — ci kierowcy mieli temperament, jakby płacono im tylko za szybkość; zęby cierpły kiedy człowiek patrzył co oni wyprawiali z tymi starymi pudłami: w tej dzielnicy tylko takie kursowały. Ja tę dzielnicę lubilem najbardziej ze wszystkich dzielnic Tel-Awivu; pracowałem tu kiedyś dopóki kamień szlifierski nie rozharatał mi palców prawej ręki. Znałem każdą ulicę; wszystkie warsztaty wyrabiające najdziwniejsze przedmioty z miedzi i brązu; ciemne sklepy w których można było kupić mundury armii amerykańskiej, małe knajpy w których siedzieli pobożni wraz z niepobożnymi jedząc w milczeniu i szybko, gdyż tutaj pracowali wszyscy, spieszyło się każdemu; wszyscy byli rzeczowi i pracowici: ci rzemieślnicy, szewcy, sprzedawcy pasów wojskowych z czasów pierwszej wojny światowej — znałem ich, znałem ich dobrze, niektórych nawet po imionach: Syn Niedźwiedzia, Syn Narodu, Wilk syn Wilka, Lew syn Lwa; lub kobiety — Wiośniana, Mała Kropelka Rosy; w żadnej innej stronie świata nie było tyle poezji. Więc pomyślałem sobie jadąc tym autobusem, że nie można zniszczyć narodu i języka; nikt tego nie potrafi. Nikt nie wie, jak zniszczyć nieśmiertelność jakiejś sprawy, bo czasem mieści się ona w czymś, na co niesposób zwrócić uwagi; w czymś, koło czego przechodzi się obojętnie lub z pogardą, a co pozostaje niedotknięte i niepokonane; i w czym mieści się cała różnica pomiędzy zabiciem a pokonaniem. Ale dla nas samych jest to tajemnicą. Świat pełen jest śmieci, w których jedni ludzie drugim usiłują wyjaśnić coś, czego zrozumienie wymaga jednej tylko chwili. Wierzę, że każdemu dana jest taka chwila; i wierzę, że każdy ją zmarnował.

Czułem się już trochę lepiej; czułem, że to już ostatnie godziny chamsinu — potem, kiedy szedłem do naszego baraku poprzez pole porośnięte ostrymi chwastami a psy jak zwykle czały się gdzieś w ciemności. Gdzieś, nad morzem niebo stawało się już czystsze i jaśniejsze; wiatr mógł każdej minuty zerwać się nad ziemią i powiać od Galilei aż do pustyni, a wtedy wszyscy ludzie leżący w ciemności zapaliliby światła i poszli kąpać się do morza: znów żywego, pełnego chłodu i pachnącego ostro; i pewnie wtedy rybackie statki poczęłyby znów nawoływać się światłami — tak, jak pierwszego dnia kiedy przyjechałem tutaj. Ale teraz jeszcze było ciężko; trwała jeszcze susza; ziemia nie daje się oszukać — szedłem więc niosąc w sobie tylko przeczucie, nic poza przeczuciem, a te psy cicho biegły za mną w ciemności.

Grisza siedział przed barakiem. On jeden nie skarżył się na chamsin; on wszystko potrafił wytrzymać. Przysiadłem ciężko obok niego, nagrany piasek sparzył mnie nagle w tyłek; Grisza podał mi papierosa i zapaliłem.

— Zrobiła Lena coś na kolację? — zapytałem.

— Nie — powiedział.

— Nie szkodzi — rzekłem szybko. — Kupimy coś a ona już pomyśli, co z tego zrobić. Może ze dwie puszki mięsa?

— Nie — powiedział.

— Dlaczego, Grisza?

— Bo nie ma Leny — powiedział. — Zabrała małą i uciekła z tym facetem. Sami sobie musimy coś zrobić. Ale poczekajmy jeszcze; jeszcze jest za gorąco.

— Tak — powiedziałem. — Poczekamy jeszcze.

Milczeliśmy chwilę; teraz już widać było, że księżyc przecierał się zza mgieł; mogło to trwać godzinę jeszcze lub dwie, ale nie więcej.

— Jak myślisz — powiedział Grisza. — Chyba jej nie będzie źle z tym swołoczem co?

— Nie — powiedziałem. — Na pewno nie. — Ale wściekłość poczęła mnie dławić. — Powiedziałem ci — rzekłem do Griszy — żeby sprzedać moją spluwę i koniec. Przynajmniej jadłyby przez parę dni: Lena i mała.

Odwrocił się ku mnie.

— Ja chciałem dla nich lepiej — powiedział. — Przysięgłem sobie, że jak ten chamsin minie a ja nie znajdę

pracy, to zrobię z nimi i z sobą porządek. No, ale już pojechały.

— To nic, Grisza — powiedziałem. — Jutro pójdziemy do tego faceta i on załatwi nam pracę. Mam forszę. Wiesz, te trzysta funtów.

— Ewa ci dała? — zapytał.

— Tak.

Potem weszliśmy do baraku a Grisza przyniósł butelkę koniaku obudziwszy uprzednio właściciela sklepu. Nie chciało nam się niczego gotować; więc piliśmy tylko ten koniak i jedliśmy pomarańcze na zakąskę. Koniak nie szedł nam do głowy, więc Grisza poszedł jeszcze po drugą butelkę i znów musiał budzić tego gościa od sklepu; słyszałem jak sobie wymyślali, potem Grisza wrócił. Tę drugą piliśmy już pod barakiem; i wtedy, po raz pierwszy od trzech dni zobaczyłem znów światła statków rybackich na morzu.

— Patrz, Grisza — powiedziałem. — Chamsin przeszedł.

— Ale jeszcze gorąco — powiedział.

— Tak — zgodziłem się — gorąco.

— A jutro pojedziemy autobusem do miasta — powiedział cicho Grisza. — I złapiemy jakąś robotę o szóstej piętnaście.

— Dobrze — powiedziałem. — Ale nie stąd. Z Haifskiej szosy.

— Nie. To już niepotrzebne.

— Niepotrzebne?

— Pamiętasz tego psa — powiedział. — Tego wielkiego kudłacza, który cię tak tak przestraszył?

— O, Boże — powiedziałem. — On mnie pyta, czy ja go pamiętam. Ja go pamiętam lepiej od własnej metryki urodzenia, Grisza.

Roześmiał się.

— No, więc — rzekł. — To jest pies takiego jednego bogatego skurwego syna, który tu przyjechał ze Szwecji i przywiózł ze sobą całą kupę forsy. Ja znam tego psa. Jak zobaczyłem, że ciebie tak psy nienawidzą, to pomyślałem sobie, że jak cię ten kudłacz trochę pogryzie — ot tak sobie, bez żadnej zaczepki — to dostaniesz od tego skurwysyna całą kupę odszkodowania i pociągniemy przez parę dni. Ale akurat ten, nic do ciebie nie miał, nie? — Nie odpowiedziałem mu, więc powiedział tak, jakby chciał się

przede mną usprawiedliwić: — Ale tego to ja już nie mogłem wiedzieć.

— Tak — powiedziałem. — Ten akurat nic do mnie nie miał.

Nalałem sobie pełną szklankę koniaku i wypilem ją jednym haustem nie czekając na Griszę: kropelki nawet na dnie nie zostało. Byłem już pijany; czułem to i dobrze mi było z tym. Więc wypilem jeszcze raz trąciwszy się z Griszą i czułem, jak to ciepło podnosi się we mnie: wyżej i wyżej, niby płomień. Chamsin już przechodził i z powrotem mogłem myśleć; to piękne uczucie być trochę pijanym i móc myśleć. Teraz już wiedziałem, że wszystko stało się przez niego, że on jeden jest winien wszystkiemu; temu że odeszła Lena od Griszy; temu, że Ewa wyskoczyła z okna hotelu, kiedy policjanci chcieli ją zabrać; i temu, że ja i Grisza od dwóch miesięcy chodziliśmy bez pracy. Był on winien temu, iż żyjemy i że chamsin palił od trzech dni tę ziemię, ale teraz już przechodził — już wiatr nadciągał od morza i morze znowu zapachniało a ja mogłem myśleć i nic nie rwało się w mojej głowie jak każdego z tych trzech dni. Ale ile wycierpieliśmy wszyscy przez niego; i dlaczego nie zrozumiałem tego wcześniej? Wszedłem do baraku i wyciągnęłem spod łóżka mój pistolet, włożyłem go do tylnej kieszeni spodni i wróciłem zaraz do Griszy. Nalał mi znowu; wypilem szklankę i jeszcze jedną, aby nie zapomnieć tego, co powinienem uczynić. Zdarłem z siebie koszulę i oparłem się framugę drzwi; kurz wgrzyzał mi się w plecy, pot spływał ze mnie; czułem jak ze skóry mojej paruje ostry zapach koniaku ale nie przeszkadzał mi już teraz ani kurz, ani pot, gdyż wszystko stało się dla mnie jasne i pewne. Wiedziałem już, że nigdy nie opuszczę tego kraju, że zostanę tu na zawsze; i że zawsze będę kochał ten kraj; ale bałem się o tym myśleć dłużej, aby nie zapomnieć tego, co teraz wypadało mi uczynić. Raz jeszcze schyliłem się w ciemność; po omacku podniosłem moją koszulę, otarłem nią ramiona i plecy i w ciemność ją odrzuciłem.

— Poczekaj trochę, Griszeńka — powiedziałem. — Zaraz wrócę.

Oderwałem się od drzwi; przeszedłem przez jakąś niewidzialną ścianę gorącą; znów zabrakło mi tchu, znów serce moje przestało bić, ale nagle zerwał się świeży wiatr

od morza i wszystko poruszyło się we mnie, ożyło; już teraz chamsin skończył się na dobre, jak w chwili w której umarł On i w której począł żyć wiecznie — ziemia odetchnęła, poruszyły się drzewa, księżyc wypłynął spoza gorącej mgły i znów zobaczyłem swój cień — skręciłem więc na prawo, przestałem błędzić w mroku i poprzez to puste pole poszedłem wprost ku drodze do Haify.

1962

Biblioteka Polska
Kolo Zurych SPK

SPIS TREŚCI

<i>Ósmy dzień tygodnia</i>	7
<i>Amor nie przyszedł, dziś wieczorem</i>	75
<i>Namiętności</i>	85
<i>Port pragnień</i>	95
<i>Zbieg</i>	101
<i>Krzyż</i>	113
<i>Miesiąc Matki Boskiej</i>	119
<i>Szukając gwiazd</i>	127
<i>Powiedz im kim byłem</i>	135
<i>W dzień śmierci Jego</i>	145

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 14 MAI 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 2^e trim. 1963

Cena 12 F (18/-; dol. 2,50)